

P. 9786 Chrt. Arch.

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 4/174**

**1962**

---



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

L. ŁABĘDŹ :

**DEUTSCHER - PROROK I HISTORYK**

G. GRASS : **POCZTA POLSKA**

T. BORNHOLTZ : **500.000 LAT DZIEJÓW  
LUDZKICH**

**NAGRODA PLASTYCZNA "KULTURY"**

**za ROK 1961**

## SPIS RZECZY

Tadeusz Bornholtz:	500.000 lat dziejów ludzkich ....	3
Leopold Łabędz:	Deutscher — prorok i historyk (I) ..	28
Günter Grass:	Poczta Polska .....	43

### WIERSZE

Bogdan Czaykowski:	Rozmowa z przyrodą .....	57
„ „	Niestety tylko Twoja mowa ....	62
„ „	Rekonstrukcja .....	64

### ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	Na linii Szczecin-Triest .....	66
Stanisław Fischlowitz:	PRL a Ameryka Łacińska .....	75
Londyńczyk:	Kronika angielska .....	80

### SĄSIEDZI

S. W. Kozłowski:	Przegląd niemiecki .....	87
------------------	--------------------------	----

### SPRAWY I TROSKI

Piotr Kalinowski:	Polonia we Francji .....	91
-------------------	--------------------------	----

### KRAJ

Danuta Irena Bienkowska:	Z Żeromskim po Polsce .....	102
--------------------------	-----------------------------	-----

### NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Adam Ciołkosz (opr.):	Zagłada getta warszawskiego (2) ..	109
-----------------------	------------------------------------	-----

### KRONIKA KULTURALNA

Kazimierz Wierzyński:	Na śmierć Broniewskiego .....	121
Czesław Miłosz:	O Bronie. „n” .....	123
Józef Czapski:	Jan Ekiert. Nagroda Plastyczna „Kultury” .....	126

### KSIĄŻKI

K.A. Jeleński:	„Tematy” wczorajsze .....	128
Zbigniew Grabowski:	Niemcy o Polsce .....	130
Benedykt Heydenkorn:	Majaczenia .....	136
Henryk Zylberlast:	„Les somnambules” .....	143
Tymon Terlecki:	Młoda starość .....	148
—	Nadesłane nowości wydawnicze ..	152



A. Czerniawski, F. Kalinowski, St. Kisielewski, M. Kukiel, J. Nowak, St. Skwarczyński:	Listy do Redakcji .....	153
--	-------------------------	-----

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Kwiecień – Avril

1962

INSTYTUT



LITERACKI

## NOTA BIOGRAFICZNA

Tadeusz BORNHOLTZ urodzony w 1901 r. Studia wyższe (doktor filozofii) w Warszawie. Praca w szkolnictwie średnim przed wojną i po wojnie (w Anglii). Autor podręczników historii dla gimnazjów ogólnokształcących oraz zagadnień życia współczesnego dla liceów.

## NA NAGROBEK DLA ANDRZEJA BOBKOWSKIEGO

Czytelnik z Warszawy .....	250,00 NF
Bolesław Turowicz, Buenos Aires (Argentyna) .....	6,00 „
„Nasz Teatr”, Buenos Aires (Argentyna) — dochód z czytanego teatru sztuki Andrzeja Bobkowskiego „Czarny Piasek” .....	30,00 „
„Kurier Polski”, Buenos Aires (Argentyna) za ogłoszenia teatralne z powyższej sztuki .....	48,00 „

## NA FUNDUSZ „KULTURY”

Bezimiennie z Londynu .....	145,00 „
Nina Sereda, Montreal (Kanada) po raz szósty .....	19,00 „
Witold W. Kosicki, Ogunquit, Maine (USA) .....	36,75 „

## FUNDUSZ WYDAWNICZY STAWAR PO ROSYJSKU

Wacław Skorupski, Kyrenia (Cypr) .....	13,00 „
Aniela Mieczysławska, New York .....	59,00 „
Bezimiennie, Buenos Aires (Argentyna) .....	500,00 „
Bezimiennie, Brooklyn, N.Y. (USA) .....	14,70 „
G.G.K., M.A.O., T.W. i I.L.Z. z Wenezueli .....	22,00 „

DZIĘKUJEMY

Imprimé en France



P. 9786 chr. Arch.

## 500.000 lat dziejów ludzkich

Drogi Redaktorze!

Decydując się wydrukować pierwsze rozdziały książki nad którą pracuję od dobrych kilku lat prosił Pan o kilka słów wyjaśniających czy informujących o jej celu, sposobie opracowaniu itp.

Jej proponowany tytuł, który może ulec zmianie, brzmi: „500.000 lat dziejów ludzkich”. Pragnę w 3-4 parusetstronicowych tomach dać ogólny zarys tzw. historii powszechnej. Nie ograniczam znaczenia tej nazwy ani do Europy, ani też do tzw. kręgu cywilizacji europejskiej, bo trąci to dzisiaj parafianszczyzną. Człowiek drugiej połowy XX wieku już się powoli wylamuje z zaczarowanego koła samouwielbienia europejskiego. Nie tylko dlatego, że w świetle nowych badań coraz silniej ukazują się w przeszłości powiązania tam gdzie ich dotąd nikt nie podejrzewał, ale i dlatego, że zbyt często historia cywilizacji ludzkiej przypominała drzewo wspaniałe ale z poobcinanymi konarami oprócz jednego — europejskiego. Stąd uniformizm zamiast różnorodności. Jakże często nasuwa się pytanie, czy cywilizacja europejska w swym pochodzie naprzód więcej stworzyła czy zniszczyła? Wzrasta coraz bardziej zainteresowanie samodzielnymi osiągnięciami poszczególnych grup ludzkich czy kręgów cywilizacyjnych, zaginionych czy zniszczonych dawno temu lub też trwających do czasów najnowszych. To są bowiem świadectwa do czego może dojść geniusz ludzki, zarówno w tzw. „dobrym” jak i „złym” kierunku. Interesujące są podobieństwa i kontrasty, szczyty i doły, posuwanie się naprzód jak i cofanie wstecz, dorobek płodny i bezpłodny.

Czytelnik polski jest takiej lektury pozbawiony i musi sięgać do książek pisanych w językach obcych. I tutaj wybór jest rzeczywiście wielki od prób ogólnego zarysu tak pojętych dziejów powszechnych w jednym paruset stronicowym tomie do wielotomowych wydawnictw specjalnych, od ujęć bardzo popular-

nych, przeznaczonych dla jak najszerzej publiczności do naukowych opracowań przez specjalistów dla specjalistów.

Książkę piszę z myślą o zwykłym Czytelniku. Staram się przez różne formy ujęcia — narrację, wprowadzenie, „przybliżenia”, podsumowania oraz porównania — uczynić z niej książkę „do czytania”. Pragnę aby Czytelnik miał szeroki (nie piszę — pełny) wgląd w przeszłość, aby widział w niej nie tylko zmagania orężne ale i myślowe, nie tylko tłumy ale i jednostki nie tylko rządzących ale i rządzonych, nie tylko osiągnięcia ale i poniżenia.

Zadanie ponad siły? I tak i nie. Jeśli się nie uda mnie to może ktoś inny podejmie ten sam trud. A to już będzie osiągnięcie.

Serdeczne pozdrowienia przesyłam.

Tadeusz BORNHOLTZ

## PIĘCSET TYSIĘCY — DZIESIĘĆ TYSIĘCY LAT TEMU

23 października 4004 r. przed Chr. o 9 rano czy dawniej?

Jak daleko trzeba sięgnąć w przeszłość, aby można było zacząć opowiadanie o dziejach człowieka?

Stosunkowo niedawno sprawa była prosta i odpowiedź jasna: dzieje świata, a w nich dzieje człowieka zaczynano od daty podanej w tytule, ten bowiem rok „ustalili” w XVII w. irlandzki arcybiskup J. Usher, a dokładny dzień i godzinę dr J.B. Lightfoot, autor biblijnych komentarzy i arcybiskup w Durham, zmarły w 1889 roku.

Dzisiaj na to pytanie odpowiedź jest bardziej skomplikowana i... niejasna. Na podstawie wyników badań różnych nauk w ciągu ostatnich dwu stuleci „początek świata” przesunięto mocno wstecz, a z nim oczywiście i „początek” człowieka. Przesunięto wstecz, ale daty nie ustalono i nie wiadomo czy kiedykolwiek to nastąpi gdyż — pomijając trudne do ustalenia pojęcie początku świata — spór między uczonymi dotyczy wielu spraw, których zapewne nigdy nie uda się ostatecznie ustalić czy rozstrzygnąć. Przesunięcie wstecz oznacza nie setki lecz wiele setek tysięcy lat. Podobnie przedstawia się sprawa z zagadnieniem początków człowieka.

Brak zdecydowanych i uzgodnionych odpowiedzi na ostatnie pytanie (początków człowieka) nie świadczy jednak, że nic nie wiemy. Przeciwnie, wiadomości mamy wystarczająco dużo aby na pewne pytania odpowiedzieć. Czasy o których będę mówić w Księdze Pierwszej noszą dwie nazwy. Geologowie, badający

dzieje ziemi, nazwali je epoką lodową (pleistocen), archeolodowie zaś, zajmujący się wykopaliskami, odnoszącymi się do dziejów człowieka, nazwali je Starszą Epoką Kamienną (paleolit).

Pleistocen to epoka w której, z nieznanym nam dotąd przyczyn, lodowce kilkakrotnie pokrywały pewne tereny i cofały się z nich. Tak więc np. w Europie, która pod tym względem jest najlepiej zbadana, olbrzymia masa lodu od północy oraz druga mniejsza, biorąca swój początek w Alpach, pozostawały między sobą jedynie dość wąski pas ziemi, łączący Hiszpanię, Francję i południową Anglię (która razem z Irlandią stanowiła część kontynentu) z doliną Dunaju, Bałkanami i równinami Wschodniej Europy. Paleolit czyli Starsza Epoka Kamienna bierze swą nazwę od głównego materiału, którego używał ówczesny człowiek do wyrobu narzędzi. Tych oczywiście, które przetrwały do naszych czasów.

Mówiąc o początkach pleistocenu czy też paleolitu (dla uproszczenia możemy tutaj przyjąć, że obie te nazwy odnoszą się do tych samych czasów) sięgamy bardzo daleko w przeszłość bo co najmniej 500.000, 600.000, a może nawet 1.000.000 lat wstecz. Przeciętny człowiek jest przyzwyczajony do operowania dziesiątkami, czasami setkami, rzadziej tysiącami lat. Ale nawet kilkanaście tysięcy lat nie będzie stanowić specjalnej trudności, jeśli zastosujemy pewne sposoby ułatwiające, jak np. posługując się pojęciem pokolenia. Przyjmując, jak się zazwyczaj robi, trzy pokolenia na jedno stulecie, jest znacznie łatwiej uświadomić sobie rozpiętość czasu gdy się pomyśli, że sto lat temu to żył mój dziadek, a dwieście mój pra-pra-pra-dziadek. Powtórzywszy (jeśli jesteśmy dostatecznie cierpliwi) 30 razy „pra” sięgamy w czasy odległe o tysiąc lat i wtedy uświadomiamy sobie, że mówimy o tych co budowali pierwsze państwo polskie. Wtedy nawet może się zrodzić pytanie z intonacją zawodu: tylko trzydziestu kilku przodków? Gdy zaczniemy obliczać ile pokoleń minęło od czasów, gdy w Europie zapanowały warunki klimatyczne i geograficzne, które trwają z drobnymi stosunkowo zmianami do dnia dzisiejszego, to choć samo powtórzenie „pra” trzysta razy sprawi pewną trudność, nabieramy jakiegoś wyobrażenia o tym odstępie czasu. Na prawdziwe trudności natykamy się, gdy zechcemy w ten sam sposób sięgnąć jeszcze dalej a mianowicie do pojawienia się na terenie Europy „prawdziwego” człowieka i gdy „pra” będziemy musieli powtórzyć tysiąc pięćset lub nawet więcej razy, co w przeliczeniu na lata oznaczać będzie więcej niż 500 stuleci, a więc przeszło 50.000 lat.

Ten sposób pomagający do umieszczenia naszych przodków w czasie i związania ich z mniej więcej określonymi wydarzeniami ma również poważniejsze znaczenie. Przecież każde „pra” to inne pokolenie, które inaczej myślało, inaczej czuło, inaczej żyło, inny miało zakres wiadomości i inny dorobek życiowy. Przekonani o swojej wyższości (więcej wiemy, lepiej żyjemy, lepiej czy sprawniej myślimy!) skłonni jesteśmy widzieć w każdym

poprzednim pokoleniu mniej tego wszystkiego z czego sami jesteśmy tak dumni. Proces odtwarzania przeszłości skłonni jesteśmy traktować jako ciągłe odejmowanie czegoś: tego jeszcze nie znali, byli mniej oświeceni, ubożsi od nas pod każdym względem, mniej szczęśliwi.

Cebulowa metoda, a raczej *streap-tease* historyczny, choć wygląda pociągająco nie prowadzi do niczego. Jeśli chcemy wyobrazić sobie naszych przodków sprzed stuleci i tysiącleci musimy dokonać operacji bardziej skomplikowanej niż odejmowanie. Trzeba również dodawać i zmieniać. Za punkt wyjściowy nie możemy brać samych siebie, nie możemy stosować zawsze i wszędzie naszych sposobów myślenia i sądzenia, nie wolno nam traktować przeszłych pokoleń jako czegoś w rodzaju „na-wozu” pod przyszły zasiew.

Materiał faktyczny, na którym opiera się nasza wiedza o człowieku paleolitycznym jest tak skromny, ilościowo i jakościowo, że nie daje odpowiedzi na wszystkie nasuwające się zapytania. Dla opisanego olbrzymiego okresu czasu (od 500.000 do 50.000 lat temu) mamy niewiele szczątków szkieletów ludzkich i to bardzo niekompletnych, mamy niezliczoną ilość „na rzędzi”, to znaczy kamieni obrobionych ręką ludzką w bardzo prymitywny sposób, trochę kości zwierzęcych, na których widzimy ślady działalności człowieka oraz trochę innych pozostałości. Lepiej sytuacja przedstawia się dla następnego okresu, rozpoczynającego się około 50.000 lat temu i trwającego mniej więcej 40.000 lat. Ale i w tym wypadku ilość i jakość źródeł nie jest wystarczająca, aby dać jako tako pełny obraz. W dalszym ciągu zdani jesteśmy wyłącznie na to, co przetrwało z tak zwanej kultury materialnej. Obraz, jaki możemy sobie o ówczesnych ludziach wytworzyć, jest równie niepełny i niepewny jak obraz, jaki wytworzyliby sobie nasi następcy w 520 wieku po Chr. o nas, gdyby pozostało trochę naczyń, narzędzi, grobów i to tylko w niektórych miejscach oraz z materiałów odpornych na działanie czasu i klimatu. Być może, że i my, tak dumni z samych siebie, nie wyglądalibyśmy lepiej w ogólnym obrazie niż nasi przodkowie sprzed kilkudziesięciu tysięcy lat.

Upór ludzi zapalonych do swej pracy i rozmiłowanych w niej nie zna granic. Do takich zaliczają się niewątpliwie archeologowie, którzy wprzagnawszy do współpracy różne nauki (geografię, geologię, nauki przyrodnicze, chemię, fizykę i inne) z ich najnowszymi zdobyczami starają się wyciągnąć jak największą ilość wniosków z dostępnego materiału. Że nie zawsze zgadzają się ze sobą, że często ich wnioski są chwilowo sprzeczne to nic nie znaczy, bo w ogniu dyskusji i dalszych badań pewne rzeczy ostają się jako ostateczne.

Gdy materiału faktycznego jest niewiele i gdy można go różnie interpretować nic łatwiejszego jak stworzyć, opierając się w dużej mierze na własnej fantazji, pełny i interesujący obraz całości życia człowieka przedhistorycznego. Takich opo-

wieści nie brak. W dalszych rozdziałach tej książki Czytelnik znajdzie jedynie to co ma pełne uzasadnienie w znanych materiałach.

### O czasach najdawniejszych — Paleolit

Co stanowi cechę charakterystyczną tej epoki z punktu widzenia dziejów człowieka? Nazwa — Starsza Epoka Kamienna — sugeruje używanie kamienia, co jest słusze, ale niewystarczające. Kamień rzeczywiście stanowił główny materiał, z którego człowiek ówczesny wyrabiał swe narzędzia (ściślej: narzędzia które dotrwały do naszych czasów), ale nie to jest rzeczą najważniejszą. Dzisiejsza nauka kładzie główny nacisk na rodzaj gospodarki ludzkiej, ona zaś w tamtej epoce polegała na zbieraniu żywności, polowaniu i rybołówstwie. Gdy się ten typ gospodarki znacznie kończy — kończy się również epoka paleolitu. Zmiana oczywiście nie odbywała się jak na komendę, jednocześnie i od razu we wszystkich częściach ziemi, gdzie tylko żyli ludzie. Nie data więc, ale zmiana trybu życia decyduje o końcu paleolitu. Dla niektórych rejonów przypada ona mniej więcej 10.000 lat temu, dla innych znacznie później. Np. w centralnej Australii i Ameryce arktycznej żyli ludzie w epoce paleolitycznej prawie aż do naszych czasów. To znaczy, że żyli ze zbierania żywności i polowania nie znając rolnictwa i hodowli zwierząt. Zatrzymanie się w rozwoju gospodarczym nie świadczy, że to samo się działo w innych dziedzinach ich życia, jak np. w wierzeniach religijnych, organizacji społecznej itp. Te ulegały zmianom.

Twierdzenie, że epoka paleolityczna skończyła się 10.000 lat temu, odnosi się do rejonu, który pierwszy zaczął przechodzić na nowy typ gospodarki. Stało się to na tzw. Bliskim Wschodzie.

Niewiele jest na świecie miejsc, w których odkryto pozostałości po najstarszym człowieku. Wszystkie one są brane pod uwagę, ale ponieważ Europa jest zbadana stosunkowo najdokładniej materiał europejski przeważa. Zdarzało się, że jakieś ślady znaleziono najpierw w Europie i nadano im nazwę, najczęściej związaną z najbliższą okolicą. Później zaś, po nowych odkryciach podobnych rzeczy w innych częściach świata i na nie rozciągano tę samą nazwę. Wspominam o tym, aby Czytelnik nie uległ sugestii, że jeśli np. nazwy są francuskie to znaczy, że właśnie Francja (dokładniej: tereny dzisiejszej Francji) odgrywała jakąś ważniejszą rolę.

Dlaczego w poprzednim rozdziale wspomniałem łącznie z paleolitem (Starszą Epoką Kamienną) również i pleistocen (epokę lodową)? Wyjaśnienie jest proste: życie człowieka zawsze zależało, tylko wówczas więcej niż dzisiaj, od warunków istniejących na ziemi: klimatu, ukształtowania powierzchni, roślinności, zwierząt itp. Zmiany w nich powodowały zmiany w życiu człowieka.

W okresie od pół miliona lat wstecz, a może i dalej, aż do 10.000 lat temu świat wyglądał inaczej niż dzisiaj, zarówno pod względem ukształtowania powierzchni jak i klimatu. Ponieważ i w tym wypadku najwięcej wiadomości posiadamy o Europie i najbliższej położonych częściach świata, całej tej epoce nadajemy nazwę, związaną z tym co się działo w Europie, a mianowicie epoki lodowej.

Zasięg lodów zmieniał się parokrotnie: cztery razy zwiększał się (mówimy wtedy o różnych okresach lodowcowych, którym nadaje się różne nazwy) i trzy razy zmniejszał się (mówimy wówczas o okresach między-lodowcowych). Przypuszczalnie 35.000 lat temu czwarty, czyli ostatni okres lodowcowy doszedł do swego szczytu i rozpoczęło się powolne cofanie. Za jego koniec przyjmuje się czas koło 10.000 lat temu. Z tą chwilą zaczął się tzw. okres po-lodowcowy, w którym i my dzisiaj żyjemy. Lodowce na północy i w Alpach ciągle się cofają. Czy jednak nasz okres jest rzeczywiście po-lodowcowy, czy też tylko między-lodowcowy, tego nie wiemy. Jeśli nawet to drugie, to sądząc z przeszłości nie prędko nam grozi zlodowacenie.

Przesunięcia nie były regularne, a odbywały się w okresach obejmujących czasami dziesiątki, a czasami setki tysięcy lat. Sam proces był bardzo powolny, tak że nie wystarczało nawet życia kilku pokoleń do zorientowania się w zachodzących zmianach, zwłaszcza klimatycznych. W szczytowych momentach poszczególnych okresów lodowcowych tereny wolne od lodów miały klimat arktyczny, a więc dość ostrą zimą i krótkie lato. W miarę zmiany warunków (mających najprawdopodobniej swój początek we wszechświecie) lody powoli cofały się, to znaczy topniały na swych skrajach, odsłaniając nowe tereny. Jednocześnie masy wody unieruchomione dotychczas w lodowcach, a ich grubość w niektórych miejscach dochodziła do kilku kilometrów, spływały teraz do mórz, podnosząc ich poziom o wiele metrów i zmieniając przez to linię brzegową. W okresach międzylodowcowych na terenach wolnych od lodów było ciepło (cieplej niż obecnie), kwitło życie zwierzęce i roślinne. W jednym z nich, i to trwającym koło 100.000 lat, klimat w dużej części Europy był prawie podzwrotnikowy.

Przesuwanie się lodowców odbijało się na klimacie nie tylko najbliższych terenów, ale również i dalszych. Wilgoć, która w zimnych rejonach zwiększała zasięg lodowców, w innych (np. na południe od morza Śródziemnego) spadała w postaci ulewnych deszczów czyniąc z Sahary teren pokryty zielenią łąk i puszczy. Ale za to w miarę ocieplania się klimatu w Europie ilość opadów na Saharze zmniejszała się. Wybitne zmiany zachodziły również w liniach brzegowych. Nie wchodząc w szczególności wystarczy wspomnieć, że 10.000 lat temu morza Śródziemne i Czarne były morzami zamkniętymi, że Afryka miała wobec tego bezpośrednie połączenie z Europą przez Hiszpanię, że wyspy Brytyjskie połączone były szerokim pasem ziemi

z Europą, a morze Bałtyckie pokrywał lodowiec, obejmujący również całą Skandynawię i północne wybrzeża dzisiejszego Bałtyku.

W ciepłych okresach między-lodowcowych z Afryki poprzez mosty łączące ją z Europą przesuwały się na północ słonie, nosorożce, hipopotamy, jelenie, antylopy, lwy i tygrysy. W okresach panowania lodów zwierzęta te cofały się na południe, a ich miejsce zajmowały mamuty, bizony, nosorożce, dzikie konie, renifery, przychodzące ze wschodnich stepów i tundr syberyjskich. Cztery razy Europa przeżywała tę wędrówkę zwierząt. Dopiero pod koniec ostatniego okresu lodowcowego, gdy znikły połączenia lądowe, Europa zdana była wyłącznie na zwierzęta przychodzące ze wschodu.

#### *Pekińczyk i Neandertalczyk*

W epoce lodowej, a pod tą nazwą rozumiemy zarówno okresy lodowcowe jak i przerwy między nimi, żyła istota, która pozostawiła ślady swej działalności w postaci bardzo prymitywnych, ale wykonanych według pewnego planu i obrobionych ręką narzędzi kamiennych. Możemy o niej powiedzieć, że była człowiekiem. Czy można ją umieścić w czasie?

Przed odpowiedzią warto rozważyć dwie kwestie. Pierwsza, co innego jest używanie a co innego robienie narzędzi. Nas obchodzi istota wykonująca je, choćby w najbardziej prymitywny sposób. Druga kwestia dotyczy uznania co jest zrobionym narzędziem, a co dziełem przypadku. Najstarsze ze znalezionych „narzędzi” są tak prymitywne, że wywołują zastrzeżenia ze strony wielu uczonych, skłonnych traktować je jako wytwory naturalne, a nie dzieła rąk ludzkich. Uznanie ich za narzędzia — dzieło człowieka — przesunęłoby jego dzieje o setki tysięcy lat wstecz, a więc nawet do okresu poprzedzającego epokę lodową. Pozostawiając cały ten problem, jako jeszcze nie rozstrzygnięty, na uboczu, pozostaniemy w granicach epoki lodowej.

Pierwszymi istotami, o których rzeczywiście wiemy że wyrabiały narzędzia, a więc mogą być przez nas traktowane jako istoty ludzkie, byli mieszkańcy jaskini Czou-kou-tien w Chinach, koło Pekinu. Człowiek współczesny nie bardzo chętnie przyznaje się do jakiegokolwiek pokrewieństwa z nimi, przede wszystkim ze względu na różnice w budowie ciała, w szczególności których wchodzić tu nie będę. Wydaje się, że istoty te z naszego punktu widzenia, rzeczywiście, nie wyglądały zbyt pięknie, przypominając rysami twarzy i osadzeniem głowy raczej małpy, z czego też pochodzi ich nazwa — Pithecanthropus, czyli małpo-człowiek. W ogólnej jednak postaci i w sposobie chodzenia byli podobni do nas.

Jakiegokolwiek jednak były związki czy pokrewieństwa między Pithecanthropus'em a naszymi bezpośrednimi przodkami, któ-

rych zaliczamy do *Homo Sapiens* (o nich później), pozostaje faktem stwierdzonym, że ten małego-człowiek wytwarzał narzędzia, co prawda tak prymitywne, że gdyby nie znaleziono ich obok resztek ogniska i spalonych oraz rozłupanych kości to uszłyby uwagi badaczy. Znał on również ogień i używał go, chociaż nie wiemy czy potrafił go krzesać czy też wywoływać w jakikolwiek inny sposób. Sam jednak fakt używania ognia stawiał go w lepszej pozycji wobec otaczającego świata, jak również świadczył, że potrafił on wykorzystać dwie rzeczy, którymi był obdarzony: ręce i mózg. Dzisiaj jest nam łatwo powiedzieć: człowiek dokonał pierwszego wynalazku czy odkrycia, ale musimy pamiętać, że nawet najprostsze z nich było rezultatem wielu i długich obserwacji, prób, pomyłek, nauk z nich wyciągniętych, sukcesów zauważonych, zapamiętanych, porównanych i wykorzystanych. Nie będzie na pewno przesadą stwierdzenie, że pierwsze wynalazki-odkrycia ludzkie były owocem wysiłku umysłowego tego samego typu i natężenia, jeśli nawet nie większego, co nasze współczesne, uwzględniając oczywiście tradycje, trening umysłowy itp.

O tych ludziach, nazwijmy ich dla skrótu Pekinńczykami, wiemy niewiele co więcej, niż powiedziane wyżej. Kiedy żyli? Gdzieś między pół miliona a ćwierć miliona lat wstecz. Pozostałości w Chinach pochodzą sprzed 400.000 lat. Żyli ze zbierania żywności, a więc jej nie produkowali, byli wszystkożerni, nie gardząc nawet swymi pobratymcami, a więc uprawiali kanibalizm, specjalne zamiłowanie wykazując do szpiku oraz mózgu, o czym świadczą celowo rozłupywane kości ludzkie i zwierzęce oraz rozszerzony otwór u podstawy czaszki. Pewne zgrubienia na czaszce, w miejscu w którym skupiają się ośrodki mowy, wskazują że człowiek ten używał jej, a przez to mógł się nie tylko porozumieć z innymi, ale i przekazywać swe doświadczenia następnym pokoleniom. Chiny nie były jedynym miejscem jego zamieszkania, gdyż podobne szczątki znaleziono również w innych częściach świata (np. na Jawie), ale bez towarzyszących narzędzi.

I to jest wszystko. Reszta może być tylko przypuszczeniami, nie opartymi na materialnych danych. A pytań nasuwa się wiele: czy używał jakiegokolwiek odzieży, czy zawsze mieszkał w jaskiniach czy też budował sobie choćby najprymitywniejsze szałas, czy i w jakim stopniu był zorganizowany społecznie, jak był rozmieszczony w świecie, jakie było jego pokrewieństwo z istotami ludzkimi, znanymi nam z czasów późniejszych, jakie były ich wzajemne stosunki, czy przekazał im czy też nie swój dorobek „kulturalny”, kiedy i dlaczego przestał istnieć? Nie mamy również odpowiedzi na takie dość podstawowe pytanie, czy znalezione „narzędzia” w innych miejscach świata, ale bez towarzyszących im szczątków ludzkich, były dziełem jego czy też innych, odmiennych istot ludzkich? Pithecanthropus, który czekał na „odkrycie” setki tysięcy lat (aż do 19 wieku

po Chr.) teraz czeka na swoją historię. Czy się ją uda odtworzyć — to już inna sprawa.

Musimy, zmuszeni brakiem wiadomości, zrobić potężny skok w czasie, jakieś 200-300 tysięcy lat. Nie jest to okres bez-ludzki, bo ślady życia człowieka w różnych częściach świata znajdujemy, ale nic lub prawie nic o samym człowieku nie wiemy. Więcej natomiast wiadomości posiadamy z okresu 150.000 lat temu, przyjmując tę datę ze wszystkimi możliwymi zastrzeżeniami. Wiemy, że w tym czasie w wielu miejscach świata (Europie, zachodniej Azji, Afryce) żyły istoty ludzkie, które ze względu na podobieństwa w budowie, obejmujemy jedną nazwą Neandertalczyków (od miejscowości Neanderthal, koło Düsseldorfu w Niemczech). Grupę żyjącą w Europie znamy najlepiej i o niej też głównie będziemy mówić.

Neandertalczyk zasługuje na pamięć z wielu względów: wyrabiał rozliczne i raczej ulepszone narzędzia w porównaniu z omówionymi wyżej, znał ogień i umiał go używać, był odważnym myśliwym i stworzył pewne obyczaje, których ślady przetrwały, tak przynajmniej przypuszczamy, do dnia dzisiejszego. No, i wreszcie dla Europejczyków o tyle jest interesujący, że w pewnym sensie był on „pierwszym” Europejczykiem nie tylko dlatego, że wiemy o nim na terenie Europy trochę więcej, ale i dlatego, że żył na jej terenie znacznie dłużej niż jakikolwiek inny człowiek po nim. Cóż znaczy kilka czy kilkanaście tysięcy lat, którymi mogą się pochwalić niektóre z żyjących w Europie grup ludzkich w porównaniu do 100.000 lat, w ciągu których obserwujemy obecność Neandertalczyka w Europie. Mimo jednak takiej głębi czasowej, obraz jego życia jest dla nas dość płaski, głównie ze względu na brak materiału faktycznego oraz niemożność rozmieszczenia tego co wiemy dokładnie w czasie, a więc bez możliwości porównania okresów początkowych i końcowych.

Zacznijmy od wyglądu zewnętrznego. Dość niski, (mężczyźni około 1 m. 50 cm., kobiety niższe), o muskularnym tułowiu używający głównie prawej ręki, o chodzie chwiejnym, na trochę zgiętych kolanach ze względu na wysuniętą naprzód głowę, z twarzą w której uderzały: cofnięta dolna szczęka, wystające łuki brwi oraz cofnięte niskie czoło — na pewno nie stanowił zbyt pięknego zewnętrznego typu. Ale czy musiał być tak odpychający jak go czaami przedstawiają niektórzy rysownicy czy malarze, tego nie wiemy, bo nie mamy żadnych informacji ani o jego skórze, ani o włosach, ani też oczach. A one znaczą bardzo wiele!

Oceniając jego dorobek, niektórzy uczeni są skłonni do twierdzenia, że nie należał do istot zdolnych, a może nawet nie był zdolny do skoordynowanego myślenia wskutek czego np. potrafił częściowo udoskonalić technikę wykonywania narzędzi, ale nowych nie wymyślił. Pytanie jednak: a skąd się

wzięły te narzędzia? pozostaje nierozstrzygnięte. Czy je przejął czy też sam wymyślił? Wiemy o nim również, że znał mowę, może niezbyt skomplikowaną, ale wystarczającą do wzajemnego porozumiewania się i organizowania. Jest również rzeczą zastanawiającą, że objętość jego mózgu była nawet większa od objętości mózgu olbrzymiej większości dzisiejszych Europejczyków. Sama objętość nie świadczy o niczym (co jest oczywiście dla nas dużą pociechą), ale nie jest ona zupełnie bez znaczenia, zwłaszcza jeśli zważymy, że myślenie Neandertalczyka nie ograniczało się jedynie do spraw żywienia.

Żył głównie z polowania, rybołówstwa nie uprawiał. Polował na mamuty, włochate nosorożce i inną grubą zwierzynę żyjącą w tundrach rozciągających się na peryferiach pokrywy lodowej. Mięsa nie spożywał na miejscu zabicia, lecz przynosił do „mieszkania”, a więc jaskini. Takie polowanie wymagało nie tylko odpowiedniej broni, którą był oszczep z krzemienym ostrzem (a trzeba pamiętać, że krzemień jest twardszy niż jakikolwiek metal oprócz stali), ale również zbiorowego, zorganizowanego, dobrze zaplanowanego wysiłku i akcji, nie jednej tylko rodziny, ale i większych grup. Dlatego też mamy prawo przypuszczać istnienie jakiejś szerszej choć prymitywnej organizacji społecznej, działającej jeśli nie stale to od czasu do czasu.

Najbardziej jednak interesującą cechą Neandertalczyków było posiadanie pewnych wierzeń czy pojęć w zakresie życia duchowego. Jakich? — Z faktu, że zmarłych chowali z pewnym ceremoniałem, że zwłoki były składane w pobliżu ognisk w specjalnie wykopanych lub wykutych grobach, często zabezpieczonych kamieniami przed naciskiem ziemi, że ciała układano w specjalny sposób, a wokół nich umieszczano żywność i narzędzia — z tego wszystkiego możemy wnioskować że istniał dla nich problem śmierci i że próbowali go jakoś rozwiązać. A to już było bardzo dużo. Możemy z dużą pewnością założyć, że dla człowieka pierwotnego śmierć przedstawiała się inaczej trochę niż dla nas. Była to sprawa ciągłego ryzyka w czasie polowania, a często rezultat wyczerpania. Śmierć wchodziła w zakres codziennego życia, jako coś co się może zdarzyć w każdej chwili. Jeżeli więc ten problem niepokoił czy zastanawiał, rodził pytania i podsuwał próby odpowiedzi — widocznie mózg Neandertalczyka pracował i zapewne, jak na niego, bardzo intensywnie.

Co się jednak naprawdę kryło za tymi zwyczajami — tego nie wiemy. Czy fakt grzebania zmarłych w pobliżu ognisk miał u swej podstawy jakieś powiązanie życia z ciepłem, może chęć przywrócenia życia przez ciepło? Jeśli tak, to zwyczaj ten był związany z tak mocną wiarą, że była silniejsza od doświadczenia. Czy może w tak dalekiej przeszłości szukać należy naszego zwyczaju palenia świec na grobach? Problem śmierci — tak możemy przypuszczać — nie wyczerpywał całości życia duchowego Neandertalczyków, ale dowodów na to nie mamy.

Ludzie neandertalscy przetrwali, dzięki swej budowie i przemyślności, najgorszy klimatycznie okres, aby dość nagle (dla nas) zagać. To nagle nie oznacza ani dziesiątków, ani setek lat, lecz raczej tysiące. Ustąpili miejsca innym ludziom. Ile w tym „ustępowaniu” było tragedii wzajemnych walk i bezlitosnego tępienia się możemy się tylko domyślać, odkrywając po wielu tysiącach lat morderstwa dokonane na tubylcach i na przybyszach. W jaskini (w Chorwacji) zginęło 21 Neandertalczyków, przeważnie kobiet i dzieci, a potupane i opalone kości sugerują, że byli oni przez zabójców potraktowani jako rodzaj zwierzyny łownej. Zdaje się, że tubylcy nie pozostawiali dźgni, o czym świadczy znów inne odkrycie, a mianowicie morderstwo dokonane na kobiecie z dzieckiem i trzech mężczyznach. Wszyscy oni nie należeli do Neandertalczyków. Zginęli śmiercią gwałtowną (kobieta od ciosu miażdżącego jej czoło), ale motywem zbrodni nie była chęć rabunku, bo narzędzia, broń i naszyjniki z muszel i zębów zwierzęcych pozostawiono na miejscu.

Według prawie powszechnego zdania współczesnych uczonych w żyłach dzisiejszych Europejczyków nie ma zupełnie krwi neandertalskiej. Byłoby to zgodne z teorią wytępienia ich, u podstaw której tkwi założenie o niełączeniu się przybyszów z europejskimi tubylcami. Jest jednak rzeczą możliwą, że w procesie zanikania Neandertalczyków odgrywały rolę i inne czynniki, jak np. niezdolność do szybszego i bardziej zdecydowanego przystosowania się do nowych, raczej gorszych warunków bytowania.

Przeciwnicy poglądu całkowitego wytępienia powołują się na to, że wśród późniejszej, a nawet współczesnej nam ludności Europy pojawiają się pewne cechy anatomiczne człowieka neandertalskiego. Są również ślady, że jego narzędzia i sposób ich wyrabiania były stosowane przez ludy żyjące znacznie później. Mogło to jednak przejść drogą pośrednią, a nie bezpośrednio.

W związku z powyższym musi pozostać bez rozwiązania pytanie, które jednak warto zadać: czy z dorobku człowieka neandertalskiego nie pozostało nic? czy poszedł on całkowicie, z punktu widzenia ciągłości rozwoju człowieka, na marne? Być może, że przyszłość przyniesie nowe materiały i jakąś odpowiedź.

#### *Człowiek rozumny*

Człowiek typu neandertalskiego nie był jedynym żyjącym w epoce paleolitu. Ale i tutaj ograniczona wiedza nasza nie daje ani pełnych ani pewnych odpowiedzi. Byli inni ludzie, ale jacy, jakie były między nimi koligacje, kiedy się pojawiali i kiedy zanikali, gdzie mieszkali i jak się przesuwali oraz co było właśnie ich dorobkiem w walce o byt i niezależność się od natury — nie wiemy. Wiemy jednak, że w ciągu ostatnich kilkudziesięciu tysięcy lat paleolitu występuje w wielu miejscach





świata typ zwany przez nas *Homo Sapiens*, Człowiek Rozumny. Co nie znaczy, że wtedy powstał. Jego początki sięgają bardzo daleko wstecz, a są nawet przypuszczenia, oparte na znalezionej w 1932 r. w Kenii (Afryka) części szczęki i zębów, że żył już na samym początku epoki lodowej. Nie znaczy również, że żył tylko tam, gdzie znaleziono jego szczątki (w Afryce, w Palestynie, w Chinach oraz w Europie). Nadanie wspólnej nazwy *Homo Sapiens* nie oznacza, że mamy ich traktować jako jednolitą całość, jeden „lud”. Wspólna nazwa podkreśla jedynie zasadnicze podobieństwa w budowie ich ciała i naszego, wskutek czego możemy ich uważać za naszych, oczywiście w perspektywie dziesiątków tysięcy lat, przodków. Między poszczególnymi grupami ludzi tego typu występowały spore różnice, obejmując również poziom i sposób życia oraz dorobek. Nie wszystko to co było wynalezione w jednej grupie było udziałem wszystkich. Jedne z nich rozwijały się bardzo powoli i wyraźnie kontrastowały z osiągnięciami innych. I w tym wypadku, jak i poprzednio, dalsze informacje oparte są głównie na wykopaliskach w Europie.

Gdyby żywcem przeniesionego z tamtych czasów przedstawiciela *Homo Sapiens* oddać pod opiekę dzisiejszego krawca i fryzjera, to po wyjściu od nich nie raziłby we współczesnym tłumie, pod warunkiem oczywiście, że nie sprawiłby zamieszania swoim zachowaniem. Był obdarzony pewnymi — wśród innych stworzeń tylko jemu przynależnymi, właściwościami ciała i umysłu, wskazującymi nie tylko na umiejętność przystosowywania się do otoczenia, ale również — i to jest ważniejsze — na większą niż inne istoty ludzkie zdolność projektowania, zmierzającego do zmienienia otoczenia zależnie od swych potrzeb.

Podobnie jak Neandertalczyk był przede wszystkim myśliwcem. A zwierzyny było wtedy w bród i to różnorodnej: mamutów, reniferów, dzikich koni i innych. Nawet na trudnych terenach centralnej Europy, które były wtedy otwartą tundrą, o zimnym klimacie i ostrych wiatrach, myśliwcy potrafili przeprowadzać bardzo skuteczne polowania, o czym np. świadczą kości prawie 1000 mamutów znalezione tylko w jednym miejscu (na Morawach). Jeszcze lepiej powodziło się myśliwcom w centralnej Francji, gdzie i klimat był łagodniejszy i więcej było jaskiń dogodnych do mieszkania. Zwierzyny było tak dużo, że nie trzeba było nawet prowadzić życia koczowniczego, a sama gospodarka pod tym względem była dość nieoszczędna, bo jak świadczą znaleziska w niektórych miejscach tylko część mięsa była używana, resztę pozostawiano na zniszczenie.

W przeciwieństwie do człowieka neandertalskiego *Homo Sapiens* zaczął uprawiać w Europie rybołówstwo, wykorzystując bogate pod tym względem rzeki. Był również znacznie lepiej wyposażony technicznie niż jakiegokolwiek spotykane przed nim grupy ludzkie. W technice wykonywania narzędzi kamiennych

widać długą tradycję i postęp, zmierzający do bardziej oszczędnego zużywania materiału i do zaoszczędzenia sił ludzkich. Powstają narzędzia bardziej specjalne, jak np. coś w rodzaju dłuta, które można było stosunkowo łatwo „ostrzyć”, nóż krzemienno-księżycowy o kształcie naszego noża kieszonkowego z długim ostrzem, który oprawiony w drzewo mógłby i dzisiaj służyć różnym celom, od temperowania ołówka do oporządzenia królika. Obok krzemienia jako głównego materiału do wyrobu narzędzi zaczęto używać również i inne, jak np. kości zwierząt, kły słoniowe i rogi. O nich wiemy, bo przetrwały do naszych czasów, ale były zapewne i inne, które niszczały (drzewo). Znane są również z tego okresu narzędzia do wyrabiania narzędzi, nowy sposób ostrzenia kamieni oraz umiejętność robienia okrągłych otworów w kościach, rogach i kamieniach, co było niewątpliwie rezultatem zastosowania ruchu obrotowego, a więc jak gdyby pierwszym krokiem ku wynalezieniu koła. Ogólnie mówiąc nowe ulepszenia techniczne wskazywały na posiadanie przez człowieka coraz zręczniejszych palców i używanie ich w przeciwieństwie do dawniejszych czasów, gdy broń czy narzędzie trzymane było całą dłonią.

W dalszym ciągu ogień był wielką potęgą w ręku człowieka. Był nie tylko środkiem obrony (płonące ognisko trzymało z daleka niebezpieczne zwierzęta) ale również i bronią zaczepną, gdyż grupie ludzi z pochodniami w ręku łatwiej było zapędzić wielkiego zwierza do przygotowanej pułapki. Był on również ośrodkiem życia rodzinnego i społecznego. Znajomość jego datuje się, jak to już wiemy, od bardzo dawna, ale teraz mamy pewność, że człowiek znał sposób wywoływania go przez krzesanie lub innym sposobem. Mógł go więc mieć wtedy gdy potrzebował, a potrzebował niewątpliwie często.

Kiedy człowiek zaczął używać ognia do przygotowywania jedzenia — nie wiemy. Kiedykolwiek jednak się to stało był to niewątpliwie ważny moment gdyż skracał sam czas jedzenia: gryzienie surowego mięsa i roślin trwa znacznie dłużej niż spożycie ich w formie gotowanej. Po odliczeniu czasu potrzebnego na przygotowanie pozostawało obecnie człowiekowi więcej chwil wolnych na inne zajęcia. Walka z czasem to bardzo ważny czynnik w dziejach rozwoju człowieka. Z jego dorobku to się ostawało jako trwałe, co zmniejszało okres potrzebny na zdobycie żywności, albo innymi słowy — co dawało mu więcej czasu wolnego.

W potocznym naszym mniemaniu w życiu człowieka pierwotnego problem odzieży stał zaraz na drugim miejscu po żywności. Czy tak jednak było rzeczywiście? Bez jedzenia jest trudno żyć, ale czy równie trudno było żyć bez ubrania? Przecież ciało ludzkie, nie tylko twarz i ręce, wspaniale przystosowuje się do różnych klimatów, na co mamy nawet w najnowszych czasach przekonujące przykłady (plemiona zamieszkujące Ziemię Ognistą). Można snuć daleko idące przy-

puszczenia i rozważania dlaczego i kiedy porzucił człowiek przyrodzoną mu nagość i zaczął się odziewać, stwarzając sobie w ten sposób jeszcze jeden kłopot życiowy. Dla nas interesującym w tej chwili pytaniem jest czy *Homo Sapiens* w omawianych przez nas czasach odziewał się czy nie? Nie mamy co do tego pewności. Jeśli słuszne są przypuszczenia uczonych że pewne narzędzia z tego okresu były skrobaczkami do skrobania skór, a inne igłami do łączenia ich, to prawdopodobnie człowiek ówczesny starał się o zdobycie odzienia. Nie ulega wątpliwości że kiedyś to zrobił, a kiedy już zaczął — to musiał kontynuować.

A kwestia mieszkaniowa? Jeśli były jaskinie to mieszkali w nich, bardziej ze względu na bezpieczeństwo niż co innego, a jeśli ich nie było równie dobrze „mieszkał” pod gołym niebem lub też „budował” sobie, a raczej wykopywał „dom” w ziemi, osłaniając górę skórami. Możliwą jest również rzeczą, że w pewnych okolicach budował coś w rodzaju namiotów, używając do tego skór.

Nie mamy rzeczowego materiału aby odpowiedzieć na pytanie jak się przedstawiało życie zbiorowe. Ale pytanie to warto postawić, choćby dlatego aby uświadomić sobie, które problemy w dziejach rozwoju człowieka nie są jeszcze wyjaśnione. Ludzie ówcześni żyli zapewne w grupach rodzinnych, ale ze względu na krótkotrwałość życia ludzkiego w tych czasach (30-40 lat) składały się one najwyżej z dwu, a bardzo rzadko z trzech pokoleń. A jak była zbudowana sama rodzina? Czy był to męczyzna z „haremem” czy też było współżycie wszystkich męczyzn ze wszystkimi kobietami? Jeśli kogoś oburzy takie przypuszczenie niech zajrzy do tego co pisze Juliusz Cezar (w księdze V, rozdziale LI) o zwyczajach małżeńskich starożytnych Brytonów (Brytyjczyków) w roku 55 przed Chr. Antropologowie, badający życie współczesnych nam ludów pierwotnych, dostarczają również wiele materiału pod tym względem. Kto stał na czele rodziny? Męczyzna czy kobieta? Problem kto jest matką dziecka nie przedstawiał nigdy trudności, inaczej zaś przedstawiała się sprawa ojcostwa, nie tylko ze względu na brak małżeństwa monogamicznego, ale i z tego powodu że nie zawsze akt współżycia seksualnego łączyony był z ojcostwem.

Niezależnie od tego jak była zorganizowana sama rodzina zdaje się nie ulegać wątpliwości, że życie społeczne nie ograniczało się tylko do niej. Współdziałanie wielu rodzin było rzeczą konieczną, gdyż upolowanie grubego zwierza wymagało współpracy wielu ludzi. Jeśli nie były to stałe związki to co najmniej dorywcze. Wśród takich grup rozwijała się, może jeszcze bardzo prymitywna, niemniej jednak ważna tradycja społeczna, która umożliwiała korzystanie z doświadczeń pokoleń poprzednich.

Każda z istniejących grup była jednostką samowystarczal-

ną, to znaczy zdobywała lub produkowała wszystko, co było potrzebne do życia, a więc żywność, narzędzia, broń itp.

Jednocześnie jednak obserwujemy utrzymywanie stosunków z dalszymi grupami i nawet wymianę pewnych przedmiotów. Tak więc np. znalezione w środkowej Francji muszle, którym zapewne przypisywano pewne specjalne wartości (magiczne?), mogły być sprowadzone tylko z nad morza Śródziemnego. Brak kompletnej izolacji w stosunku do dalszych sąsiadów ułatwia i wzmagają wymianę doświadczeń, stając się przez to czynnikiem pobudzającym rozwój.

Stosunków tych nie należy jednak wyobrażać sobie zbyt idyllicznie. Kontakty z innymi to nie tylko pokojowa i przyjacielska wymiana przedmiotów, pomysłów czy doświadczeń, ale również zaborczość i chęć łupów. Jeszcze co prawda ówczesny człowiek nie doszedł do tak „wysokiego” stopnia rozwoju, aby wyrabiać specjalną broń ku zwalczaniu innych ludzi, ale zdaje się że był na najlepszej drodze ku temu, używając broni do polowania również jako broni przeciwko innym, „roзумnym” jak on sam, stworzeniom. Mamy również poważne dane na to, aby przypuszczać, że *Homo Sapiens* uprawiał kanibalizm.

*Groby, figurki, naszyjniki, malowidła. Co się kryło za nimi?*

Ogólnie biorąc myślicom z okresu końcowego paleolitu powodziło się pod względem materialnym (żywnościowym) nie najgorzej. W związku z tym ale nie koniecznie jako rezultat tego wzmagają się ich działalności i na innych polach, nie zawsze związanych z bezpośrednimi potrzebami życia codziennego. Na szczególniejszą uwagę zasługuje wzrastający niewątpliwie poziom życia duchowego. Musiało ono być dość bogate i urozmaicone, o czym świadczą liczne pozostałości, będące zapewne tylko drobnymi okruchami bogatszej całości, w dużej mierze nieznaney i niezrozumiałej dla nas.

O czym myśleli, w co wierzyli lub co chcieli osiągnąć ludzie ówcześni przygotowując dla swych zmarłych dość skomplikowane groby (np. otoczone łopatkami mamutów), posypując ciała czerwonym proszkiem (ochrą), czasami pozbawiając je głów i chowając bez nich, a czasami grzebiąc same głowy, a zawsze składając do grobu nie tylko żywność i narzędzia, ale również i ozdoby? Wszystko to miało niewątpliwie głęboki sens dla nich i było związane z jakimiś pojęciami o życiu po śmierci. Może prawdą jest przypuszczenie uczonych, że posypywanie czerwonym proszkiem ciała zmarłego było związane z nadzieją przywrócenia mu życia przez nadanie skórze wyglądu bardziej naturalnego. Chociaż to nie działało, to jednak wiara przetrwała kilkadziesiąt tysięcy lat. Coś się za tym kryło, ale co?

Co skłoniło człowieka do wyrabiania takich przedmiotów jak naszyjniki z zębów zwierzęcych? W jednym z grobów na

Morawach znaleziono 600 paciorków z przewierconych kłów różnych zwierząt. Co skłaniało do wytwarzania naszyjników z muszli, bransolet z kości, rzeźbionych rękojeści noży, figurek rzeźbionych w miękkim kamieniu, w kości lub lepionych z gliny? Dość powszechnie przyjmuje się dzisiaj, że wszystkie one miały cel bardzo użyteczny, a mianowicie magiczny: zapewnić powodzenie w polowaniu. Aby to dokładniej zrozumieć należy pamiętać, że w umyśle prymitywnego człowieka, a nawet i współczesnego nam, istnieje bardzo ścisły związek między żywym przedmiotem a jego wyobrażeniem. Jeszcze przecież nie tak dawno wierzono, że przekłucie woskowej figurki, przedstawiającej wroga, spowodzi jego zniszczenie. Jeszcze i dzisiaj przez posiadanie podobizny drogiej nam osób pragniemy zapewnić sobie ich „obecność” wśród nas. Znieważenie portretu wroga ma również bardzo starą tradycję. Podobnie rozumował człowiek pierwotny. Chcąc mieć zapewnioną zwierzyńnię malował lub rzeźbił jej podobiznę, a chcąc zapewnić sobie celny rzut oszczepu wyobrażał to na rysunku.

Przyjęcie magii, jako czynnika leżącego u podłoża działalności „artystycznej” człowieka, wyjaśnia niewątpliwie wiele, ale czy wszystko? Czy nie należałoby przyjąć, że obok czynników czysto praktycznych istniały również inne, mniej związane z zaspakajaniem potrzeb codziennych w zakresie żywności? Wielu przedmiotom wymienionym wyżej (ozdobom, rzeźbom itp.) przypisujemy wartości estetyczne. Może i człowiek późnego paleolitu posiadał jakieś potrzeby tego typu, znajdując ich zaspokojenie np. w prostym geometrycznym ozdobniku. W takim wypadku rodówód dzisiejszej biżuterii i wszelkich ozdób byłby bardzo stary i szacowny. Podobnie odległy rodówód posiadają gwizdki i piszczałki (z kości), które mogły początkowo odgrywać jakąś rolę w obrzędach, a może służyły tylko do dawania sygnałów.

Do bardzo ciekawych zabytków należą wspomniane wyżej niewielkie (kilkucentymetrowe) figurki rzeźbione. Są to postacie kobiece, znane nam dzisiaj najczęściej pod zbyt pochlebną nazwą Wenus z dodatkiem miejscowości, w której je znaleziono (np. Wenus z Willendorfu). Znaleziono ich wiele w olbrzymim pasie ziemi ciągnącym się od Donu poprzez całą Europę środkową aż do Pirenejów. Gdyby ktoś jednak spodziewał się zobaczyć rzeczywiście piękną kobietą ten będzie, i to bardzo, rozczarowany. Uwydatnione z wielką przesadą cechy piersi (piersi, pośladki oraz oznaki ciąży) przy całkowitym pominięciu twarzy, zdają się świadczyć o pewnych wierzeniach związanych z płodnością i być może były połączone z jakimiś obrzędami magicznymi. Ponieważ podobne figurki znaleziono również bardziej na wschód od Europy połączone to z przypuszczeniem o azjatyckim pochodzeniu europejskich myśliwców późnego paleolitu. W Azji kult bogini płodności był bardzo rozwinięty.

Naszyjniki, bransolety, figurki itp. mogą nas ciekawić, zadziwiać i wywoływać pytania, ale na ogół nie stwarzają nici bezpośredniej łączności między człowiekiem z tamtych czasów a nami. Sytuacja zmienia się jednak zasadniczo gdy stykamy się z inną formą ich działalności — malarstwem.

Zacznijmy od początku. Jeszcze osiemdziesiąt lat temu nikt w świecie cywilizowanym nie przypuszczał, że człowiek paleolitu, nawet z końcowego jego okresu, mógł cokolwiek innym się zajmować niż wyrabianiem narzędzi i broni, służących do zdobywania żywności. Toteż wiadomość, że pewien Hiszpan, z zamiłowania archeolog, zwiedzając jaskinię znajdującą się na terenie jego posiadłości, odkrył w niej rysunki i malowidła, które przypisał człowiekowi z epoki paleolitycznej — spotkała się z powszechnym powątpiewaniem, a nawet gorzej, bo z posądzeniem o próbę oszustwa. Trzeba było dopiero nowych odkryć na terenie Francji, w 15 lat po tamtym, aby przekonać uczonych. Od tej pory jaskiń z rysunkami i malowidłami odkryto wiele, mniejszych i większych, lepiej lub gorzej zachowanych, w bardzo wielu punktach, ale głównie w północnej Hiszpanii i Francji. Do najbardziej znanych i najważniejszych należy jaskinia w Altamirze (ta właśnie pierwsza odkryta w Hiszpanii) oraz w Lascaux, odkryta w 1940 r. w południowo-zachodniej Francji.

Pierwsza z nich posiada sufit pokryty obrazami, głównie bizonów, czasami naturalnej wielkości, malowanych na czarno, czerwono i brązowo. Niektóre z nich są ryte, bo należało to do ówczesnej techniki czy zwyczaju, aby malować obraz dopiero po wyręczeniu go, co zastępowało rysowanie. Wykorzystując, świadomie lub nieświadomie, naturalne załamania, wybrzuszenia oraz inne nierówności sufitu „artyści” stwarzali wrażenie malowideł trójwymiarowych. Barwy, mimo kilkunastu tysięcy lat, zachowały pełną żywość i do dnia dzisiejszego sprawiają wrażenie czegoś nowego i świeżego. Twórcy tych malowideł znali swe modele świetnie, o czym świadczą przedstawione szczegóły. Całość była dziełem wielu pokoleń.

Jaskinia w Lascaux zawiera może nie najstarszy, ale niewątpliwie najwspanialszy zespół malowideł człowieka paleolitycznego. Na wapiennych, śnieżno-białych ścianach i sufitach malowideł zwierząt (byków, krów, jeleni, małych dzikich koni, dzikich kóz) sprawiają niesamowite wrażenie przez pełen wdzięku naturalizm, żywość kolorów (czarnych, żółtych i czerwonych) oraz rozmieszczenie. „Artyści” malowali zwierzęta z profilu, jak gdyby chcieli pokazać je w najbardziej rozpoznawalnej postaci. I oni również znali swe modele bardzo dobrze, zarówno w szczegółach budowy jak i w ruchu.

Patrząc na te malowidła widz zatracza poczucie czasu, dzielącego nas od chwili ich powstania (kilkanaście lub więcej tysięcy lat), zatracza poczucie obcości czy odmienności, tak

żywe przy patrzeniu na którąkolwiek ze wspomnianych wyżej Wenus, i czuje się wprowadzonym w krąg spraw odmiennych od tych, o których mówią kamienne narzędzia, broń i inne drobne przedmioty. Patrzymy na dzieła takich samych ludzi jak my, i chociaż nie zawsze ich rozumiemy, to jednak czujemy, że to są rzeczy ważne.

Pytania nasuwają się jak lawina. Jaki cel czy zamiar przysługiwał twórcom? Co ich skłaniało, że głęboko pod ziemią, w jaskiniach nie służących celom mieszkalnym, w miejscach czasami oddalonych jak najbardziej od wejścia, gdzie światło dzienne nigdy nie dochodziło, tak wysoko na ścianach lub sufitach, że trzeba było stać na barkach innego człowieka lub mieć coś w rodzaju drabiny, lub też tak nisko, że trzeba było leżeć przy pracy — rysowali, ryli i malowali zwierzęta. Jak doszli do takiej sztuki, zarówno w sensie artystycznego oddania modelu jak i sensie czystego rzemiosła?

W łańcuchu odkryć, wynalazków, ulepszeń itp. pierwszy rysunek człowieka stanowił jeden z przełomowych momentów. Nie tylko dlatego, że był pierwszą próbą pokonania podstawowej trudności jaką jest przedstawienie w dwu wymiarach czegoś co jest trójwymiarowe, ale i dlatego, że zewnętrzniał istnienie w człowieku nowych i odmiennych możliwości.

Sztuka jaskiniowa świadczy nie tylko o swoistym geniuszu ówczesnego człowieka i o talentach jednostek, ale i o wykształconej i opartej na długiej tradycji technice. Malowidła nie powstały od razu, lecz w poszczególnych jaskiniach narastały przez tysiące lat. Samo narysowanie, wyrycie i pomalowanie to nie tylko kwestia talentu, ale również problem pokonania setek piętrzących się trudności ściśle technicznych, a więc wyszukanie miejsca, przygotowanie farb, zapewnienie jakiegoś oświetlenia, stworzenie narzędzi itp.

Na niektóre z pytań, zwłaszcza dotyczących samej techniki, znaleziono już odpowiedzi mniej więcej zadowolające, ale na najważniejsze — co tkwiło u podstawy tego typu działalności twórczej człowieka — odpowiedzi jeszcze nie mamy. Snujemy tylko przypuszczenia. Jedno z nich, ciesząc się dość powszechnym uznaniem, głosi że wszystko to jest związane z magią. Rysując lub malując człowiek pragnął zapewnić sobie skuteczność polowania. Ale jak to wyglądało w praktyce? Czy każdy myśliwy musiał rysować, malować osobiście? Takie przypuszczenie, przynajmniej w odniesieniu do jaskiń które znamy, należy odrzucić, gdyż wymaga przyjęcia nieprawdopodobnego założenia, że wszyscy oni byli wielce utalentowani. Musiałby więc być jakieś bardziej skomplikowane obrzędy. Na pewno nie wystarczyło tylko przyjść i popatrzeć się (względnie „pomodlić się”). „Stała galeria” nie wystarczała, o czym świadczy fakt częstego malowania nowych obrazów na starych.

Pewne światło na praktyki magiczne rzuca również model

z gliny niedźwiedzia jaskiniowego w jednej z jaskiń. Ślady uderzeń oszczepem pozwalają przypuszczać, że model ten okryty był skórą (czaszka znaleziono między przednimi łapami) i że on właśnie był przedmiotem zabiegów. Może była to swego rodzaju szkoła myśliwców. W jednej z jaskiń znaleziono również wizerunek człowieka w przebraniu ze skóry z rogami i ogonem. Był to zapewne czarodziej, a może jednocześnie artysta.

Istnieje przypuszczenie, że ci czarownicy, patrząc na nich z punktu widzenia rozwoju gospodarczo-społecznego, byli pierwszymi w dziejach ludzkości „specjalistami” w swej sztuce. To znaczy, że nie brali bezpośredniego udziału w zdobywaniu żywności, lecz wykonując swe funkcje specjalne żyli z tego co im współplemieńcy ofiarowywali (dzisiaj powiedzielibyśmy — płacili) za ich usługi, za ich sztukę magiczną, cenioną przez wszystkich w równym stopniu jak zdolności każdego innego myśliwca. Był to zresztą okres gdy zwierzyny nie brakło i dlatego też magia działała, a czarownikom powodziło się dobrze. Takie przypuszczenie jest bardzo interesujące, nasuwają się jednak pewne wątpliwości, jak np. jeśli ci artyści-czarownicy rzeczywiście nie brali udziału w zdobywaniu żywności (to znaczy w polowaniach), to skąd mogli posiadać tak świetną znajomość swych modeli żywych, w ruchu?

„Magiczne” wyjaśnienie na pewno nie tłumaczy wszystkiego. Jego ściśle gospodarcza interpretacja (zwiększenie żywności) nie mówi nic o znaczeniu wielu innych, poza zwierzętami, rysunków i malowideł, jak np. wielu prostokątów przypominających szachownicę, sceny człowieka leżącego na ziemi (bez życia?), malowidła zupełnie fantastycznego zwierzęcia itp. To wszystko pozwala nam przypuszczać, że wyjaśnienia nasze zbyt upraszczamy i że rzeczywistość była znacznie bogatsza i bardziej rozmaita. Może jej nigdy nie odkryjemy, ale na pewno będziemy wiedzieli, że malowidła te, dzieła wielkiej sztuki, były dziełem takich samych ludzi jak my. Nicią bezpośrednio łączącą nas z nimi jest Sztuka.

Sztukę jaskiniową znamy z niewielu miejsc, głównie z pewnych części Francji, Hiszpanii, Włoch, co nie znaczy jednak, że nie było jej w innych miejscach. Ciekawe jednak poczyniono spostrzeżenie, które daje dużo do myślenia — oto znane nam tereny sztuki jaskiniowej pokrywają się dość dokładnie z terenami, na których odnaleziono ozdobione, i to na dość wysokim poziomie, przedmioty osobistego użytku.

*Lasy posuwają się na północ. Ślepa ulica gospodarki*

Okres pomyślności myśliwców kończył się wraz z epoką lodową. Jej koniec przypada gdzieś między 15 a 10 tysiącami

lat temu, gdy tundry i stepy europejskie, na których pasły się olbrzymie stada mamutów, reniferów, bizonów i koni zaczęły ustępować miejsca lasom.

Zmiany zachodziły nie tylko w Europie. Tereny na południe od morza Śródziemnego i w Azji zachodniej zamieniały się powoli w obszary o suchym klimacie z niewielkimi opadami deszczowymi, lub w pustynie, na których tylko gdzieniegdzie pozostawały mniejsze lub większe oazy. Nie stało się to oczywiście od razu. Aczkolwiek w porównaniu do zmian w poprzednich okresach działo się to znacznie szybciej, to jednak zarastanie lasem zarówno terenów wolnych przedtem od lodów, jak i świeżo uwolnionych od nich trwało nie setki lecz tysiące lat. Podobnie powoli następowało wysuszanie innych okolic. Tak więc np. Libia (w północnej Afryce) aż do końca drugiego tysiąclecia przed Chr. obfitowała w winnice, drzewa oliwne, pastwiska.

Żył więc człowiek ówczesny w zasadzie tym samym trybem życia, ustalonym przez tysiące lat i wiele pokoleń (polowanie, rybołówstwo, zbieranie żywności), ulepszając jedynie swe narzędzia i broń. Do najważniejszych udoskonaleń w okresie po-lodowcowym zaliczyć należy stworzenie narzędzi przydatnych do obrabiania drzewa. Zadne z dotychczasowych nie nadawało się do ścinania pnia, robienia desek itp. Ktoś kiedyś (nie wiemy tylko kto, kiedy i gdzie) wpadł na pomysł, aby znaną już poprzednio technikę gładzenia (szlifowania) kości, rogów i kłów wielkich zwierząt zastosować również i do kamienia. W ten sposób powstała siekiera lub topór kamienny, przy pomocy którego roboty w drzewie można było wykonać o wiele szybciej, sprawniej i dokładniej niż dawnymi narzędziami, co przy wzrastającym zaleśnieniu było rzeczą ważną. Powstają więc chaty drewniane, sanki i łodzie, nowe narzędzia, pułapki na zwierzęta.

W okresie po-lodowcowym pojawia się również nowa w Europie broń — łuk. Ten pierwszy, bardziej skomplikowany mechanizm, wynaleziony został najprawdopodobniej w Afryce bardzo dawno (ale kiedy — nie wiemy) i poprzez Hiszpanię dotarł do Europy. Stał się on punktem zwrotnym w uzbrojeniu człowieka europejskiego. Zwiększał wielokrotnie skuteczność polowania przez wydłużenie odległości, z której można było zabić zwierzę, przez zwiększenie celności w porównaniu z oszczepem, przez większą siłę przebiccia oraz możliwość wielokrotnego powtórzenia strzału, gdyż można było mieć więcej ze sobą strzał niż oszczepów. Do tego dochodziła oczywiście cichość. Trudno było o lepszą broń dla myśliwca, zwłaszcza w zmienionych warunkach, gdy trzeba było zadowolić się mniejszą zwierzyną niż poprzednio i chodzącą raczej oddzielnie, a nie w wielkich stadach.

Z tych też czasów pochodzą świadectwa, że człowiek zyskał swego pierwszego przyjaciela i pomocnika wśród zwierząt — psa. Na pytanie kto, kiedy i gdzie oraz w jaki sposób go oswoił, o tyle jest trudno odpowiedzieć, że stało się to na pewno nie w

jednym miejscu i nie raz i nie w tym samym czasie. Przyzwyczajeni do niego nie zdajemy sobie na ogół sprawy jak wielkie znaczenie miał on dla ówczesnego myśliwca. Nie bez pewnej słuszności oswojenie psa stawiane jest na równi z wynalezieniem ognia, dawał on bowiem człowiekowi w polowaniu i w życiu codziennym to czego ten nie posiadał, a mianowicie wspinały wdech, ostry słuch, szybki bieg, czujność w nocy, a w rejonach śnieżnych pomoc jako siła pociągowa (sanki).

Wszystkie te wynalazki i udoskonalenia zmierzały tylko w jednym kierunku — polowania. Całe życie ówczesnego człowieka nastawione było tylko na myślistwo i świetnie do tego celu dostosowane. Tylko że tej wielkiej zwierzyny trawozernej, dostarczającej pożywienia w bród było coraz mniej. Las i puszcza to koniec wielkiego zwierza, żyjącego w dużych stadach. Brzozy, sosny, w ślad za nimi idące dęby, wiązy i lipy, a wśród nich żyjące raczej pojedynczo jelenie, dzikie bydło, dzikie świny — oto nowe otoczenie człowieka w Europie.

Wymagało ono całkowitego przestawienia się. Magia, znajdująca dawniej swój wspinały wyraz w sztuce czy w innych przejawach działalności człowieka i na pewno skuteczna w okresie obfitości zwierzyny, przestała działać. Sztuka jaskiniowa zanika. Rozwój wynalazków staje się powolniejszy, dawniejsze narzędzia i broń nie mają takiego zastosowania do jakiego zostały stworzone, życie ludzi staje się biedniejsze, zmniejsza się ich ilość w Europie. Część z nich wędruje w gorsze tereny na północ i wschód w ślad za wielką zwierzyną, część zostaje na miejscu, z trudem przystosowując się do nowych warunków.

Tryb życia myśliwskiego, bez możliwości gromadzenia żywności na dłuższy czas, w ścisłej zależności od czynników całkowicie od człowieka niezależnych oraz konieczności posiadania do swego wyłącznego użytku rozległych terenów — cały ten tryb życia nie posiadał w sobie zarodków dalszego rozwoju. Wydaje się, że człowiek zrobił wszystko co było w jego możliwości i doszedł do krańca. Jeśli miał się dalej rozwijać — musiała nastąpić jakaś zasadnicza zmiana. Nawet najbardziej udoskonalone narzędzia i broń nie mogły zmienić zasadniczego faktu, że człowiek właściwie nic nie produkował, lecz żył jak pasożyt uzależniony całkowicie od otaczających go warunków. To, czego dokonano w ciągu setek tysięcy lat epoki lodowej, a zwłaszcza w ciągu ostatnich kilkudziesięciu tysięcy lat, było raczej świadectwem możliwości tkwiących w człowieku niż rzeczywistym uniezależnieniem się od przyrody.

Jeśli kierunek, w którym szedł dotychczasowy jego rozwój nie miał się stać ślepą ulicą, w której mógł żyć jeszcze tysiące lat, ale tylko vegetując, tak jak to się stało w wielu punktach świata, musiał być dokonany zasadniczy przełom w sposobie zdobywania żywności. Ten przełom to rolnictwo i hodowla zwierząt zamiast zbierania żywności i polowania. Tego dokonano na terenach, gdzie wskutek zmian klimatycznych sytuacja

cja przedstawiała się znacznie gorzej niż w Europie, a mianowicie w Azji zachodniej. Wysuszenie zagrażało bardziej głodem niż rozrost lasów i tam też problem znalezienia nowych źródeł żywności był bardziej ostry i palący. Ale to już jest temat następnych rozdziałów.

### Spojrzenie wstecz. Świat poza Europą

W wędrowce poprzez setki tysięcy lat dotarliśmy do końca epoki lodowej, przynoszącego wielkie zmiany klimatyczne w całym świecie, i jednocześnie do końca paleolitu, kiedy stare formy gospodarki ludzkiej, opartej na zbieractwie, myślistwie i rybołówstwie zaczęły wchodzić, w niektórych przynajmniej rejonach, w fazę końcową. Stoimy obecnie, czasowo biorąc, w okresie pokrywającym 10 i 9 tysiąclecie przed Chr. Dla łatwiejszego zapamiętania można się umówić: 10.000 lat temu.

Z zastrzeżeniem uczynionym wielokrotnie już poprzednio (ograniczeniu się przede wszystkim do terenów europejskich) spójrzmy jeszcze raz w przeszłość. Każda próba przedstawienia na kilkudziesięciu stronach tego, co się działo z człowiekiem w ciągu setek tysięcy lat, narażona jest na niebezpieczeństwo zniekształcenia rzeczywistości. W pierwszym rzędzie chodzi o poczucie głębi czasowej. Akcja, jeśli już tylko ograniczymy się do okresu zapoczątkowanego względnie masowym wystąpieniem na widownię *Homo Sapiens*, toczyła się przez kilkadziesiąt tysięcy lat, a więc obejmowała parę tysięcy pokoleń. Był to okres czasu kilkadziesiąt razy dłuższy niż czas trwania naszej ery. Za krótkim stwierdzeniem, iż *Homo Sapiens* w chwili pojawienia się na terenach Europy to (znaczy pojawienia się w naszych wykopaliskach) był lepiej technicznie wyposażony niż Neandertalczyk, kryją się tysiące lat bardzo powolnego dochodzenia do tego dorobku. Obserwujemy wielką różnicę w technice robienia narzędzi na początku ostatniego okresu paleolitu i pod jego koniec, co też jest rezultatem pracy i doświadczeń tysięcy lat. Podobnie było ze wspaniałymi osiągnięciami sztuki jaskiniowej. Pamiętanie o czasie urealni i bardziej uprawdopodobni podany poprzednio obraz.

Należy również pamiętać o zróżnicowaniu terytorialnym. Byłoby zbyt daleko posuniętym uproszczeniem, a nawet fałszowaniem rzeczywistości przekonanie, że to co znajdujemy w jednym rejonie było również znane wszystkim ludziom ówczesnym. Nawet dzisiaj, przy tak rozwiniętych środkach transportu i komunikacji obserwujemy wielkie różnice między poszczególnymi rejonami naszego globu, zarówno co do poziomu jak i kierunku rozwoju. Cóż dopiero w tamtych czasach, nawet jeśli się zdecydujemy nie wychodzić poza granice Europy. Są oczywiście wspólne rzeczy. Do takich w pierwszym rzędzie należy zbieracki i myśliwski tryb życia. Ale są również całkowicie odmienne.

Na terenach gdzie były jaskinie ludzie korzystali z nich, ale tam gdzie ich nie było organizowali swe życie inaczej. W pewnych rejonach istniała sztuka jaskiniowa, ale w innych nie — mimo że były jaskinie. Widocznie potrzeby odczuwane w jednych rejonach i zaspakajane na drodze malowideł, w innych nie były znane, a jeśli tak — to zaspakajano je inaczej. Gdy w dzisiejszej Francji malowano, to w Europie środkowej i wschodniej zadawano się ornamentyką geometryczną. Duże różnice występują również w rodzaju narzędzi, sposobie ich wykonywania itp. Człowiek współczesny ma skłonność do lekceważenia tego typu różnic, ale dla ówczesnych czasów były to różnice istotne i wielkie, bo za nimi były wieki i tysiące lat przystosowywania się do otaczających warunków, korzystania z możliwych materiałów, odseparowania od innych skupisk ludzkich itp.

Do tego wszystkiego dochodzi jeszcze sprawa samego człowieka. Mówimy o *Homo Sapiens* i pod tą nazwą rozumiemy istotę ludzką w okresie końcowego paleolitu, bez różnicy wzrostu czy koloru, istotę różniącą się w pewnych zasadniczych szczegółach od poprzednio istniejących istot czelkokszałtnych. Tak więc *Homo Sapiens* chodził zupełnie wyprostowany, kości jego były lżejsze i delikatniejsze, czaszkę miał węższą, twarz pozbawioną małpiego wyglądu, mózg, aczkolwiek objętościowo nie większy niż Neandertalczyka, bardziej wyrobiony. Ale w ramach tej charakterystyki, zawierającej zresztą tylko niektóre szczegóły, mieściły się różne grupy ludzkie. Ówczesni Europejczycy różnili się jako typy fizyczne między sobą równie — jeśli nie więcej — jak dzisiejsi. Różnice między poszczególnymi grupami były tak wielkie, że do dnia dzisiejszego uczeni wiodą spory, czy można je wszystkie, czy też tylko niektóre, uznać za dalekich przodków dzisiejszych mieszkańców Europy.

Mówiąc o całej tej epoce używałem w odniesieniu do człowieka głównie nazwy paleolit, unikając jej polskiego odpowiednika: starsza epoka kamienna. Uczyniłem to dlatego, aby uniknąć nieporozumień terminologicznych, związanych z koniecznością rozróżnienia poszczególnych okresów paleolitu. Łatwiej zrozumieć określenie starszy czy późniejszy paleolit niż skomplikowaną nazwę — starsza epoka kamienna lub też późniejsza starsza epoka kamienna. Jest jeszcze i druga przyczyna. Polska nazwa, aczkolwiek jest dokładnym tłumaczeniem paleolitu stale sugeruje ważność materiału używanego do wyrobu narzędzi, to jest kamienia. Dzisiaj jednak, chociaż tradycyjną nazwę pozostawiono, za istotną cechę charakterystyczną tych czasów uważa się sposób gospodarki. Obce brzmienie nazwy stwarza mniej mylnych sugestii. W dalszych rozdziałach z tego samego względu używać będę nazw następnych epok w brzmieniu obcym, a więc mezolit (zamiast Środkowa Epoka Kamienna) i neolit (zamiast Młodsza Epoka Kamienna).

W książkach specjalnie poświęconych paleolitowi epoka ta jest podzielona na pewne części, zależnie od znalezionego do-

robku materialnego człowieka, zwanego „kulturą”. Np. w okresie końcowym paleolitu, czyli od wystąpienia *Homo Sapiens*, rozróżnia się jako ważniejsze „kultury”: oryniacką (od miejscowości Aurignac we Francji) i magdaleńską (od La Madeleine), różniące się typem narzędzi, sposobem ich wyrabiania itp. Podział ten, jak i inne nie został jednak powszechnie przyjęty i podlega dość ostrej krytyce.

Jak wyglądała w paleolicie reszta świata? Wiedza nasza w tym kierunku jest bardzo skąpa i niepewna. Zaczniemy od Afryki, prawie przez cały ten czas połączonej z Europą lądem. Dopiero w ostatnich latach stała się ona przedmiotem poważniejszych badań i zaczyna pretendować do bardzo poważnej roli odegranej w przeszłości w dziejach człowieka. Jest ona nie tylko najbogatszym kontynentem w zakresie pozostałości paleolitycznych, ale ma również pretensję do posiadania najstarszych znanych nam narzędzi kamiennych, znacznie starszych niż uznawane do tej pory (przez niektórych uczonych) za najdawniejsze narzędzia, znalezione we wschodniej Anglii. Już dzisiaj nie ulega wątpliwości, że Afryka była miejscem gdzie narodziły się tak zwane pięściaki, najbardziej charakterystyczne narzędzie wczesnego paleolitu w Europie. Znane jest w nauce pod nazwami: *hand-axe*, *coup de poing*, *Faustkeil*. Jedynie Afryka może się poszczycić wykopaliskami pokazującymi rozwój pewnych narzędzi w pełnej kolejności. Nie jest również wyłączone, że będziemy musieli uznać Afrykę za kolebkę *Homo Sapiens*, jeśli przypuszczenia niektórych uczonych, związane z odnalezioną w Kenii zachodniej czaszką zostaną potwierdzone przez dalsze badania. Wszystko to jest jednak dopiero w trakcie badania, poszukiwań oraz sporów. Jeśli chodzi o działalność człowieka to w ogólnym zarysie była ona podobna do tego, co robił człowiek w Europie w początkach epoki paleolitycznej. Później, mimo iż zaczynają występować poważniejsze różnice, znajdujemy również charakterystyczne wspólne cechy, jak np. pokrywanie zwłok ochrą, pewne podobieństwa w narzędziach itp. Znalezione malowida (rysunki) w różnych częściach Afryki nie są jeszcze umieszczone w czasie i dlatego też trudno powiedzieć, czy pozostają one w jakiegokolwiek łączności z malowidłami europejskimi.

Azja zachodnia (rozumiejąc pod tą nazwą pas ciągnący się od stóp gór Anatolii na południe, ograniczony od wschodu płaskowyżem Iranu) była zaludniona i pod wieloma względami w swym rozwoju przypominała Europę. Ona też (Palestyna) pretenduje do miana kolebki *Homo Sapiens*, takiego, jakiego znamy w końcowym okresie paleolitu w Europie. Daleki Wschód, po ukazaniu nam istoty ludzkiej z Czou-Kou-Tien w Chinach, milknie. Wiemy jednak, że pod koniec epoki lodowej człowiek zamieszkiwał północne Chiny, Mongolię, Mandżurię i Syberię. Wyrabiał narzędzia kamienne, świadczące o dużej praktyce w tym kierunku, żył w małych społecznościach i stąd też najprawdo-

podobnie rozpoczynał swe wędrówki ku północnej Ameryce i Japonii. Niektórzy uczeni uważają, że w okresie 50.000 — 20.000 lat temu pustynia Gobi była prawdopodobnie kolebką ludów typu mongolskiego. Południowo-wschodnia część Azji, razem z tamtejszymi wyspami, stanowiła całość połączoną lądem i była zamieszkała przez ludność, wyrabiającą podobne narzędzia jakie spotykamy w Azji wschodniej.

Ciekawy problem stanowi Ameryka. Według ogólnej do niedawna opinii była ona przez całą epokę lodową bezludną częścią świata, a pierwsi ludzie (*Homo Sapiens*) pojawili się tam pod sam jej koniec, a więc 10.000 lat temu, przechodząc z Azji przez cieśninę Berynga. Ostatnio jednak i ona zaczyna się dopominać o prawa starszeństwa. Spory między uczonymi nie doprowadziły jeszcze do ostatecznej konkluzji czy znalezione ślady ognia, szczątki zabitych zwierząt oraz bardzo prymitywne „narzędzia” są rzeczywiście śladami ludzkich ognisk, zwierząt zabitych przez człowieka i narzędzi zrobionych ręką ludzką oraz czy można to wszystko umieścić między 30.000 a 20.000 lat wstecz. Gdybyśmy mogli ustalić względnie dokładnie kiedy cieśnina Berynga była stale pod lodem (co było niezbędne do jej przekroczenia) i jednocześnie kiedy Alaska była wolna od niego (gdyż to umożliwiało przesuwanie się myśliwców na południe) — to określenie daty przybycia pierwszych ludzi do Ameryki byłoby łatwiejsze. W każdym bądź razie w okresie 9.000 — 8.000 przed Chr. gromady myśliwców polowały już w Ameryce w ten sam mniej więcej sposób jak czyniono to w Europie. Pozostawili oni po sobie ślady ognisk, narzędzia i broń.

Tadeusz BORNHOLTZ

Polsko-szkocki Hotel

„STRATHGONA COURT”

(Właśc. C.C. Slezakowie)



Pokoje z ciepłą wodą, śniadaniem, telefonem, radiem, telewizją i obsługą od 21 szylingów

Przyjęcia towarzyskie i weselne do 70 osób

198, Cromwell Road, London, S.W. 5. Tel. FRE 7878/9

Stacje kolejki Earls Ct i Gloucester Rd, autobusy 31 i 74

W bezpośrednim sąsiedztwie stacji autobusowej lotniska londyńskiego.

## Deutscher - prorok i historyk (I)

„Izaak Deutscher — najwybitniejszy, najdokładniejszy i najbardziej pouczający ze wszystkich komentatorów spraw sowieckich...”. Ta opinia londyńskiej *Tribune* (20 października, 1961) bynajmniej nie jest wyjątkowym hołdem dla kogoś, kto uznawany jest szeroko jako badacz spraw sowieckich i wychwalany jako historyk. John Dewey powiedział o nim, że „wyzwolił się on od metody pochwał i nagan, dając czytelnikowi wzajemian zrozumienie”; Bertrand Russell chwalił jego „historyczną bezstronność”. Wpływ myśli Deutschera jest zdumiewający. W ostatnich dwudziestu latach znalazł on przychylny posłuch w diametralnie różnych środowiskach politycznych, od lewego skrzydła socjalistów po konserwatywnych niezłomnych. Jego artykuły ukazywały się w *Manchester Guardian* i w *Times*’ie, w *Corriere della Sera* i w *Washington Post*. Drukował go liberalny *Observer* i nieugięty konserwatywny *Sunday Times*, lewicowy *l’Express* i mieszczański *France-Soir*. Katolicki *Esprit* i sartrowski *Les Temps Modernes*, antykomunistyczny *Reporter* i anty-antykomunistyczny *New Statesman* korzystały z jego stałej współpracy. Filary brytyjskiego *Establishment* słuchały go z uwagą, gdy w 1956 roku wyjaśniał historyczne sprzeczności niepostępowej (kontr) rewolucji węgierskiej, a towarzysze Leduc i Pajetta, przywódcy kompartii Francji i Włoch, słuchali go w 1961 r. wyrokującego o niezbędnych warunkach do zjednoczenia partii socjalistycznych i komunistycznych, którą to koncepcję popierał. Neutralistyczni mężowie stanu krajów zapóźnionych w rozwoju, należący do marksistowskiej kategorii „narodowej burżuazji”, często powtarzali jego argumenty i podobnie czynili rewolucyjni trockiści z *La Quatrième Internationale*, popierający linię Mao przeciwko teź „narodowej burżuazji”.

Być może Deutscher jak i inni historycy marksistowscy, jest prorokiem patrzącym wstecz, niemniej na pewno nie jest on prorokiem wołającym na puszczy. Jakie są powody tej jego

popularności? Czy przepowiednie jego się sprawdziły — jak nie przestaje twierdzić? W jakim stopniu jest on dokładny jako historyk? Czy rzeczywiście wniósł on „beznamiętny temperament do studiów nad historią współczesną” — jak zapewnia recenzent *Economist*’a? Deutscher zawsze uważał się za człowieka politycznie zaangażowanego. Na otwarciu Klubu Nowej Lewicy w Londynie zakończył swe przemówienie hasłem: „Naprzód ku Czerwonej Dekadzie lat 1960-tych”! Dialektyczny (i polityczny) wyczyn pozostawania równocześnie *engagé* i *au-dessus de la mêlée*, może wydawać się niemożliwością dla zwykłych śmiertelników, ale czyż nie słyszeliśmy od Deutschera, że należy on do olimpijskiej tradycji Goethego? (1) Czy też może wszystkie te obwieszczenia nie są niczym innym jak cienko zakamuflowanymi racjonalizacjami namiętnego ideologa, ukazującymi — daleki od rozwagi — temperament zawiedzionego polityka?

Odpowiedź na te pytania nie da nam pełnego wytłumaczenia zjawiska, które możemy określić mianem „deutscheryzmu”; aby je uzyskać, konieczne jest o wiele szersze zbadanie powodów dla których tak wiele osób gotowych było w latach 1950-tych przyjmować za objawioną prawdę, dwuznaczności swego proroka. Niemniej, może okazać się rzeczą pożyteczną rzucenie okiem na źródła jego przekonań, ponowne przejrzanie jego prac, porównanie ich z faktami, dokładniejsze zbadanie metod posługiwania się materiałem dowodowym, i wreszcie odsonięcie powiązań między jego wizją historyka a doraźnym komentarzem bieżących wypadków politycznych. Jedynie w ten sposób uda się uczciwie stwierdzić, czy Deutscher rzeczywiście należy do tradycji Goethego, Shelleya i Jeffersona, na którą się powołuje wraz z patronatem samego Marksa.

### Tło osobiste

Izaak Deutscher urodził się w Polsce, w 1907 roku, w ortodoksyjnej rodzinie żydowskiej. Dziad jego i ojciec byli właścicielami drukarni, drukującej religijne wydawnictwa żydowskie; wuj był przed wojną senatorem w polskim Senacie z ramienia żydowskiej partii klerykalnej — Aguda. Deutscher chodził do szkoły rabinackiej i do lat kilkunastu nosił tradycyjny strój chasydzki. W końcu jednak zbuntował się zarówno przeciwko szkole jak i rodzicom, porzucił „jesziwę” i przywdział zwykły ubiór. Przedtem jeszcze zaczął pisywać wiersze po polsku, a jego tłumaczenia poezji hebrajskiej recytowano na spotkaniach literackiej awangardy, skupionej przy Uniwersytecie Krakowskim, gdzie młody chasyd, pisujący wiersze po polsku był swego rodzaju atrakcją. Wiersze jego drukował „Nowy Dziennik”, pismo żydowskie w języku polskim. Niektóre z nich miały charakter syjonistyczny, ale Deutscher wkrótce został socjalistą i nosił się z zamiarem współpracy w krakowskim „Naprzodzie”;

(1) Patrz *Heretics and Renegates* (Londyn, 1955), str. 21.



porzuciwszy jednak ten zamiar, przeniósł się do Warszawy, gdzie stał się komunistą i w wieku lat 19-tu wstąpił do nielegalnej partii komunistycznej.

Ewolucja ta nie ma w sobie nic niezwykłego. Wielu inteligentów żydowskich szukało w komunizmie rozwiązania tzw. „kwestii żydowskiej” w kraju, gdzie antysemityzm był nagminny, gdzie dyskryminacja stała na drodze do kariery, a zacołanie i bieda były powszechne.

Okazało się, że ironiczna Klio kryje w zanadrzu jeszcze niejedną niespodziankę dla młodego talmudysty przemienionego w dialektyka. „Ostateczne rozwiązanie” kwestii żydowskiej w Polsce rzeczywiście nastąpiło, w wyniku wyniszczenia przez nazistów trzech milionów Żydów; po wojnie zaś rządząca mniejszość komunistyczna, naszpikowana Żydami (często ukrywającymi swoje pochodzenie etniczne) przyczyniała się jedynie do utrzymania tradycyjnego antysemityzmu, chociaż Żydów w kraju już prawie nie było. Antysemityzm był bez cienia wątpliwości jednym z najważniejszych czynników wypychających Żydów w objęcia komunizmu, ale — aby ironii stało się w pełni zadość — ci co przeżyli wojnę, stali się świadkami nowej fali prześladowań, skierowanych przeciwko „bezdolnym kosmopolitom” kiedy — by użyć wyrażenia Tërca — „posługiwano się antysemityzmem w imię internacjonalizmu”.

To jednak było jeszcze w przyszłości. Zanim Hitler „zaopiekował się” problemem żydowskim w Polsce (i gdzie indziej), Stalin zniszczył to co dla wielu idealistów żydowskich w Polsce wydawało się instrumentem prawdziwego „rozwiązania” kwestii żydowskiej — mianowicie Komunistyczną Partię Polski, wymordowując jej przywódców. Deutscher był już wówczas od dłuższego czasu poza partią, wydalony w 1932 roku za napisanie cyklu artykułów krytykujących politykę partii w Niemczech (gdzie komuniści gorliwie atakowali „socjal-faszystów” z SPD). Przed wydaleniem Deutscher był sekretarzem redakcji wydawanego legalnie komunistycznego miesięcznika literackiego (w jidisz) — *Literarische Tribune* (drukował tam pod pseudonimem „Krakowskiego”) (2). Opuściwszy partię, współpracował przez pewien czas z małą grupą trockistów, która ogłosiła kilka broszur anty-stalinowskich. W 1934 roku grupa rozbiła się, a jej członkowie dołączyli do Bundu lub PPS. Deutscher wybrał PPS. Będąc jeszcze członkiem partii komunistycznej Deutscher pisywał zarówno w jidisz jak i po polsku (w legalnie wydawanym komunistycznym *Miesięczniku Literackim*); teraz przyjął skromną pracę w *Naszym Przeglądzie*, czasopiśmie żydowskim w języku polskim, wydawanym w Warszawie. Pismo to miało charakter „burżuazyjny” i popierało syjonizm. Deutscher pracował w nim do 1939 roku, kiedy to udał się do Anglii. W Anglii, po wybuchu wojny, wstąpił do armii polskiej. W 1942 roku uzyskał zwolnienie z wojska i następnie został przydzielony do Mi-

(2) *Księga wspomnień, 1919-1939* (Warszawa, 1960), str. 240.

nisterstwa Informacji przy ówczesnym rządzie polskim na wygnaniu. Od tego też czasu, chociaż drukował w Anglii już i przedtem, datować można jego karierę dziennikarską w tym kraju (nawiązał wówczas współpracę z pismami *Economist* i *Observer*). Jeśli wziąć pod uwagę trudności językowe, które musiał pokonać, jego sukces jako dziennikarza jest godny podziwu.

### Heretyk i rewolucja

Niesposób ocenić poglądów Deutschera bez wzięcia pod uwagę jego młodzieńczych urazów. Jego przywiązanie do złudzeń młodości i dwuznaczności sięgają korzeniami tego wcześniejszego, mało znanego, okresu. Pro-sowieckie sympatie, hagiografia trockistowska, współpraca w pismach „burżuazyjnych”, a równocześnie pozostawanie po stronie Historii i Proletariatu — wszystkie te charakterystyczne elementy zawarte są już w jego wczesnych doświadczeniach.

Nie wystarczy jednak wskazać na genezę poglądów Deutschera i czyniąc to, uważać, że się już tym samym obaliło. Metoda taka jest ulubionym chwytem tych marksistów, którzy twierdzą, że prawda jest społecznie uwarunkowana i tych psychologów według których dla odrzucenia czyichś przekonañ wystarczy ustalić ich motywy. Nie wszyscy jednak tak myślą, uważając, że nie można pominąć zbadania stosunku w jakim czyjeś poglądy znajdują się zarówno do faktów jak i głoszonych wartości.

Z tym zastrzeżeniem możemy zająć się odsłonięciem źródeł jego uprzedzeń, zarówno psychicznych jak i społecznych, uprzedzeń, które mimo „olimpijskiego” rodowodu intelektualnego Deutschera, są bardziej widoczne w jego pracach, niż w pracach wielu innych badaczy zagadnień sowieckich, nie przypisujących sobie tak wzniosłych koligacji intelektualnych. Jeśli zaś chcemy dotrzeć do tego, skąd wziął się typ myślenia, jaki widzimy u Deutschera, trudno o odpowiedniejsze źródło niż jego esej zatytułowany „Sumienie eks-komunisty”, który ukazał się w *Reporter'ze*, w kwietniu 1950 roku (i następnie włączony został jako pierwszy rozdział do książki pt. „Heretycy i zdrajcy”, wydanej w 1955 r.).

W eseju tym znajdujemy ideologiczne *credo* Deutschera. Przeciwwstawia on w nim komunistycznych heretyków zdrajcom komunizmu, dając do zrozumienia, że siebie zalicza do pierwszej kategorii, której zresztą dokładnie nie definiuje, pozostawiając jej znaczenie domyślności czytelników, którzy sami mają je pojąć z następującej krytyki zdrajców:

Prawie każdy eks-komunista zerwał z partią w imię komunizmu. Prawie każdy wystąpił, aby bronić ideału socjalizmu przed wypaczeniami biurokracji służalczej wobec Moskwy. Prawie każdy zaczął od wylewania brudnej wody rewolucji rosyjskiej, aby ocalić kąpiące się w niej dziecko. Wcześniej czy później intencje te ulegają zapomnieniu lub bywają porzu-

cone. Zerwawszy z biurokracją partyjną, heretyk zrywa z samym komunizmem. Przystaje bronić socjalizmu przeciwko nieprzebiegającym w środkach atakom; zaczyna bronić teraz ludzkości przed fałszami socjalizmu. Nie wylewa już więcej brudnej wody rewolucji rosyjskiej po to, by ocalić niemowlę; odkrywa bowiem w międzyczasie, że niemowlę to stało się powtorem, którego trzeba udusić. Heretyk przeobraża się w zdrajcę.

Inaczej „Heretyk”. Pozostanie on zawsze wierny swoim ideałom, nawet jeśli zmusza to do mieszania znaczeń (jak np. beztrojskie używanie terminów „komunizm” i „socjalizm” w sensie zamiennym), naciągania metafor i porównań historycznych. Nie zerwie z komunizmem, mimo afery leningradzkiej, powieszenia Kostowa i Rajka, sprawy krymskiej, procesu Slanskiego i spisku doktorów.

W mniemaniu „Heretyka” „świat podzielony jest na stalinizm i sojusz anty-stalinowski w podobny sposób jak dzielił się kiedyś na Francję napoleońską i Święte Przymierze”. Uważa więc, że „jedyną godną postawą, jaką może przyjąć eks-komunista, jest wzniesienie się *au-dessus de la mêlée*. Nie może on bowiem przylączyć się do obozu stalinowskiego, ale nie może również stanąć po stronie anty-stalinowskiego Świętego Przymierza, bez zadania gwałtu temu wszystkiemu co jest w nim najlepsze”. Niemniej, nie porzuca też sprawy obrony kąpiących się dzieci przed wyrządzanymi im krzywdami i czyni to w najbardziej wpływowych organach prasowych niegodziwego Świętego Przymierza. Niezbyt konsekwentnie usprawiedliwia tę postawę powoływaniem się na „niektórych wielkich intelektualistów”, którzy, w podobnej sytuacji w przeszłości, odmówili utożsamienia się z jakąkolwiek uświęconą Sprawą”. On, „Heretyk”, nie tak jak komunistyczny „Zdrajca”, idzie śladami Jeffersona, Goethego i Shelleya: jak ci trzej *outsiderzy* „wielkiego konfliktu swoich czasów” woli nie angażować się po żadnej stronie. Nieestety, „większość eks-komunistycznych intelektualistów skłania się ku tradycji Wordswortha i Coleridge’a zamiast iść śladami Shelleya i Goethego”, co oznacza, że są oni gotowi prawie na wszystko:

„nasz eks-komunista, dla najlepszych zresztą powodów, posuwa się do rzeczy jak najbardziej niegodziwych. Kroczy odważnie w pierwszym szeregu każdej nagonki. Jego ślepa nienawiść do dawnego ideału stanowi zczyn i podporę współczesnego konserwatyzmu. Nie rzadko potępia nawet najbardziej rozwodnioną wersję *welfare state* jako „ulegalizowany bolszewizm”.

Ten portret eks-komunistycznego zacieklego konserwatysty nie pasuje do sześciu pisarzy — Koestlera, Silone’a, André Gide’a, Louis Fischera, Ryszarda Wrighta i Stephen Spendera — których książkę, *The God that Failed*, Deutscher rzekomo omawiał w cytowanym esej. Żaden z nich nie stał się reakcjonistą społecznym, wszyscy pozostali liberalni w swych postawach politycznych. Jest jednak prawdą, że niektórzy eks-komuniści skłaniają się do przesadnej, a niekiedy maniackiej reakcji. Georg

Simmel w swej klasycznej analizie zjawiska apostacji opisał je z nieporównanie większym zrozumieniem niż Deutscher; według ankiet na ten temat, większość byłych komunistów ustala się na pozycjach socjal-demokratycznych, nie zaś konserwatywnych (3) Piszącemu te słowa, należącemu do późniejszego pokolenia i nie zaangażowanemu jak Deutscher w polityczne walki lat trzydziestych, wydaje się, że sprzeczna postawa Deutschera wypływa z czegoś, co można nazwać odwróconym „kompleksem apostazji”. I to jest też powód dla którego utrwalił się w swym okresie młodzieńczym lat dwudziestych i dla którego skłania się do romantycznego idealizowania swych wczesnych przekonań i „heroicznego okresu rewolucji”. Nie brak też „Heretykowi” wad, których dopatruje się u innych, takich na przykład, jak „charakterystycznej dla eks-komunisty niemożności uzyskania dystansu”. Nie byłoby rzeczą łatwą wykazać w poniższym opisie „Zdrajcy” co jest projekcją samego Deutschera a co przeniesieniem uczuć z samego siebie na innych:

Trapi go nieokreślone poczucie zdrady czy to swych dawnych ideałów czy też ideałów społeczeństwa burżuazyjnego: jak Koestler, może mieć nawet sprzeczne poczucie, że zdradził i jedne i drugie. Próbuje więc stłumić w sobie uczucia winy i niepewności, lub pokryć je pokazem nadmiernej pewności siebie i frenetycznej agresywności. Domaga się, by świat uznał jego niespokojne sumienie za najczystsze ze wszystkich.

Trudno byłoby w sposób doskonalszy scharakteryzować samego Deutschera.

1942-1947: *Przepowiednie i komentarze*

Deutscher zaczął popisywać się swą „bezstronnością historyczną” jeszcze nawet przedtem, za nim Stalin — w Teheranie, Jałcie i Poczdamie — położył podwaliny pod swe powojenne imperium. W artykule, jaki ogłosił w siedem miesięcy po nпадzie Hitlera na Rosję w londyńskich *Wiadomościach Polskich* (4) (pod pseudonimem Ignacego Niemczyckiego — co jest spolszczoną formą jego nazwiska) Deutscher wyłuszczył już te wszystkie myśli i przewidywania, które powtarzać miał odtąd przez dwadzieścia lat, niezależnie od bieżących dowodów historycznych jakimi mógł rozporządzać. Wypadki które potem nastąpiły w niczym nie wpłynęły na jego poglądy. Opinie te bowiem

(3) Patrz G.A. Almond, *The Appeals of Communism* (Princeton University Press, 1954). To samo odnosi się do młodych polskich rewizjonistów, których Deutscher karcił w 1957 roku i błagał, by nie stawiali się renegatami.

(4) Ironia chciała, że tygodnik ten zamknięty został w dwa lata później przez władze brytyjskie za nastawienie antysowieckie.

są wyznaniem wiary „prawdziwie wierzącego” i stąd nie dadzą się mierzyć zwykłym miernikiem jaki przywykliśmy stosować w celu upewnienia się czy przewidywania polityczne podchodzą pod kategorię realistycznych, przez porównanie ich z wypadkami jakie rzeczywistość nastąpiła, nie gdzieś, kiedyś, w odległej przyszłości, ale w czasie kiedy przewidywania te mają polityczne znaczenie, kiedy wpływają na polityczne postawy i postępowanie. Deutscher ciągle powtarza swe optymistyczne przepowiednie i żąda dla siebie uznania gdy tylko sytuacja nieco się polepsza w Związku Sowieckim, ale wygodnie zapomina o wszystkich swoich *konkretnych* przewidywaniach, którym wypadki zadają kłam. Gdy tylko jest to możliwe, idzie śladami delfickiej wyroczni, ubierając swe przepowiednie w formy niejasne, warunkowe, obwarowywując je taką ilością zastrzeżeń, by pozwoliło mu to ewentualnie wycofać się, o ile zajdzie potrzeba. Ten typ asekuracji nie zawsze jednak jest pod ręką, podobnie jak nie zawsze da się zrobić użytek z innej ulubionej drogi odwrotu, a mianowicie, że przepowiednie jego dotyczą jedynie długodystansowych rozważań. Na obwołanie „Heretyków i zdrajców” znajdujemy następujące stwierdzenie: „przewidywania autora mają to do siebie, że sprawdzają się ze zdumiewającą dokładnością, o czym przekonali się już nawet sceptycy”; w przedmowie do „Rosji po Stalinie” Deutscher pisał: „muszę przyznać, że nie spodziewałem się, by moje przewidywania zaczęły się spełniać w tak krótkim czasie” (str. 5). Oto co znajdujemy w artykule pisanym w 1942 roku, o którym wspominaliśmy wyżej:

Od dn. 22 czerwca, 1941 r. rewolucja rosyjska krwią robotników i chłopów rosyjskich na nowo przypieczętowuje swój nierozzerwalny związek z europejskim ruchem robotniczym... U podstaw ekspansji sowieckiej nie było żadnego z tych typowych czynników, którymi kieruje się każdy rzeczywisty imperializm. Nie było tu pogoni za rynkami zbytu lub źródłami surowców czy wreszcie terenów dla zyskownych inwestycji kapitałów. Aneksje sowieckie nie były koniecznością, wypływającą z samej struktury gospodarczo-społecznej kraju; były one tylko posunięciami w obronnej grze strategiczno-politycznej... Wojna rozwiewa na oczach ludu sowieckiego mit nieomylności totalistycznej i — musi ona pchnąć ustrój sowiecki ku głębokim przeobrażeniom wewnętrznym, ku wolności mas pracujących. Demokratyzacja ustroju okaże się zbawienna, nie tylko dla samego państwa sowieckiego; podziela ona również jako pożytny bodziec na rozwój socjalizmu na świecie i ustanowi ostatecznie nierozzerwalną łączność między ruchem robotniczym wszystkich krajów, a walczącymi ludami ZSSR.

Cokolwiek można powiedzieć o innych, ta konkretna przepowiednia w każdym razie nie sprawdziła się; sceptycy mieli tu rację. Sowieckie „masy pracujące” — a wielu z nich miało podobne złudzenia co Deutscher podczas wojny — spotkało rozczarowanie, nie pchnięto ich „w kierunku wolności”. Nie-imperialista Stalin, nie posiadając żadnych marksistowskich powodów do ekspansji, utwierdził swe panowanie nad 100 milionami Wschodnich Europejczyków, które to zmiany zostały szybko zaakceptowane przez Deutschera jako „nieodwracalne rewolu-

cje w Europie Wschodniej”. Nie było zresztą w tym nic dziwnego; w cytowanym artykule Deutscher stwierdzał, że „rewolucja przyniesiona na bagnietach, realizowana w sposób barbarzyński, *też* jest rewolucją”, a czyż nie wystarcza to w zupełności by zyskała sobie usprawiedliwienie „postępowych” umysłów? Teżę przewidyującą demokratyzację Rosji Sowieckiej, postawioną w roku 1942, Deutscher powtarzał następnie w artykułach drukowanych w *Observer’ze* i *Economist’cie*. Teza ta była wyraźnie fałszywa, niemniej przyjęta została wówczas przychylnie, idąc po linii pragnień zachodniej opinii publicznej, zmęczonej wojną i marzącej o stabilizacji i pokoju.

Po wojnie Deutscher, jako „Peregrine” w *Observer’ze*, nadal oświecał czytelników brytyjskich na temat przemian w Związku Sowieckim. Tak więc odejście Stalina od „linii patriotycznej”, forsowanej podczas wojny, i przyjęcie bardziej lewicowej linii, zgodnej z powojenną polityką ekspansji, przedstawione zostało jako odrodzenie internacjonalizmu:

Najbardziej uderzającą cechą życia rosyjskiego w pierwszych paru miesiącach od zakończenia wojny jest odpływ nastrojów nacjonalistycznych (11 listopada 1945).

Trzeba pamiętać, że zostało to napisane w przeddzień kampanii, przedstawiającej Rosję jako pierwszą w dziedzinie wszelkich odkryć i wynalazków. W tym samym czasie pojawiło się też Widmo Sowieckiego Marszałka, pojawiające się później w regularnych odstępach czasu dla zastraszenia zachodniej opinii publicznej i wykazania, że układna postawa nie stawiania oporu jest w rzeczywistości najlepszym wyjściem, skoro jej alternatywa jest zbyt, okropna, by o niej myśleć. Przesunięcia w rządzie sowieckim, obejmujące Woroszyłowa i Budienego, ale nie Żukowa, Rokossowskiego, Koniewa czy Tołbuchina, znalazły następującą ocenę:

Utworzenie nowego rządu zdaje się wskazywać na to, że przewagę uzyskała grupa będąca za pokojem, w przeciwstawieniu do grupy, którą można by uznać za potencjalnych zwolenników wojny. (31 marca 1946).

To znowu pisane było nie na długo przed blokadą Berlina i wojną koreańską. Również kraje satelickie zdawały się — zdaniem Deutschera — być całkiem zadowolone z istniejącej sytuacji. W korespondencjach Deutschera z Niemiec widzimy, że znalazł on wiele godnego pochwały w przyszłej rzeszy ulbrichtowskiej:

Tutaj, w strefie sowieckiej, kultura niemiecka posiada nieoczekiwany dynamizm i swobodę... Trudno powstrzymać się od refleksji, że nadużywany termin „sowiecka rewolucja kulturalna” nie koniecznie musi być pustym dźwiękiem... Rosyjskie rządy wojskowe, jakiegokolwiek są ich wady i błędy, nadają jednak wielu Niemcom poczucie celu i kierunku. Jest to być może jeden z najważniejszych faktów, pozostawiających w umyśle podróżnika w strefie sowieckiej ślad niezatarty... (3 marca 1946).

W Polsce Deutscher nie dostrzegł narastającego buntu, który w 10 lat później miał doprowadzić do polskiego Października. Ubodło go natomiast oświadczenie ambasadora amerykańskiego w Warszawie, który rzekomo miał ostrzec Polaków, by nie liczyli na kredyty amerykańskie, o ile upaństwowienie przemysłu będzie nadal postępować:

Jest to akt ingerencji nie mniej bezceremonialny niż jakiegokolwiek posunięcie rosyjskie w Polsce dotychczas (13 stycznia 1946).

Było to pisane w chwili, gdy Rosjanie zaciskali kontrolę polityczną nad Polską i kontynuowali wyzysk gospodarczy kraju. Deutscher bagatelizował kroki podejmowane przez Sowietów w celu coraz pełniejszego zglajszaltowania Europy Wschodniej. Wyrażenie „żelazna kurtyna” nie podobało mu się, chociaż w korespondencji z 2 czerwca 1946 roku konstatował, że „została ona podniesiona prawie w całej Europie”. Z drugiej strony polityka frontu narodowego, służąca wchłonięciu stronictw socjalistycznych przez partię komunistyczną jako wstęp do zdobycia pełnej władzy, znalazła w nim gorącego obrońcę:

Cel, jaki postawili sobie komuniści — stworzenia zjednoczonej Partii Socjalistycznej — jest słuszny i usprawiedliwiony (7 kwietnia 1946).

Inne korespondencje Deutschera z tego okresu utrzymane były w podobnym tonie.

#### 1948-1953: *Sumienie i percepcja*

Kiedy żelazna kurtyna zapadła ostatecznie nad Europą Wschodnią a terror stalinowski osiągnął swój punkt szczytowy w latach 1948-1953, Deutscher miał naturalnie trudności z dostrzeżeniem oznak zapowiadanej demokratyzacji. Wycofał się więc na pozycje obronne, nie pochwalając prześladowań, ale potępiając tych, co dawali wyraz swemu oburzeniu, ślepi na dialektykę terroru i postępu; wykazywał złą wolę Stalina, ale o wiele silniej atakował wystąpienia „rycerzy zimnej wojny” i „antykomunistycznych krzyżowców”, ujmujących się za ofiarą dyktatora. Miał „najczystsze sumienie ze wszystkich”; w przeciwieństwie do innych patrzył na popełniane właśnie zbrodnie z perspektywy historycznej. Pozwalało mu to zachować poczucie proporcji, umożliwiające ich rozsądną ocenę, do czasu gdy „historia oczyści i przeobrazi dzieło Stalina”.

Interesujące jest porównać ton w jakim Deutscher pisał o przestępstwach Stalina w różnych okresach czasu. Przed wojną potępiał je, używając określenia „zbrodnie” (podobnie jak Trocki kiedyś, a Thorez od niedawna). Po wojnie nadal je oczywiście potępiał, ale unikał nazywania ich zbrodniami. Po śmierci Stalina jego wzmianki na temat minionego etapu nadal owiane są w bawełnę; potępienie moralne jest w nich jedynie pośrednie, tak samo jak w powtarzającym się wiele razy określe-

niu ostatecznie ze zbrodni Stalina jako „skandalu z doktorami Kremla”. „Incydentem tym — pisał w „Rosji po Stalinie” — stalinizm sprowadził się do strasznego absurdu. Popenił samobójstwo moralne jeszcze przed śmiercią fizyczną swego twórcy” (str. 112).

Trudno zrozumieć dlaczego ten właśnie „incydent” jest takim skandalem, że aż stanowi „samobójstwo moralne” stalinizmu, a nie niezliczone ilości zbrodni popełnionych wcześniej. Dobór słów staje się jednak zrozumiały na tle wcześniejszych wypowiedzi Deutschera. Na przykład, w okresie, który znany jest wśród Żydów sowieckich jako Czarne Lata, kiedy całe kulturalne życie żydowskie zostało zlikwidowane, a prześladowania „bezdolnych kosmopolitów” przygotowywały grunt pod jeszcze radykalniejsze rozwiązanie, którego preludium stanowił miał „spisek doktorów”, Deutscher zaprzeczył jakoby istniała jakaś akcja rządowa specjalnie skierowana przeciwko Żydom sowieckim (stąd też jego późniejsze przejęcie się „skandalem”). 7 grudnia 1951 roku londyńska *Jewish Chronicle* zamieściła sprawozdanie z zebrania na temat: czy życie społeczne Żydów ma szansę przetrwania pod panowaniem komunistycznym? W zebraniu tym, odbywającym się pod egidą *World Jewish Congress*, wziął udział również i Deutscher:

P. Deutscher powiedział, że nie wierzy żeby można było oskarżać rząd sowiecki o jakieś specyficzne nastawienie antysemityczne. Wydaje mu się, że Żydzi są w Rosji traktowani na równej stopie prawnej z innymi obywatelami sowieckimi. Dodał też, że musi zastrzec się przeciwko zawartej w pytaniu implikacji.

Ogólnie rzecz biorąc, Deutscher robił wszystko by obraz ostatnich lat rządów Stalina wypadł jak najłagodniej, interpretując powojenne posunięcia dyktatora w sposób jak najbardziej dla niego wyrozumiały. Próby trzebień heretyki „w rzeczywistości miały charakter połowiczny” (5), a zresztą, na XIX Zjeździe KPZR „młoda gwardia stalinowska stała się świadkiem częściowego odrzucenia stalinizmu przez samych stalinowców” (6). Kto jest w stanie rozpoznać z tych słów okres, kiedy cały kraj pokryła nieprzenikniona noc terroru, a strach wciskał się w najmniejszą szparę sowieckiego życia, kiedy bizantyjska czołobitność wobec tyrana dochodziła do szczytu, a on sam przygotowywał jeszcze jedną krwawą łaźnię?

Z reguły „dewiacjonistów” ani nie wsadzano do więzień ani nie deportowano. Żądano od nich przyznania się do błędów i karano w formie łagodnej degradacji. Zdarzało się nawet, że niejedyn z zaatakowanych wkrótce potem zaszczycony był przez rząd nadaniem mu wysokich odznaczeń. Nawet forma przyznania się do winy różniła się znacznie od tej, do której Rosja przyzwyczaiła się już dawniej. Wypowiedziawszy konwencjo-

(5) *Russia after Stalin*, str. 108.

(6) *The Reporter*, 23 grudnia 1952.

nalną formułkę odwołania, „dewiacjoniści” nieraz bronili siebie i swych poglądów w sposób zawoalowany lecz widoczny (7).

*Mein Liebchen was willst du noch mehr?* — jakby powiedział Heine. Na tym jednak nie koniec. Podobne ujęcie powtarza się w zastosowaniu do okresu, w którym, według słów samego Deutschera, „terror wydawał się tracić na nasileniu” (mowa o okresie afery leningradzkiej, sprawy krymskiej, etc.). Oto werdykt zaczerpnięty z eseju będącego podsumowaniem serii artykułów drukowanych latem i jesienią 1951 roku w nowojorskim *The Reporter* (uaktualnionych w wydaniu książkowym (8)).

Do momentu skandalu z doktorami Kremła, to znaczy do 1953 roku, Moskwa wolna była od wykrywania niesamowitych spisków, dzikich polowań na zdrajców i wrogów ludu; nie było niczego co by przypominało sabaty czarownic z lat 1936-38. Podczas całej końcowej fazy ery stalinowskiej jeden tylko członek Politbiura, Woźniesiński, głowa Gosplanu, padł ofiarą czystki. Zniknął ze sceny nagle i bezgłośnie, nie wymagano nawet od niego by ukorzył się i wypowiadał publicznie. Innych członków partii oskarżonych o herezję lub odchylenia, spotkała jedynie łagodna degradacja, a nie najgorsza forma kary (9).

Deutschera, który wówczas jak i niejednokrotnie potem z oburzeniem odpierał zarzuty stawiające go w rzędzie apologetów Stalina, prześcignęły nie tylko wypadki, ale i oficjalne wypowiedzi sowieckie na temat ery stalinowskiej. Do błędu nie przyznał się jednak nigdy. Przeciwnie, podsumował swą publicystykę na ten temat stwierdzeniem: „Bynajmniej nie podważając moich przewidywań, wypadki jedynie je potwierdziły” (10).

#### 1953-1962: Nadzieje i rzeczywistość

Po marcu 1953 roku prognozyki Deutschera nabrały nagle nowego charakteru. Zniknięcie Bóstwa z widowni historycznej naturalnie musiało oznaczać zbliżanie się przemian. Powstała kwestia: w jakim kierunku przemiany te pójdą, jak wpłyną na sowiecki system polityczny, jaki będzie wynik walki o władzę na Kremlu? Tutaj optymizm Deutschera miał większe szanse sprawdzenia się niż uprzednio, gdyż jakieś polepszenie doli ludności, w rezultacie zbiegu takich czynników jak kryzys polityczny, rozwój ekonomiczny i przemiany społeczne, musiało nastąpić. Deutscher trafnie przewidział wiele z tych zmian, ale

(7) *Russia after Stalin*, str. 107.

(8) *Heretics and Renegates*, str. 128.

(9) W tym czasie Bułganin, powiedział Chruszczowowi: „Idę zobaczyć towarzysza Stalina. Będziemy rozmawiać jak przyjaciele. Ale co się ze mną stanie po wyjściu od niego — czy pójde do domu czy do więzienia — tego nie wiem”. Autor cytujący te słowa dodał: „Tak czuli się wówczas wszyscy”. (*Survey*, Nr 26, str. 56).

(10) *Esprit*, marzec 1954.

w dziedzinie politycznej mylił się nadal, ze względu na uproszczony sposób ujmowania stosunku między przemianami gospodarczymi a politycznymi.

Deutscher zaczął dawać wyraz swym oczekiwaniom w druku w dzień po śmierci Stalina, kiedy w artykule ogłoszonym w *Manchester Guardian* stwierdził, że postalinowski kryzys „da się rozwiązać na jeden tylko z dwóch sposobów: albo dojdzie do demokratycznej regeneracji rewolucji, albo do kontrrewolucji”. To ograniczenie alternatyw do dwóch tylko zastąpione zostało wkrótce inną dychotomią: tym razem przed Rosją stał wybór między demokratyzacją lub dyktaturą wojskową. Pogląd ten wyłożył autor szczegółowo w książce „Rosja po Stalinie”. Tłumaczył tam, że „dyktatura wojskowa nie oznaczałaby w sensie marksistowskim ani kontrrewolucji ani nawrotu do stalinizmu”; niemniej wyrażał przypuszczenie, że „perspektywa dyktatury wojskowej, chociaż realna, nie wydaje się prawdopodobna”, stąd też przewidywał raczej „powolną ewolucję w kierunku demokratycznym”. Podkreślił też jeszcze kilkakrotnie (11) że „wybór jest nadal między ewolucją komunizmu w kierunku demokracji a jakimś rodzajem dyktatury wojskowej” i choć ostrożnie podkreślał długodystansowy charakter tej alternatywy, nie cofał się bynajmniej przed naciąganiem faktów okresu postalinowskiej walki o władzę tak, aby pasowały do Madejowego łoża jego dychotomii.

Tak więc, chociaż Deutscher już przedtem obsesyjnie doprowadzał analogię z rewolucją francuską do niedopuszczalnych granic, oświadczając na przykład, że „rosyjskie odpowiedniki fazy jakobińskiej, Thermidora i okresu bonapartyzmu zeszyły się ze sobą i połączyły w stalinizm” (12), obecnie ponownie odkrył, że „między styczniem a marcem 1953 roku nad przyszłością zawisł cień rosyjskiego Bonapartego” (13). Cień ten pojawiał się odtąd regularnie, nie stając się jednak nigdy na tyle długim, by zasłonić przepaść dzielącą przepowiednie od ich spełnienia. Po zlikwidowaniu Berii w lipcu 1953 roku, Deutscher odkrył szczelinę

„między zgalwanizowanymi stalinowskimi metodami rządzenia a nie-stalinowskim mechanizmem władzy. Poprzez tę szczelinę padł znowu cień potężnego Bonapartego (14).

(11) *Heretics and Renegates*, str. 188 i 209.

(12) *Ibid.* str. 54. To było pisane w 1950 roku, we wstępie do francuskiego wydania „Stalina”.

(13) *Russia after Stalin*, str. 167.

(14) *Heretics and Renegates*, str. 189. Charakteryzując Bułganina Duetscher pisał w *Manchester Guardian* z 9 lutego, 1955: „Nowy Premier jest w wojsku, ale nie jest człowiekiem wojska. Za nim stoją jednak prawdziwi przywódcy korpusu oficerskiego: Marszałkowie Wasilewskij, Goworow Żukow, i inni. rzeczywisci kandydaci do nie objętej jeszcze roli sowieckiego Bonapartego”.

Malenkow zrezygnował 8 lutego 1955 roku ponieważ:

„marszałkowie sowieccy połączyli się z przywódcami Gosplanu w raczej nienaturalnym sojuszu przeciwko Premierowi i jego zwolennikom” (15).

Akcje marszałków sowieckich zaczęły iść w górę na Zachodzie, a Żukow zaczął teraz coraz wyraźniej być pasowany do odegrania roli Bonapartego przez prasę karmioną komentarzami w stylu Deutschera. Na temat kryzysu z czerwca 1957 roku Deutscher pisał w *The Times* (10 lipca, 1957), że:

„od pewnego już czasu Żukow grał rolę rzeczywistego arbitra wśród zwalczających się frakcji, teraz zaś wyraźnie rzucił swój decydujący wpływ na szalę Chruszczowa”.

Stąd wejście Żukowa do Prezydium oznaczało, że :

„od momentu jego pojawienia się w prezydium zdaje się on być jakby stworzony do odegrania roli arbitra”.

Jakże wielkie musiało być rozczarowanie Deutschera kiedy wkrótce potem Żukow wydalony został z Prezydium bez najmniejszych przeszkód; wojsko nie ruszyło nawet palcem w obronie swego najlepszego kandydata na Bonapartego. Najwidoczniej stosunki między partią a wojskiem były inne, niż wyobrażał je sobie nasz prorok.

Niemniej, pozostało jeszcze coś niecoś na pocieszenie. Ostatecznie, Deutscher był przecież przede wszystkim zaangażowany po stronie swej drugiej tezy: o zbliżającej się demokracji ustroju sowieckiego. Jak zwykle wychwytywał i podkreślał każdy element w sytuacji, dający się interpretować jako pierwszy krok w tym kierunku.

Od samego początku szydził z tych, którzy kładli nacisk na nieuniknione rywalizacje wśród przywódców po-stalinowskich. W „Rosji po Stalinie” nawet nie wspominał o możliwości walki o władzę wśród spadkobierców Stalina. Natomiast jednak po upadku Berii napisał posłowie do amerykańskiego wydania (przedrukowane następnie w „Heretykach i Zdrajcach”), w którym próbował zatrzeć za sobą ślady, naprawić swój błąd przy pomocy ataku na George’a Kennana za to, że Kennan rzekomo wyznawał pogląd „jakoby nie było istotnych konfliktów w sowieckiej grupie rządzącej”.

(15) *Manchester Guardian* z 12 lutego, 1955. Deutscher miał natomiast wyrobiony pogląd jakie podziały osobiste i społeczne spowodowały upadek Malenkowa: „Od samego początku, jak się zdaje, Bułganin i Kaganowicz byli głównymi przeciwnikami tego potężnego programu położenia nacisku na dobra spożywcze... Bułganin i Kaganowicz znaleźli możnych sojuszników w wojsku i w Gosplanie. Natomiast pogląd Malenkowa-Mikojanina znalazł szerokie, ale nie tak wpływowe poparcie w sferach akademickich i dziennikarskich, wśród inteligencji, wśród kierowników przemysłu lekkiego oraz w kadrach partyjnych odpowiedzialnych za morale narodu”.

Trudno się bardziej pomylić. Deutscher najpierw stwierdził, że „Malenkow połączył ministerstwo bezpieczeństwa z ministerstwem spraw wewnętrznych, stawiając Berię na czele połączonych ministerstw”. Beria zyskał sobie opinię „jednego z najbardziej umiarkowanych i wykształconych ludzi w otoczeniu Stalina” („Rosja po Stalinie”, str. 129-130).

„W ostatnim okresie swej działalności Beria stanowił paradoksalny przykład na wespół liberalnego szefa policji w totalitarnym kraju” („Heretycy i zdrajcy”, str. 177).

Szok musiał więc być niemały, gdy „liberalny” Malenkow ogłosił, że „liberalny” Beria jest wrogiem ludu i agentem imperialistycznym. Obaj oni, sugerował Deutscher (w „Rosji po Stalinie”, str. 120 i w „Heretykach i zdrajcach”, str. 184), byli swego rodzaju Walenrodami, ukrywającymi swe liberalne sympatie. Upadek Berii oznaczał „połowiczne zwycięstwo” „zaciekle zwolenników stalinizmu” (*Ibid*, str. 187).

„Te same stare dłonie policji politycznej, nienawistnie starającej się odzyskać swe święte prawo wymuszania „samooskarżeń” od swych ofiar, i wielkoruskich szowinistów połączyły się aby wziąć na nim odwet”. (*Ibid*, str. 177) (16).

A jednak *nil desperandum*. Porażka Berii, a potem „liberalnego” Malenkowa nie oznaczała jeszcze klęski zasady „kierownictwa zbiorowego”. Deutscher wyjaśnił, że Komunistyczna Partia Rosji sprzyja

„zastąpieniu przez kierownictwo zbiorowe zasady rządów partyjnych pod kierownictwem jednego przywódcy. Kierownictwo zbiorowe, czyli rządy komitetu, zakładają swobodę dyskusji najpierw w łonie samego komitetu, a następnie również na niższych szczeblach partii” (17).

Jest więc zrozumiałe że w związku z tym wszystkim Deutscher starał się w tym czasie pomniejszyć rolę Chruszczowa. Podczas XX Zjazdu wspominał znowu o „przejściu od autokracji do rządów kierownictwa zbiorowego” i oświadczył, że Chruszczow (przedtem określany jako przywódca skrzydła stalinowskiego) startł się na Zjeździe z Mikojanem.

„Reprezentują oni dwie różne i częściowo przeciwstawne tendencje. Chrusz-

(16) Prostsza wersja, oparta na niedyskrecjach Chruszczowa, mówi że Beria został zastrzelony czy uduszony przez swych kolegów z Prezydium, którzy, obawiając się jego władzy, zastawili nań przy pomocy niektórych dowódców wojskowych pułapkę.

(17) *Manchester Guardian*, 4 listopada 1954. W *Russia after Stalin* Deutscher oświadczył: „Biorąc rzecz historycznie, partia komunistyczna straciła wolność zabierając ją innym. Kiedy nareszcie odzyska ją, będzie musiała zwrócić ją i innym”, str. 147). Niemniej, wymieniał przy okazji jedynie organizacje społeczne, nie zaś partie polityczne.

czow zdaje się popierać drogę pośrednią między zaciekłymi stalinowcami i antystalinowcami" (18).

Po upadku Malenkowa Deutscher wyraził pogląd, że to Bułganin był głównym przeciwnikiem polityki dóbr konsumpcyjnych (19). Na krótko przed zwycięstwem Chruszczowa w czerwcu 1957 roku, nadal podkreślał on fakt istnienia instytucji „kierownictwa zbiorowego”, że „istotą kierownictwa zbiorowego jest rozproszenie, rozprowadzenie a tym samym ograniczenie władzy” (20). Po zamachu z czerwca 1957 roku pisał, że „przewaga Chruszczowa może być bardzo krótkotrwała” (21), przyznając jednak niechętnie w „Wielkim Konflikcie” (*The Great Contest*, Londyn, 1960), że chociaż Chruszczow nie stał się autokratą w rodzaju Stalina, „niemniej wydaje się, że to zbył się kierownictwa zbiorowego podobnie jak to kiedyś uczynił Stalin”. Od tego czasu Deutscher milczy na temat „kierownictwa zbiorowego”.

Leopold ŁABĘDZ

(D. c. nastąpi)

(18) *The Times*, 28 luty 1956. Wraca tam znowu do swego twierdzenia: „Prestiż Chruszczowa i jego wpływy maleją. Jego pojedynkowość stanowczo nie wytrzymała próby wypadków”. (*France-Observateur*, 8 listopada 1956).

(19) *Manchester Guardian*, 10 luty 1955.

(20) *Universities and Left review*, tom I. Nr 1. str. 4.

(21) *The Times*, 11 lipca 1957.

#### NOTA BIOGRAFICZNA

LEOPOLD ŁABĘDZ, urodzony w r. 1920. Szkoła średnia: Gimn. im. A. Kreczmar w Warszawie. Studia uniwersyteckie w Warszawie, Paryżu, Bolonii i Londynie. Specjalizował się w ekonomii i socjologii. Od r. 1950 w London School of Economics and Political Science. Od r. 1956 redaguje dział „From the Other Shore” w miesięczniku *Encounter* i współredaguje dwumiesięcznik *Survey* w Londynie. Od r. 1961 redaguje także międzynarodową serię książek, „Library of International Studies”. Współpracował w następujących publikacjach książkowych: „Soviet Cultural Scene, 1956-57” (Stevens, 1959), „The Russian Intelligentsia” (Ed. R. Pipes, Columbia University Press, 1961), „The Future of Communist Society” (Praeger, 1961), „Revisionism” (Allan & Unwin 1962). Zamieszczał artykuły w czołowych periodykach Europy, Ameryki, Azji i Australii. W r. 1961 organizował międzynarodową konferencję naukową wspólnie z Institut Universitaire de Hautes Etudes Internationales w Genewie. Obecnie przygotowuje podobną konferencję w St. Antony's College, w Oxfordzie. Zaproszony jako Senior Fellow na Uniwersytet Columbia na rok akademicki 1962/63.

## Poczta Polska

Zasnąłem w koszu na bieliznę, w którym znajdowały się listy do Łodzi, Wilna, Lwowa, Torunia, Krakowa i Częstochowy, z Łodzi, Lublin, Lemberg, Thorn, Krakau i Tschenstochau. Ale nie śniła mi się ani Matka Boska Częstochowska, ani Czarna Madonna (2); nie chrupałem też we śnie serca marszałka Piłsudskiego, przechowywanego w Krakowie (3); ani pierników, z których zasłynał Toruń. Nie przyśnił mi się nawet mój ciągle popsuty bęben. Leżąc tak, i nie śniąc, na listach w jeżdżącym koszu na bieliznę — Oskar był nieczuły na te wszystkie szelesty, paplania, niedyskreje, które na pewno wydobywały się z listów leżących na kupie. Listy były mi obojętne, nie oczekiwałem żadnej poczty i nie byłem dla nikogo nadawcą czy adresatem. Zasnąłem po królewsku, ściągawszy moją antenę na tej gorzej poczty, która dla innych mogła się stać światem informacji.

Łatwo więc teraz zrozumieć dlaczego list od pewnego Lecha Milerczyka z Warszawy do siostrzenicy w Danzig-Schidlitz mnie nie obudził, choć list ten był tak alarmujący, że mógł przerwać sen tysięcletniego żółwia; tak samo nie obudziły mnie ani bliski ogień karabinów maszynowych, ani daleki huk salw z podwójnych wież okrętów wojennych stojących w porcie.

Łatwo się pisze: karabiny maszynowe, podwójne wieże. Czyż ta ulewa, burza gradowa, szturm nawałnicy późnego lata —

(1) Rozdział z powieści „Bęben” (Die Blechtromme), Hermann Luchterhand Verlag, 1960. Książkę tę omówił w nrze 1/171-2/172 „Kultury” K.A. Jeleński.

(2) Autor się myli, nie identyfikując M.B. Częstochowskiej z Czarną Madonną.

(3) Czywista pomyłka autora gdyż — jak wiadomo — serce marsz. Piłsudskiego spoczywa na Rossie w Wilnie. (Przyp. tłumacza).

nie przypominały podobnej chwili moich urodzin? Byłem jednak zbyt zaszpany, nie zdolny do takiej spekulacji; jeszcze miałem w uszach szum, lecz wnioskowałem prawidłowo, jak wszyscy śpiący, nazywając sytuację po imieniu: teraz strzelają!

Ledwie wydrapawszy się z kosza, jeszcze niepewnie tkwiąc w sandałach, zatroszczył się Oskar o swój czuły bęben. Obie ręce wsadził w kosz, który przygarnął jego sen, wydrążył dziurę w sypkich wprawdzie, ale ciasno ułożonych listach; nie był jednak brutalem, nie darł, nie miał, nie — ostrożnie rozwiązałem stertę poczty, niemal każdy z listów nosił fioletowy stempel „Poczta Polska”, uważałem nie tylko na listy, ale nawet na pocztówki, pilnowałem, aby żadna z kopert się nie otworzyła; gdyż nawet wobec nieuchronnych i wszystko zmieniających wypadków powinno się zawsze zachować tajemnicę korespondencji.

W miarę jak ogień karabinów maszynowych przybiegał na siłę, poszerzał się lejek w tamtym koszu na bieliznę, napełnionym listami. Wreszcie uznałem go za wystarczający, umieściłem mój śmiertelnie chory bęben w świeżo wykopanym legowisku, nakryłem go szczelnie, nie tylko potrójnie, a może dziesięć, czy dwudziestokrotnie, zazębiwszy koperty na murarski sposób, stosowany przy układaniu z cegieł mocnej ściany.

Zaledwie przedsięwziąłem te środki ostrożności, które — spodziewałem się — dadzą memu bębnowi ochronę przed odłamkami i kulami, gdy wybuchły pierwsze granaty przeciwpancerne na wysokości hali okienek w fasadzie poczty od strony placu Heveliusa.

Poczta Polska, solidny budynek z cegły, mogła spokojnie przyjąć pewną ilość tych uderzeń bez obawy, że szturmówki (4) szybko się rozprawią, przystąpiwszy dzięki dość szerokiej wyrwie w murze do frontального, często ćwiczonego, ataku.

Opuściłem mój bezpieczny skład na listy, pozbawiony okien i zamknięty trzema pokojami biurowymi oraz korytarzem pierwszego piętra, aby rozejrzeć się za Janem Brońskim. Gdy tak wypatrywałem mego domniemanego ojca, oczywiście jeszcze chciwiej szukałem kulawego dozorcę domu, Kobieli (5). Poprzedniego wieczoru przecież, wzgardziwszy kolacją, pojechałem tramwajem do miasta na plac Heveliusa i wszedłem do zupełnie mi obojętnego budynku pocztowego, aby dać do naprawy mój bęben. Gdybym bowiem znalazł dozorcę na czas, to jest przed

(4) W oryginale Heimwehr — ochotnicze hitlerowskie oddziały szturmowe.

(5) W oryginale nazwisko Kobeyella, co można tłumaczyć jedynie piśmownią niemiecką.

spodziewanym atakiem, nie musiałbym myśleć o troskliwym obwarowaniu mojego nietrwałego bębna.

Oskar szukał więc Jana, a myślał o Kobieli. Wielekroć przemierzył z rękoma skrzyżowanymi na piersi długi korytarz, ale pozostał sam ze swoimi myślami. Oczywiście odróżniał pojedyncze wystrzały oddawane na pewno z budynku Poczty od ustawicznej palby szturmówek — widocznie w biurach Poczty oszczędni strzelcy wymienili stemple na jakieś inne stemplujące narzędzia. Korytarz był pusty, nikt nie stał, nikt się nie czał, nikt nie był gotów do ewentualnego przeciwnatarcia. Patrolował jeden Oskar, bezbronny, sam, pozbawiony bębna w historycznym Introitus, nieco za wczesnej porannej godziny, która nie niosła w ustach złota a najwęższej ołów (6).

W biurach wychodzących na podwórze nie było żywego ducha. To lekkomyślność — pomyślałem. Powinni byli ubezpieczyć budynek od strony Schneidermühlengasse. Znajdujący się tam posterunek policji, oddzielony od podwórza pocztowego zwyczajnym drewnianym płotem i rampą towarową, miał teraz świetną pozycję ofensywną, naprawdę taką z książek z obrazkami. Stukałem sandałami, idąc przez biura, przez oddział przesyłek poleconych, przez salę listonoszy, przez kasę wypłat i dział telegraficzny: tam właśnie leżeli. Za płytami pancernymi i worami z piaskiem, za wywróconym sprzętem biurowym leżeli na brzuchach i strzelali oszczędzając naboje.

W większości sal szyby zawały już niejaką znajomością z karabinami maszynowymi szturmówek. Zrobiłem prowizoryczny inwentarz szkód i doszukałem się podobieństw ze szkłem okiennym, które, gdy czas oddychał pokojem, rozkładał diament mego głosu. Więc dobrze, gdyby zażądano ode mnie, abym wziął udział w obronie Poczty Polskiej, gdyby ten mały, drucziany człowieczek, doktor Michoń, nie przystąpił do mnie jako dyrektor Poczty, ale jako dowódca wojskowy, i pod przysięgą werbował do służby Polsce, nie odmówiłbym mu swego głosu: za Polskę, za polską anarchiczną, ale zawsze urodzajną gospodarkę byłbym chętnie przemienił szyby wszystkich domów z przeciwka z placu Heveliusa, oszklenie domów w Rühn, szklaną perspektywę Schneidermühlengasse, włączając w to posterunek policji, w czarne dziury, po których wiatr świszczę; zrobiłbym to w rekordowym czasie, w kilka minut, nie pominawszy lśniących czystością okien staromiejskiego Podwala i ulicy Rycerskiej. To by wywołało zamęt wśród szturmówek i gapiów. To mogło dać taki sam efekt jak większa ilość ciężkich karabinów maszyno-

(6) Aluzja do przysłowia „Morgenstunde bringt Gold im Munde” („Poranek przynosi złoto w ustach”).



wych, to by już na samym początku wojny pozwoliło uwierzyć „w cudowną broń”, jednakże nie uratowały to Polskiej Poczty.

Oskar nie wstąpił do służby. Ten doktor Michoń, w polskim hełmie na dyrektorskiej głowie, nie przyjął mojej przysięgi, wymierzył mi natomiast siarczysty policzek kiedy zbiegałem ze schodów w hali okienek i zaplątałem mu się pod nogami; wyrznąwszy mnie po gębie, klnąc głośno i po polsku, powrócił do swoich obronnych zajęć. Nie pozostawało mi nic innego jak przełknąć tę obelgę. Ludzie ci, nie wyłączając doktora Michonia, który był odpowiedzialny za wszystko, byli podnieceni, niepewni swego losu i można było ich usprawiedliwić.

Zegar w hali okienek wskazywał 4,20. Kiedy była 4,21 skłonny byłem przypuszczać, że pierwsze działania nieprzyjacielskie nie uszkodziły mechanizmu. Zegar chodził, a ja zastanawiałem się, czy tę równowagę usposobienia należy poczytywać na zły czy dobry omen.

W każdym bądź razie pozostałem w hali okienek. Szukałem Jana i Kobieli, unikając doktora Michonia; nie mogłem znaleźć ani swego wuja, ani dozorca; skonstatowałem, że szyby w hali są uszkodzone; że tynk koło głównego wejścia był podziurawiony i porysowany, widziałem również jak przyniesiono dwóch pierwszych rannych. Jeden z nich, starszy pan z ciągle jeszcze troskliwie pielęgnowanym przedziałkiem w siwych włosach, mówił bez przerwy i w podnieceniu, kiedy przewiązywano mu ranę postrzałową na prawym przedramieniu. Zaledwie owinięto mu białą lekką ranę, już chciał wstać, chwycić karabin i rzucić się na brzuch za worami z piaskiem, które nie stanowiły zbyt pewnej ochrony przed kulami. Na szczęście dla niego chwila słabości z powodu silnego upływu krwi przykuła go do ziemi i nakazała mu spokój, bez którego dopiero co zraniony starszy pan nie mógłby wrócić do sił. Zwłaszcza, że mały, nerwowy pięćdziesięciolatek, który nosił hełm, ale pozwalał, by z cywilnej kieszeni wystawał mu rąbek dżentelmeńskiej chusteczki, ten pan o szlachetnych manierach urzędującego rycerza, który był doktorem o nazwisku Michoń, ten sam, który poprzedniego dnia poddał surowemu przesłuchaniu Jana Brońskiego, teraz — starszemu rannemu panu nakazał odpoczynek w imieniu Polski.

Drugi ranny leżał na sienniku oddychając ciężko i nie zdradzał najmniejszej ochoty na powrót do worków z piaskiem. W regularnych odstępach czasu jęczał głośno, bez fałszywego wstydu, bo miał kulę w brzuchu.

Właśnie w chwili gdy Oskar chciał zbadać raz jeszcze szereg ludzi za workami z piaskiem, aby znaleźć tych, których szu-

kał — zatrzęsły hałą okienek dwa prawie równoczesne wybuchy granatów w okolicy głównego portalu. Rozniosło szafy tarasujące wejście i rozsypały się stopy spiętych akt ulatując dosłownie w powietrze; papiery straciwszy punkt oparcia lądowały ślizgając się na kaflach pośród innych kartek, wbrew zasadom prawidłowej buchalterii nakazującym tajemnicę akt. Zbyteczne chyba dorzucić, że reszta szyb rozpadła się w kawałki, że wielkie i małe płyty tynku opadły ze ścian i sufitu. Przez chmury z gipsu i wapna ciągnięto jeszcze jednego rannego na środek sali, potem jednak na rozkaz stalowego hełmu doktora Michonia wyniesiono go po schodach na pierwsze piętro.

Oskar poszedł za ludźmi niosącymi pojeżdżającego na każdym stopniu urzędnika pocztowego. Nikt go nie wołał, nikt nie pytał czego szuka, ani nikt nawet nie uznał za stosowne dać mu w twarz, jak doktor Michoń chwilę przedtem, ręką dostatecznie męską. Zresztą starał się nie wpaść pod nogi nikomu z dorosłych obrońców Poczty.

Kiedy idąc za ludźmi, zwolna wspinającymi się schodami — znalazłem się na pierwszym piętrze, skonstatowałem, że nie myliłem się w moich przeczuciach: rannego wniesiono do owego magazynu bez okien, a zatem bezpiecznego schowka na listy, który zarezerwowałem dla siebie. Wyobrażano sobie, że gdyby zabrakło materaców — kosze na listy będą wprawdzie nieco krótkimi, ale za to miękkimi legowiskami dla rannych. Żałowałem już, że wybrałem dla mojego bębna rezydencję w jednym z tych koszyków na bieliznę, pełnych korespondencji, która nie mogła dotrzeć do celu. Czyż krew tych postrzępionych i podziurawionych listonoszy i tych urzędników z okienek, nie przecieknie poprzez dziesięć lub dwadzieścia warstw papieru i nie nada mojemu bębnowi kolorów, które znał dotychczas tylko dzięki werniksowi? Cóż miał wspólnego mój bęben z krwią Polski? Niech malują posoką swoje akty i bibularze! Niech wyleją błękit ze swych kałamarzy i niech napełnią je czerwinią! Niech zafarbują do połowy czerwinią, na dobry polski sposób, swoje chusteczki i białe nakrochmalone koszule. Szło im przecież o Polskę, a nie o mój bęben! A jeśli tak, to w razie klęski przepadłby z Polską również kolor biało-czerwony; czy i mój bęben, dość podejrzany przez ten świeżo dodany kolor, musiałby również pójść na zatracenie?

Zwolna załęgła się we mnie myśl: nie chodzi o Polskę, chodzi o moją popsutą blachę. Jan zaciągnął mnie na Poczta, aby dać urzędnikom, którym Polska nie wystarczała jako sztandar, nowy płomienny znak bojowy. Nocą, gdy spałem w koszyku na listy na kółkach, ani tocząc się, ani śniąc, z pewnością

pocztowcy na straży szeptali już sobie nowe hasło: umierający, dziecinny bęben szuka pomiędzy nami schronienia. Jesteśmy Polakami, powinniśmy go ochraniać, szczególnie, że Anglia i Francja zawarły z nami pakt o wzajemnej gwarancji. Podczas gdy niepotrzebne, abstrakcyjne rozważania przed uchylonymi drzwiami magazynu na listy krępowały moją swobodę działania, po raz pierwszy na dziedzińcu pocztowym rozległ się głośny huk karabinów maszynowych. Jak przewidziałem, szturmówka przystępowała do pierwszego ataku rozpoczynając go od posterunku policji na Schneidmühlergasse. W chwilę potem wszyscy zerwali się na nogi: szturmowce udało się wysadzić w powietrze bramę magazynu paczkowego ponad rampą załadunkową dla furgonów pocztowych. Natychmiast potem napastnicy znaleźli się w magazynie paczek, a chwilę później byli w dziale odbioru paczek; drzwi korytarza, prowadzącego do hali okienek stały już otworem.

Ludzie, którzy tu przyciągnęli ранego i umieścili go w koszu na listy, gdzie znajdował się mój bęben, wypadli na zewnątrz, inni wybiegli za nimi. Sądząc po hałasach doszedłem do przekonania, że bito się w korytarzu na parterze, a potem w sali przyjęć pakunków. Szturmówka została odrzucona.

Wpierw pozornie się ociągając, potem pewniejszym krokiem, Oskar wszedł do magazynu na listy. Twarz ранego była szaro-żółta, szczyrzył zęby i zataczał gałkami ocznymi pod zamkniętymi powiekami. Płuł strumyczkami krwi. Niewielkie było ryzyko, że zbrudzi listy, ponieważ głowa jego zwisała poza brzeg koszyka. Oskar musiał stanąć na palcach, aby móc ręką dotrzeć wnętrza kosza. Tyłek mężczyzny wciąż był wyraźnie tam, gdzie był zagrzebany bęben. Oskarowi udało się, operując najpierw ostrożnie ze względu na człowieka i listy, a potem ciągnąc mocniej, aż wreszcie wyrrywając i rozdzierając, wydobyć kilka tuzinów kopert spod jęczącego.

Dziś mógłbym powiedzieć, że czułem już kraj mojego bębna, kiedy ludzie wdarli się na schody po czym biegli wzdłuż korytarza. Powrócili, wyrzucili szturmówkę z magazynu pakunków, byli nareszcie zwycięzcami i usłyszałem ich śmiech.

Ukryty za koszami na listy, czekałem koło drzwi aż się zbliżą do ранego. Najpierw głośno rozmawiając i gestykulując, potem klnąc pod nosem założyli mu opatrunek.

Na wysokości hali okienek wybuchły dwa pociski przeciwpancerne, potem jeszcze dwa, potem cisza. Salwy liniowych okrętów w wolnym porcie, naprzeciw Westerplatte, toczyły się w oddali, pomruk dobroduszny, jednostajny, do którego można się przyzwyczaić.

Nie zauważony przez ludzi zajętych ранym, wybiegłem skrycie z magazynu na listy, porzuciłem mój bęben i znów poszedłem na poszukiwanie Jana, mego domniemanego ojca i wuja, a także dozorczy Kobieli.

Na drugim piętrze znajdowało się mieszkanie służbowe głównego sekretarza Poczty Naczelnika, który zapewne na czas wysłał swoją rodzinę do Bydgoszczy lub Warszawy. Najpierw przeszukałem kilka magazynów od podwórza, po czym znalazłem Jana i Kobielę w pokoju dziecinny służbowego mieszkania Naczelnika.

Przyjemny, jasny pokój o wesołych tapetach, niestety uszkodzony w kilku miejscach przez zabłąkane pociski karabinowe. W spokojnych czasach można byłoby stanąć sobie przy dwóch oknach i zabawić się obserwując plac Heveliusa. Koń na biegunach, jeszcze nie zraniony, różne balony, zamek pełen wywróconych ołowianych żołnierzy pieszych i konnych, otwarte pudło z szynami kolejowymi i miniaturowymi wagonami towarowymi, sporo lalek w mniej lub więcej dobrym stanie, pokoiki dla lalek, w których panował bezład — słowem nadmiar zabawek zdradzał, że główny sekretarz Poczty, Naczelnik, był ojcem dwojga rozpieszczonych dzieci, chłopczyka i dziewczynki. Na szczęście dzieciaki ewakuowano w stronę Warszawy, co im oszczędzało spotkania z bracijszkim i siostrzycką w rodzaju tego, tego co już znałem dzięki rodzeństwu Brońskim. Wyobrażałem sobie ze złośliwą satysfakcją, jak to synek głównego sekretarza Poczty musiał załować swego opuszczonego raję dziecinny pełnego ołowianych żołnierzy. Może wsadził kilku ułanów do kieszeni spodnek żeby później wzmocnić polską kawalerię w walkach o twierdzę Modlin.

Oskar zbyt wiele mówi o żołnierzach ołowianych, a przecież nie może sobie oszczędzić tego wyznania, że na górnej półce etażerki z zabawkami leżały książki z obrazkami i gry towarzyskie, obok instrumentów muzycznych zredukowanych rozmiarów. Żółta trąbka barwy miodu stała w milczeniu obok pozytywki, posłusznej działaniom wojennym, to znaczy każde uderzenie granatu powodowało grę dzwonków.

Całkiem na prawo leżała harmonia, hojnie ukraszona farbami. Rodzice byli dość ekscentryczni, by ofiarować swojemu potomstwu prawdziwe małe skrzypce o czterech prawdziwych strunach. Obok skrzypiec — niech mi wierzy kto chce — stał pokazując swoje białe koło bęben, chroniony kilkoma klockami przed stoczeniem z półki, bęben blaszany, polakierowany na biało-czerwony kolor.

Znowu nie próbowałem nawet ściągnąć bębna własnym przemyśłem z półki. Oskar miał poczucie swoich ograniczonych

rozmiarów i pozwalał sobie, kiedy wzrost karzełka czynił go bezradnym, liczyć na uprzejmą pomoc dorosłych.

Jan Broński i Kobiela leżeli za workami z piaskiem, wypełniającymi jedną trzecią okien, sięgających do ziemi. Lewe okno należało do Jana. Kobiela był od niego na prawo. Zrozumiałem natychmiast, że stróż nie znalazłby obecnie czasu, by wyciągnąć i naprawić mój na pewno coraz bardziej spłaszczony bęben, leżący pod pluającym krwią rannym; ponieważ Kobiela miał pełne ręce roboty: w regularnych odstępach strzelał przez otwór w wale z piasku ponad placem Heveliusa w kierunku narożnika Schneidmühlengasse, gdzie właśnie przed mostem Radaunbrücke działko przeciwczołgowe zajęło pozycję.

Jan leżał skurczony z głową ukrytą i drżał. Poznawałem go tylko po eleganckim ciemno-szarym ubraniu, było teraz zaproszone wapnem i piaskiem. Sznurowadło z prawego bucika, również szarego, rozwiązało się. Schyliłem się i znów zrobiłem węzeł. Gdy go zaciskałem, Jan zadrżał, para jego zbyt błękitnych oczu wysliznęła się spoza lewego rękawa i spojrzała na mnie niepokojenie błękitnie i wodniście. Jakkolwiek nie był zraniony, co Oskar mógł na przedce stwierdzić, płakał cichutko. Jan Broński bał się. Zignorowałem jego lamenty, pokazałem blaszany bęben ewakuowanego syna Naczelnika i wyraźnym gestem zażądałem od Jana, aby zbliżył się zachowując ostrożność i korzystając z ciszy w kącie pokoju, zdjął mi instrument. Mój wuj mnie nie zrozumiał. Mój domniemany ojciec by mnie pojął. Kochanek mojej biednej mamy tak był zajęty i wypełniony własnym strachem, że moje gesty proszące o pomoc pomnożyły tylko jego trwogę. Oskar byłby go przywołał krzykiem, gdyby się nie obawiał, że odkryje go Kobiela zdający się myśleć tylko o swoim karabinie.

Położyłem się więc na lewo od Jana poza workami z piaskiem, żeby udzielić memu nieszczęśliwemu wujowi i prawdopodobnie ojcu choć trochę spokoju ducha, który mi towarzyszył. W jakiś czas potem zaobserwowałem, że się trochę uspokoił. Udało się memu regularnemu oddechowi nadać jego pulsowi przybliżoną regularność. Ale gdy powtórnie — przyznając o wiele za wcześnie — skierowałem uwagę Jana na bęben Naczelnika Juniora i obracałem mu głowę zrazu powoli i łagodnie, a wreszcie dobitnie w kierunku drewnianej półki, naładowanej zabawkami, znowu mnie Jan nie zrozumiał.

Strach posiadał go od dołu do góry, przepływał z powrotem z góry do dołu, znajdował na dole, może dzięki podeszwowm z wkładkami przeciwplafusowymi, tak wielki opór, że szukał gwałtownie dla siebie powietrza, ale odepchnięty z powrotem przez żołądek, śledziona i wątroba, zajmował znów tyle miejsca w bied-

nej głowie Jana, że niebieskie oczy wybaluszały się i ukazywały na białkach skomplikowane rozgałęzienia żyłek, których Oskar nigdy przedtem nie miał okazji zauważyć u swego domniemanego ojca.

Kosztowało mnie sporo trudu i czasu by wepchnąć gałki mojego wuja na swoje miejsce i doprowadzić jego serce do jakiego takiego przyzwoitego stanu. Cały mój wysiłek jednak w służbie estetyki okazał się bezowocny, gdy szturmówki po raz pierwszy użyły średnich dział polowych i kierując lufy na bezpośredni obstrzał położyły na kolana żelazny płot Poczty, krusząc jedne za drugim słupy z cegieł z godną podziwu dokładnością — świadectwem wysokiego poziomu wyszkolenia, i ostatecznie zmusiły kraty żelazne również do upadku na kolana. Mój biedny wuj Jan przeżywał upadek każdego z piętnastu czy dwudziestu słupów, całym sercem i duszą, tak namiętnie jakby nie tylko padły cokoły w pyłe, ale równocześnie z cokołami stojące na nich wyimaginowane posągi bogów, którym wuj zaufał, i które były mu niezbędne do życia. Tylko w ten sposób można zrozumieć, że Jan kwitował każde trafienie działa przeraźliwym krzykiem, który gdyby był bardziej świadomo i celowo uformowany, byłby taki sam jak mój, dźwięczący szkłem krzyk, o wartości diamentu tnącego szyby. Wprawdzie Jan krzyczał żarliwie, ale zbyt chaotycznie i osiągnął w końcu tylko tyle, że Kobiela swoje kościste, inwalidzkie ciało dozorczy przerzucił na naszą stronę, podniósł wychudłą, bezrzesną, ptasią głowę i powiódł wodnistymi, szarymi źrenicami po naszej przymusowej wspólnotcie. Potrząsnął Janem. Jan jęknął. Rozpiął mu koszulę, pośpiesznie szukał rany na ciele Jana, czym mnie rozśmieszał, potem nie znalazłszy najmniejszego zranienia, obrócił go na plecy, pochwycił szczękę Jana, szarpnął ją w jedną i drugą stronę, aż zatrzeszczała i zmusił niebieskie, Brońskie spojrzenie Jana do wytrzymania wodniście szarych ogni światła Kobieli, zaklął go po polsku, splunął w twarz i wreszcie rzucił mu karabin, do tej pory leżący bezużytecznie przed specjalnie dla niego przeznaczonym stanowiskiem. Broń nie była nawet ani razu odbezpieczona. Kolba karabinu sucho uderzyła Jana w lewe kolano. Krótki i — po tych wszystkich cierpieniach duchowych — nareszcie ból fizyczny, zdaje się zrobił mu dobrze, bo wreszcie chwycił karabin, trochę się przeraził poczuwszy chłód metalu na palcach, a zaraz potem w swojej krwi, powłókł się jednak na stanowisko, podczas gdy Kobiela na poły przeklinał i na poły zachęcał.

Mój domniemany ojciec miał na tyle dokładne i przy całej swojej bujnej fantazji realistyczne wyobrażenie wojny, że było mu bardzo trudno, a właściwie niemożliwie być odważnym —

wina braku wyobraźni. Nie patrząc wcale na pole strzału, które się otwierało przed nim dzięki szczelinie mu przydzielonej i nie szukając żadnego godnego celu, zaczął strzelać; trzymał swój karabin jako ukośnie, daleko od siebie, skierowany ponad dachy domów placu Heveliusa i pukając na oślep szybko opróżnił magazynek, aby móc się ponownie z pustymi rękoma ułożyć za workami z piaskiem. Błagalne spojrzenia jakie Jan rzucał ze swego ukrycia stróżowi, były nadąsanym i zakłopotanym wyznaniem ucznia, który nie odrobił swoich lekcji. Kobiela kłapał parę razy szczękami i zaniósł się głośnym, niepowstrzymanym śmiechem, kopnął trzy czy cztery razy Brońskiego w goleń — mimo że był on jego zwierzchnikiem jako sekretarz Poczty, już się zamierzył aby załadować mu pod żebra swój bezkształtny but, ale zrezygnował z uderzeń ortopedycznego buta bo karabiny maszynowe stuknęły regularnie po górnych, pozostałych jeszcze w pokoju dziecinnym resztkach szyb i heblowały sufit — rzucił się więc na karabin i ze straszliwą wściekłością, jakby chciał sobie odbić stracony czas przez Jana, strzelał raz po raz, co należy zapisać na konto zużytej amunicji w czasie drugiej wojny światowej.

Czyżby dozorca mnie nie zauważył? On — zresztą tak surowy i niedostępny — zmuszający do dystansu pełnego szacunku, który potrafią wymóc inwalidzi wojenni — pozostawił mnie w tej przewiewnej budzie, gdzie powietrze było wyładowane ołowiem. Może myślał Kobiela: to jest pokój dziecinnie, zatem niech Oskar tu zostanie i bawi się w czasie przerw w walce?

Nie wiem jak długo tak leżeliśmy: ja między Janem i lewą ścianą pokoju, obaj za workami z piaskiem, Kobiela ze swoim karabinem, strzelający za dwóch. Około godziny 10-ej ogień się uspokoił. Było tak cicho, że słyszałem brzęczenie much, słuch odbierał głosy i komendy z placu Heveliusa, jak również głuchy stukot pracujących w porcie okrętów liniowych. Pogodny, trochę pochmurny dzień wrześnieowy; słońce malowało stare złoto, wszystko było lekkim tchnieniem, wrażliwym a przecież trudnym do uchwycenia uchem. Najbliższe dni przynosiły rocznicę moich urodzin. Życzyłem sobie — jak każdego lata we wrześniu — blaszanego bębna, nic mniejszego, jak tylko blaszany bęben; wyrzekając się wszystkich skarbów tego świata, moja myśl nieruchomo kierowała się wprost na bęben z polakierowaną bielą i czerwienią blachy.

Jan się nie ruszał. Kobiela spał tak równomiernie, że Oskar posadzał go o sen, myślał że korzysta z krótkiej przerwy w walce aby się zdrzemnąć, ponieważ w końcu wszyscy ludzie, a nawet bohaterowie kiedy nie kiedy, potrzebują pokrzepiającej drzemki. Tylko ja pozostawałem przytomny i z całą bezwzględnością mo-

jego wieku myślałem o bębnie. A przecież nie tylko teraz przychodzi mi na myśl blaszany bęben młodego Naczelnika, tu w tej wzrastającej ciszy i wśród zamierającego brzęczenia muchy zmęczonej upałem. Oskar także w czasie boju i szalejącej wrzawy wojennej nie spuszczał go z oka. Teraz jednak nadarzała mi się ta sposobność, którą utracić wszelka myśl wzbraniała. Oskar podniósł się powoli, poruszał się cicho wymijając okruchy potłuczonego szkła, a jednak kierując się umyślnie ku półce z zabawkami, w wyobraźni budował już sobie podstawę rusztowania z dziecinnego krzeselka i postawionego na nim pudełka z klockami — byłoby ono dość wysokie i pewne, aby uczynić go posiadaczem nieskazitelnie nowego, blaszanego bębna; ale w tej samej chwili dogonił mnie głos Kobieli i zaraz potem suchy uchwyt stróża. Zrozpaczony wskazałem na tak bliski już bęben. Kobiela szarpnął mnie wstecz. Obydwoma ramionami żądałem bębna. Inwalida się zawahał, już chciał po niego sięgnąć i mnie uszczęśliwić, kiedy oto pokój dziecinnie znalazł się pod ogniem karabinów maszynowych, a przed bramą wybuchały granaty przeciwczołgowe. Kobiela rzucił mnie w kąt ku Janowi, stopił się znowu ze swym karabinem i zdążył go dwukrotnie wyładować, gdy ja wciąż jeszcze oczyma zawieszony byłem na bębnie.

Tu leżał więc Oskar, a Jan Broński, mój łagodny, błękitnooki wuj nie podniósł nawet nosa, gdy mnie ta ptasia głowa z koślawą stopą i wodnistym, bezrzesym spojrzeniem rzuciła w ten kąt poza workami z piaskiem, krótko przed osiągnięciem celu. Nie, Oskar wcale nie płakał. Wściekłość rosła we mnie. Tłuste, białoniebieskie, bezoczne robaki mnożyły się, szukały trupa, który by się opłacił: cóż mnie obchodziła Polska? Cóż to była Polska? Oni przecież mieli swoją kawalerię! Niech sobie jeżdżą! Oni przecież całowali ręce dam i zawsze za późno się spostrzegali, że nie palce zmęczone damy, ale nieuszminkowaną łufę armaty polowej pocałowali. A w tym już wybuchała dziewica z rodu Kruppa. Już mlaskała wargami, naśladowała źle, ale przecież prawdziwie wrzawę wojenną, którą można usłyszeć w kronice filmowej, i przyprawiała niestrawne, eksplodujące cukierki przeciw głównej bramie pocztowej, chciała zrobić wyłom, zrobiła wyłom i starała się przez rozerwaną halę okienek wdrapać na klatkę schodową, aby nikt nie mógł wbiec ani zbiec na dół. A jej orszak za karabinami maszynowymi, znajdujący się także w eleganckich, pancernych wozach zwiadowczych, na których wymalowano tak ładne nazwy: „Ostmark” i „Sudetenland” — nie miał dość pożywienia, nadjeżdżał, stukając w panczerach i śledząc wzdłuż i wszerz Poczty. Dwie młode kulturalne damy, które chciały zwiedzić zamek, ale zamek był jeszcze zamknięty.

To zwiększało niecierpliwość rozpieszczonych piękności, pożądanym wejścia i zmuszało je do rzucania spojrzeń szaroolowianych i przenikliwych tego samego kalibru — we wszystkie pokoje zamkowe, do których mogły zajrzeć — ażeby kasztelanom stało się gorąco, zimno i ciasno.

Właśnie jeden z tych wozów zwiadowczych — zdaje się „Ostmark” — przetoczył się znów z ulicy Rittergasse ku Poczcie — kiedy Jan, mój wuj, od dłuższego czasu nie dający znaku życia, przesunął swoją nogę do otworu strzelnicy i podniósł w nadziei, że ją dostrzeże wóz zwiadowczy i odstrzeli, albo, że jakaś zabłąkana kula zlituje się nad nim, muśnie udo, lub łydkę i zada ranę, która pozwoli żołnierzowi na przesadnie kulejący odwrót.

Prawdopodobnie to położenie nogi na dłuższą metę było dla Jana Brońskiego zbyt męczące. Musiał od czasu do czasu zmieniać pozycję. Dopiero gdy się przewrócił na plecy spostrzegł że noga podparta oburącz pod kolanem miała dość siły, aby ofiarować udo i łydkę z większą szansą przypadkowym i nieprzypadkowym strzałom.

Aczkolwiek moje zrozumienie było, i jeszcze dziś jest, wielkie, nie dziwiłem się wściekłości Kobieli, gdy zobaczył swojego zwierchnika, sekretarza Poczty, Brońskiego, w tak opłakanej i rozpaczliwej sytuacji. Odskokzył nagle, wyprostował się, drugim skokiem znalazł się tuż koło nas i ponad nami, wpakował się, chwycił sukno Jana, a Jana z sukniem, podniósł ten cały pakunek, gwałtownie odrzucił go w tył, pochwycił znowu, nie zważając, że sukno się darło, bił nim na lewo i prawo, rzucał znów na prawo i pozwolił upadać na lewo, chwycił w locie na prawo i chciał je spreparować zarazem na lewo i na prawo swą wielką pięścią, gotową do potężnego uderzenia; miało ono spaść na Jana Brońskiego, mojego wuja i domniemanego ojca Oskara, gdy nagle coś zabrzęczało, jak może aniołowie brzęczą na chwałę Boga, i nagle coś zaśpiewało, jak śpiewa eter w radio, to trafiło nie Brońskiego, ale Kobielę. Granat pozwolił sobie na ten gruby żart, cegły poleciały w kawałki, czerepy w pył, tynk stał się mąką, drzewo znalazło swoją siekierę, cały komiczny dziecinny pokój podskakiwał na jednej nodze, pękały lalki „Käthe-Kruse”, koń na biegunach dostał szału i byłby zrzucił jeźdźca, gdyby go miał na grzbiecie, ujawniły się braki konstrukcyjne w budowlanej skrzynce „Märklin”, a polscy ułani obsadzili równocześnie wszystkie cztery kąty pokoju. — Ostatecznie zapadła się półka z zabawkami, pozytywka zwiastowała Wielkanoc, harmonia wrzasnęła, trąbka też coś tam komuś zatrąbiła, wszystko równocześnie podawało ton jak w czasie

próby orkiestry: krzyczało to, eksplodowało, rżało, dzwoniło, rozpadało się, pękało, trzeszczało, wyło, ćwierkało bardzo wysoko, a zarazem przecież bardzo głęboko podminowywało fundamenty, mnie jednak — jakby trzyletniemu dziecku podczas tej eksplozji granatu w strzeżonym przez Anioła Stróża kącie dziecinnego pokoju, mnie znajdującemu się tuż pod oknem — przypadł bęben blaszany — zaledwie tu i tam odprysł lakier, ale nie było ani jednej dziury w nowym bębnie blaszanym Oskara.

Gdy uniosłem oczy znad mojej nowej zdobyczy, że tak powiem pośpiesznie spojrzawszy, czułem się w obowiązku pomóc Janowi Brońskiemu. Nie udało mu się zrzucić z siebie ciężkiego ciała dozorca domu. Początkowo przypuszczałem, że również Jan został trafiony, gdyż jęczał bardzo prawdziwie. W końcu, gdyśmy razem na stronę przetoczyli Kobielę, który również tak samo naturalnie stękał, okazało się, że Jan poniósł tylko nieznaczne szkody. Odłamki szkła zaledwie drasnęły mu prawy policzek i grzbiet jednej ręki. Szybkie porównanie pozwoliło mi ustalić, że mój domniemany ojciec miał jaśniejszą krew od dozorca, któremu farbowała ona nogawki na wysokości ud, soczyście i ciemno.

Kto w istocie poszarpał i zadarł Janowi elegancką szarą marynareczkę, nie da się już stwierdzić. Czy był to Kobiela czy granat? Zwisła jak łachman z pleców z oberwaną podszewką, guziki odpadły, szwy potraskały, a kieszenie wywrócone były na zewnątrz.

Proszę o wyrozumiałość dla mego biednego Jana Brońskiego, który najpierw zgarnął wszystko do kupy, co mu grubiańska burza wytrząsnęła z kieszeni, zanim przy mojej pomocy wytaszczył Kobielę z dziecinnego pokoju. Znalazł z powrotem swój grzebień, fotografię ukochanej, było tam również zdjęcie mojej biednej mamy, portmonetka nawet się nie otworzyła. Natomiast z wielkim trudem i nawet narażając się na niebezpieczeństwo, gdyż musiał odsunąć ochronne worki z piaskiem — pozbiierał rozsypane po pokoju karty do skata. Chciał mieć wszystkie trzydzieści dwie i skoro nie mógł znaleźć trzydziestej drugiej był nieszczęśliwy, lecz gdy znalazł ją Oskar między dwoma pustymi pokojkami dla lalek i wręczył mu — zaśmiał się, chociaż była to siódemka pik.

Gdyśmy w końcu wytaszczyli Kobielę z dziecinnego pokoju i położyli na korytarzu — znalazł dozorca siłę do wykrztuszenia paru słów, zrozumiałych dla Jana Brońskiego: „Czy jeszcze jest wszystko?” — zatroszczył się inwalida. Jan sięgnął mu ręką do spodni i stwierdziwszy, że wszystko było w porządku, kiwnął Kobieli potakująco.

Wszyscy byliśmy szczęśliwi: Kobiela zachował swoją dumę, Jan Broński miał wszystkie trzydzieści dwie karty do skata, nie wyłączając siódemki pik, Oskar zaś posiadał nowy, blaszany bęben, który przy każdym kroku uderzał go po kolanie, podczas gdy osłabiony wpływem krwi dozorca był transportowany przez Jana i drugiego człowieka, którego Jan nazywał Wikto-rem, o piętro niżej do składu na przesyłki listowe.

Günter GRASS

(Z upoważnienia autora przeł. Z.H.)

## WOLNE OD OPŁAT CELNYCH

- WSZYSTKIE LEKARSTWA
- MATERIAŁY DENTYSTYCZNE
- OKULARY
- POŃCZOCHY na ŻYLAKI
- WYKONYWANIE RECEPT KRAJOWYCH

WYSŁE SPRAWNIE I BEZ ZWŁOKI

Największy Dom Wysyłkowy

### TAZAB & Co. Ltd.

Tazab House

LONDON, S.W.7.  
22, Roland Gdns.,  
Tel. FRE 3175-6

TAZAB & Co. Ltd

36, Third Avenue,  
NEW YORK, 3  
ALgenquin 4-4161

## Wiersze

### ROZMOWA Z PRZYRODĄ

*Pani, z ogrodu twego wyjść nie mogę.*

*Panie, dlaczego szukam cię mym liściem  
i karminowym kwiatom wdech wyczulam  
na twoje przyjście?*

*Pani, karminowego kwiatu woń mnie goni  
nawet we śnie, który ma swą przyrodę,  
herbarze swoje i zielniki...*

*Panie, dlaczego z zaszuszonych czytasz ziół  
i nie dosiadasz lwa, burz nie uciszasz?  
Od stopy twojej jeszcze woda drży,  
łódź się kołysz.*

*Pani, czyż nie zadrżały twe powietrza  
silniej niż w czas potopu i wulkanów,  
czy jeszcze mało ci?*

*Panie, Prospero z mojej dłoni różdżkę miał...*

*Pani, widziałem ziemię twoją spoza chmur —  
kulę błękitną.  
Tyś nie ta sama już przyroda,  
zmieniła się twoja uroda.*

*Panie, w ogrodzie twoim rośnie stal  
od kalifornii po ural.*

*Zmieniła się twoja uroda.*

*Tyś nie ta sama już przyroda.*

## II

*Spiesz się, mówi pieśń.  
Od siedmiu dni ten węgiel żarzy się,  
lecz zachowuje formę.  
Pierwszego dnia dzień i człowieka.  
Drugiego dnia wody ogromne.  
Trzeciego dnia gwiazdy i słońce  
(powleczone pyłem).  
Czwartego dnia głos i milczenie.  
Piątego dnia dymy i krople.  
Szóstego dnia ogień.*

*Widziałam siedem dni stworzenia,  
odpoczywając w garści prochu.  
Widziałam formę, przestrach formy  
tęskniącej strasznie w garści prochu.*

*Nic nie widziałam.  
Odpoczywałam w siódmy dzień stworzenia.*

## III

*Jeżeli jednym nie nastarcza dnia,  
a drugim nie nastarcza nocy...  
O jaki wyścig po palmę mordu!*

*Dlatego odrastam od pnia,  
gdzie nie widzą oczy.*

*I dlatego mówię palmie: a dieu —  
ani ze zwierzęciem, ani z człowiekiem,  
już tylko z Bogiem.*

*Bo nie zostanie pień, ani łodyga,  
ani liść, ani drzenie liścia,  
oprócz pokładów węgla, ciężkiej wody,  
skał rozkruszonych pękniętych atomów  
rozbitej czaszki ziemi.*

*I dlatego chciałbym wyjść z ogrodu,  
wyjść, bo skąd wyjść nie mogę,  
wychodzi za mną w drogę,  
(bo są wyjścia), ten miraż na płótnie ognia,  
ta palma która jeszcze woła  
są wokół mnie, i nawołują,  
i przeszukały liść po liściu  
wiatrem,  
rozchylone są wargi morza do dna,  
zawarte uda Ceres, pośród szczelin  
szarańcze gwiazd na wyraj się szykują...*

*Lecz czy to jest noc?  
Czy jest noc?*

## IV

*Panie, objeżdżam z rogiem każdy chutor,  
za dymem zamku pójdą dymy sadyb,  
w ordynku stawaj, szyszak bierz!*

*Pani, twój naturalny jestem syn  
i w mleku matki wodząc palcem rozpoznaję  
błękitne ciałka krwi, ta pierś  
jest jakby znana, z odległości  
poznaję zarys mej kolebki, i tę pierś...*

*(Bo idzie własnym torem,  
sercami paląc w kotłach,  
bukiety fiołków niosą defilady  
i wojsko idzie, robotnicy  
i z trybun widzę słyszę  
gołębicy  
jak z gołębnikiem brata się, z obrozą (cne gruchanie)  
w konieczność jutra  
dziś konieczne z konieczności,  
wybiera, bo ma wybór, choć wybory  
odbywają się jak zwykle u nas, Pani).*

Panie, czy na to czas?  
 W budowie wielkiej naród twardy  
 z tyranami  
 zbratany mówię z tyranami i z budową  
 od fundamentów bywa człowiek coś odkrywa  
 kiedy nadbaza z nadbudową jeden człowiek  
 wystarczy by poplątać język, ogon,  
 i ogon węższy, język merda, łapki klaszczą,  
 i dzieci niosą fiołki z niw i pól,  
 ojczyzna to jest — szyszak bierz —  
 jest ból.

Ach, Pani.

Jeżeli z rozbawionym staje czołem  
 naprzeciw twym syrenim śpiewom, Pani,  
 muszę usprawiedliwić brak powagi i szaleństwo  
 powagą i szaleństwem, żaden naród  
 nie czuje do mnie tej miłości jakiej brak mi,  
 i chociaż lubię tych czy owych myślę chwila  
 każe zapomnieć nam o kolektywnych korporacjach.

Dlatego kiedy kończyć czas rozmowę,  
 chciałbym pozostać bez szyszaka i w spoczynku.  
 Mam pokrewieństwo, lecz wybieram mowę.  
 Na mojej włócznie gdy wybieram śmierć  
 przyroda narodu jest mi obca, obcy pień.  
 Mych odgałęzień unerwienie całą ziemię  
 pokryło siecią drobnych zmarszczek, wiem co czeka  
 nie ludzkość, ani naród, lecz człowieka.

Staję z człowiekiem pierwszym z brzegu, od Adama  
 po dzień dzisiejszy stoję w raju pod jabłonią  
 i szorstką korę gładzę ciemną, szorstką dłonią  
 patrząc pod słońce.

## V

Więc monologu pora zacząć  
 solilokwie.  
 Jeszcze rozmowa nie skończona  
 i w ogrodzie

kwitną jabłonie, potem sadzą znów kartofle  
 i powojami dom ma sień podpiętą.  
 Jeszcze nie wyczerpana jest przyroda snów  
 (a sny jak wilki wyją przed śmiercią.)

(zagłada nie przeszkadza by w tonacji  
 poczynić zmiany, badać czute przejścia  
 i śledzić jak rozwija się melodia  
 od fali w fale. Materia  
 daje się giąć  
 w materiale).

(tętna czułości  
 nie są nam znane, póki  
 nie stworzymy komór gazowych  
 lub nie dodamy struny  
 do starożytnego instrumentu.  
 Z słowami jest jak z ludźmi  
 śmierć najczulej  
 je głaszcze).

(ale musi być widz.  
 I dlatego  
 struna napięta jest zbyt boleśnie,  
 stąd z przyrodą  
 rozmawiamy o możliwościach  
 materii).

(czy z ognia  
 zrodzić się może istota  
 mająca słuch i oczy  
 i władająca słowem?).

(opadają nas wątpliwości  
 nieme rekiny).

(ale pytajmy dalej).

## VI

Dzianie się czasu widzę ogromne!  
 Zimno bolesne jest w powietrzu czasów,  
 Takich jak nasze, takich jak nie nasze.



Oddałem ducha swego na te czasy.  
Smak dmuchawicy pył nosi dmuchawca.  
Debris sensu largo, kupę finalną  
Przezuwam z tlenem zjadliwość grynszpanu.  
Już mi plwociny braknie na te czasy.

Między ludzkimi czasami  
Jest nadzieja na ocalenie.  
Zajmując się materiami  
Zastanawiamy się nad nowym wcieleniem.

Ziemia przychodzi do nas lekko,  
Uderza ciałem w twarz.

Otwiera się spadochron z pomarańczą śmierci.  
Otwiera się spadochron ze słodyczą ognia.  
Pod parasolem blasku odbywa się piknik.  
Wśród liści stłających ni krwi ani trawy.

Taki blask będzie, że ślepych oślepi.  
Taki huk będzie, że głos każdy zginie.  
Takie powstaną wody na człowieka  
Ze oko z łzami utonie na zawsze.

## VII

Spiesz się, mówi pieśń.

## NIESTETY TYLKO TWOJA MOWA

## I

Niestety, tylko twoja mowa  
coś mówi, tylko brak melodii  
graniczy z rytmem, po cóż wilczy  
pysk po wilczych wodzę dołach,  
te w kościele śpiewy, tamten  
cudowny las, ku twoim ptakom pierwszym  
tamto ranne słońce —

Miliardem nocy okrążyło ziemię  
i potykając się w pamięci dołach,  
granicząc tylko z światłem może?

— Tak przez szczeliny gdy docieram,  
jest jasne pole, pola zarys,  
światła w poranku roztopienie.

Lecz tylko twoja mówi mowa,  
gdy na polaną puszczam cienie,  
gdy młody las sadzić od nowa  
chcę, muszę, mam  
od nowa?

## II

Przez ile lasów powóz przewiał  
widmowym licem, lustrem oczu,  
ile zatoczył kół księżycem  
odpływ nad dnem wody piętrzący?  
Czy z tego dna gdy gwiazda wstaje  
przez warstwy wód, czy pamięć nieba  
daje meduzom na pożarcie —

Daje, nie mówię, kto odbiera  
warkocze i grzebyki dziewcząt  
z mysim ogonkiem.

Gdy na polaną puszczam cienie  
z lustreczkami u bledziutkich twarzy,  
odmyka się chociaż cierpienie  
i zwykła twarz tamtych kuglarzy.

Podrzucam piłki ich ku niebu  
co odrzucone — jak zabawka.

## III

Czy z tego dna gdy gwiazda wstaje  
przez warstwy wód, czy pamięć nieba,  
czy jak nenufar kwiat jak lilia  
lilię, czy je unosi... ciężar koron  
chwiejąc na wietrze w zamyśleniu?

*Jakie powroty wiodą stamtąd  
śladami saren przez te śniegi  
tak białe i tak nietykalnie  
niezapisane i tak czyste?*

*Ze śladu saren, z bieli śniegu  
kto, może wilk, wytropić zdoła,  
bramę królestwa, królewiatko  
nad przędzą jabłkiem władające?*

## REKONSTRUKCJA

### I

*Przesączenie się szarej maści połysku koni  
stojących szyja w szyję w ogrodzie  
jak dwa kasztany,  
których grzywy zawiewa na parapet  
wysokiego okna  
przez liście wiatrem przewiane —*

*i przebudzone oczy córki  
na przejaśnieniu nocy.*

*(Kto trzyma konie w mieście  
pod oknami w ogrodzie!)*

*Musimy podejść do okna  
i utopić wzrok w galopadzie zieleni.*

### II

*Budzą ją jeszcze szelesty papieru  
i na ścianach cienie rąk i nóżek  
rozbudzają do śpiewu,  
w szarosińce poranki.*

*Musimy podejść do okna  
i postuchać galopady zieleni.  
Zajrzeć w wodospady szarych tęcz.*

### III

*(Kto by przypuszczał,  
że rekonstrukcja mostów  
oczyma dziecka  
ruszy z kopyta  
koni w ogrodzie?)*

### IV

*Natomiast śpi słodko przy pocałunkach,  
choć ją budzą ptaki,  
i nie budzi się na elektryczne trzaski czesanych włosów,  
ale na grzywy szumiących kasztanów.*

*(Kto by przypuszczał?).*

Bogdan CZAYKOWSKI

**DO POLSKI WYSYŁAMY**  
LEKARSTWA , ŻYWNOSĆ, OWOCE, PIENIĄDZE  
I INNE ARTYKUŁY.

**Z POLSKI IMPORTUJEMY**  
TOWARY CEPELII, KILIMY, LALKI, CERAMIKĘ  
JEŚLI LEKI TO Z APTEKI

**M. B. GRABOWSKI**  
175, Draycott Avenue, London, S.W. 3. tel. Ken 0750

## Na linii Szczecin-Triest

Sztuki Mrożka są grane w teatrach nowojorskich, telewizja brytyjska przygotowuje ponoć jedną ze sztuk Leszka Kołakowskiego, filmy Wajdy nie schodzą z ekranów Paryża i Londynu.

Na tzw. wielkim świecie wszyscy wiedzą o Kołakowskim, o Mrożku, o Wajdzie — ale nikt nie wie o p. Rapackim. Ci, którzy interesują się polityką wiedzą, że kiedyś pojawił się na szpaltach prasy „plan Rapackiego”. Ale na tym kropka.

O Becku wiedzieli wszyscy. Do dziś dnia na Zachodzie jego polityka bywa przedmiotem namiętnych dyskusji. Ile pasji włożył oxfordzki historyk A.J.P. Taylor w swym dziele „The Origins of the Second World War” w namalowanie portretu Becka i podanie jego polityki druzgocącej, choć nie zawsze słusznej, krytyce. Jestem zawodowym publicystą, lecz gdyby jakiś redaktor czy wydawca zamówił u mnie szkic o polityce zagranicznej min. Rapackiego byłbym w kłopotcie. Wszystko co można powiedzieć o Rapackim i jego polityce zmieściłoby się bez reszty w dwudziestu wierszach.

To jest miarą bezprzykładnego upadku pozycji Polski w świecie. Można czytać latami prasę brytyjską i amerykańską i nie spotkać określenia *Polish policy*. Termin „polityka polska” w sensie międzynarodowym nie istnieje.

Jest jakaś zdumiewająca dysproporcja pomiędzy potencjałem ludnościowym, obszarem, osiągnięciami w przemyśle, na polu literatury, filmu, malarstwa — a pozycją międzynarodową Polski jako państwa.

Cóż za różnica z Federalną Republiką niemiecką. W porównaniu z 1939 r. Niemcy straciły niemal 50% swego terytorium. A jednak Chruszczow w jednym ze swych niedawnych przemówień powiedział, że liczy się tylko z opinią trzech wielkich mocarstw: Stanów Zjednoczonych, Chin i Niemiec.

Polska terytorialnie per saldo zyskała. Śląsk, Wrocław, wielkie bałtyckie okno na świat z Gdańskiem i Szczecinem —

to są wpaniale nabytki. Ale równocześnie utraciliśmy niezależność. Niemcy natomiast straciły połowę terytorium ale niezależność utrzymały.

W Europie nas nie ma. Spadek po Polsce przejęli Niemcy. Federalna Republika jest dziedzicem naszej misji „przedmurza”. Bitwa o Berlin — innymi metodami i w różnym układzie — jest dalszym ciągiem bitwy pod Warszawą. „Przedmurze” zachodnio-niemieckie graniczy na przestrzeni około 450 mil z blokiem wschodnim. Losy Europy zależą od wytrzymałości tego przedmurza.

W obecnej sytuacji nie ma żadnych obiektywnych danych do tworzenia jakiegokolwiek polskich orientacji. Dopóki Niemcy nie uznają granicy na Odrze i Nysie nie ma podstaw do stworzenia orientacji pro-niemieckiej. Orientacja pro-rosyjska, której chorążym jest m.in. Stefan Kisielewski — jest parodią koncepcji Dmowskiego. Kisielewski stawia znak równania między obozem Dmowskiego a SDKPiL. Choć trzeba obiektywnie stwierdzić, że nawet Marchlewski domagał się pełnej autonomii dla Polski. Nigdy nie byłem zwolennikiem ideologii Dmowskiego, ale uważam że wyświęcanie go na patrona „Znaku” uwłacza pamięci tego niewątpliwie wybitnego Polaka.

Lojalistyczne polityki w pewnych okresach są koniecznością. Ludność w byłym zaborze austriackim wiele zawdzięczała polskim lojalistom, którzy zajmowali wysokie stanowiska w administracji państwowej. Bez lojalistów nie może być mowy o żadnej autonomii. Zaborca godzi się na autonomię tylko wówczas, gdy może się bezpiecznie oprzeć na warstwie miejscowych lojalistów. To jest polityka przystosowania się do narzuconej sytuacji. I w tej perspektywie nikt nie może mieć pretensji ani do „Znaku” ani do Kisielewskiego.

Jednak lojalistyczna polityka — z czego mało ludzi zdaje sobie sprawę — jest rzeczą niezmiernie trudną. Znałem wielu skądinąd prawych Polaków, którzy po dziesiątkach lat służby w zaborczej armii czy administracji identyfikowali własne interesy i interesy narodowe z interesami cesarskiego Wiednia. Trzeba charakteru i bardzo trzeźwego rozeznania politycznego, by oprzeć się pokusie awansowania lojalizmu — w danej sytuacji pożytecznego — do rangi polskiej niezależnej orientacji politycznej.

Lojalizm jest zawsze konsekwencją sytuacji narzuconej i przymusowej. Jest polityką akomodacji, która zmierza do zapewnienia narodowi maksymalnych korzyści w po-klęskowym układzie. Dopóki lojaliści zdają sobie z tego wszystkiego sprawę ich praca i polityka są pożyteczne. Jeżeli jednak politykę lojalizmu będącą następstwem narzuconej sytuacji — po pewnym czasie przemianowuje się na polską „orientację polityczną” — oznacza to nie akomodację lecz akceptację, nie czasową ugodę lecz wieczystą kapitulację.

Lojalizm można zaprezentować społeczeństwu jako „orientację polityczną” w okresach kiedy *status quo* wydaje się niena-

ruszalny. Niestety większości lojalistom związanym z danym reżymem *status quo* wydaje się zawsze ostateczny i nienaruszalny.

Jako uczeń galicyjskiej tzw. szkoły ludowej miałem tylko dwa razy okazję zaśpiewać: „Bo z Habsburgów tronem złączon jest na wieki polski los”. Te „wieki” trwały zaledwie parę miesięcy. Niedługo później wyrzuciliśmy przez okno portret cesarza, który zdobył naszą klasę. Nasz stary i poczciwy dyrektor klękał przed nami błagając, byśmy mieli litość nad nim i nad jego dziećmi. *Status quo* i lojalizm waliły się w gruzy, ale on, staro-wina, nie mógł tego ani ogarnąć ani zrozumieć.

Nie jestem pewien czy zmiany, które nastąpią będą w całości na lepsze. Jestem natomiast całkowicie pewien, że zmiany nastąpią. Sytuacja w Europie środkowo-wschodniej jest daleka od swego ostatecznego kształtu.

Czytam teraz znakomitą książkę, którą gorąco polecam zarówno naszym przyjaciołom jak i naszym wrogom. Tytuł: „The Eastern Question”, autor: Karol Marx. Dodać należy, że oryginalne wydanie angielskie należy dziś do bibliotecznych białych kruków. Ale ruchliwa firma wydawnicza Seewald-Verlag w Sztutgarcie wydała w ub. roku książkę pt. „Marx contra Russland”, która jest wyborem artykułów pisanych w okresie marzec 1853-kwiecień 1856. Autor „Kapitału” był w tym czasie europejskim korespondentem „New York Daily Tribune”. „The Eastern Question” w oryginalnym wydaniu obejmuje całość artykułów Marksa pisanych w tym okresie (wojna krymska) do „New York Daily Tribune”.

Trudno jest oprzeć się uczuciu podziwu przy lekturze tej książki. Cóż za wspaniały talent publicystyczny! Nie byłoby łatwo znaleźć drugiego publicysty sprzed stu laty, którego wybór artykułów nadawałby się dziś do przedruku. Na ową aktualność, która wytrzymała próbę stulecia — złożyły się dwa czynniki: talent Marksa i zmienność polityki rosyjskiej. W pewnych artykułach Marksa wystarczyłoby cara zastąpić Chruszczowem, hrabię Nesselrode — Gromyką, prawosławie — komunizmem i szkic bez dalszych zmian mógłby się ukazać w bieżącym numerze „Kultury” i nikomu nie przyszłoby na myśl, że jest napisany sto lat temu.

Pewne artykuły Marksa robią wręcz niesamowite wrażenie. Okazuje się, że już wszystko było. Tłumy szpiegów, dywersje, propaganda, „zimna wojna”, „globomania”, koegzystencja, (której Marks był namiętnym przeciwnikiem) i nieśmiertelny *appeasement!* Angielski *appeasement* nie miał chyba nigdy bardziej wymownego krytyka niż Karol Marks.

I jeszcze jeden punkt, który warto podkreślić. Marks krytykował Zachód nieubłagane. Ale nie może ulegać najmniejszej wątpliwości, że był człowiekiem Zachodu i jego sympatie bez reszty były po stronie Zachodu a nie Rosji. Rosją przejrzał na wylot jak nikt i jeszcze dziś nasi sowietolodzy wiele mogliby się od niego nauczyć w tej materii.

Jak informuje „Polityka” prof. Schaff zajął się specjalnie wydawnictwo p.n. „Biblioteka studiów marksologicznych”. Byłby czas zerwać z sowieckim poglądem, że nie wszystko co pisat Marks jest marksizmem. W moim przekonaniu Marksa można zrozumieć i właściwie ocenić tylko w oparciu o całość jego bogatej twórczości. Szczytem zakłamania ortodoksyjnej marksologii jest fakt, że cała lista pism Marksa znajduje się na indeksie. Marks z jednej strony jest klasykiem, z drugiej heretykiem. O tym co jest marksizmem nie decyduje autorstwo Marksa tylko stopień politycznej użyteczności danej jego pracy. Miliony Rosjan słyszą codziennie dziesiątki razy termin „marksizm-leninizm” — nie podejrzewając nawet że „ich” Marks jako emigrant zamieszkały w Londynie napisał kiedyś antyrosyjską „The Eastern Question”.

Przyjdzie kiedyś czas, że Marks zostanie odstalinizowany i odsowietywany. Wówczas będzie można ocenić w pełni jego niewątpliwą wielkość. Obawiam się jednak, że to jest praca nie na miarę ośrodka badań marksologicznych prof. Schaffa.

Esencją „The Eastern Question” jest pogląd Marksa, że Rosja dąży wszelkimi sposobami do zawładnięcia Europą (i światem) a mocarstwa zachodnie a w szczególności Anglia nie zdają sobie zupełnie z tego sprawy. Rosyjski *Drang nach Westen* przedstawiony jest — zgodnie z metodą Marksa w historycznym rozwoju. Prawosławie, pansławizm (dziś komunizm) — wszystko podporządkowane jest temu celowi.

Według Marksa linia prosta łącząca Szczecin z Triestem oddziela Wschód od Zachodu Europy. Przekroczenie tej granicy należałoby uważać za katastrofę i początek końca. Marks tego się nie doczekał — ale myśmy się doczekali. Linia łącząca Szczecin z Triestem przebiega dokładnie wzdłuż granicy na Odrze i Nysie. Ale całe Niemcy wraz z Berlinem znajdują się po stronie zachodniej.

Pansławizm, którego Marks był zażartym przeciwnikiem — został niemal w całości zrealizowany. Wprawdzie Słowianie południowi uważani są przez Moskwę za heretyków — w razie otwartego konfliktu opowiedzieliby się zapewne po stronie Wschodu a nie Zachodu.

Historycznego egzaminu z misji „przedmurza” nie zdała ani monarchia austriacko-węgierska ani państwa sukcesyjne z Polską włącznie. W okresie dwudziestolecia owe państwa sukcesyjne — a w szczególności Polska i Czechosłowacja miały możliwość stworzenia federacyjnego bloku państw między Rosją a Niemcami. Ale Polacy i Czechosłowacy w owym okresie zupełnie inaczej patrzyli na Rosję. Myśmy byli tradycyjnie anty-rosyjscy, a Czeši tradycyjnie filo-rosyjscy.

Do chwili dojścia Hitlera do władzy Polska istotnie posiadała status mocarstwowy w tej części Europy. Była to jednak mocarstwowość koniunkturalna, która zaczęła gwałtownie topnieć w momencie gdy Trzecia Rzesza odrzuciwszy wszystkie ograniczenia Traktatu Wersalskiego podporządkowała swój potężny

przemysł celom zbrojeniowym. Państwo rolniczo-chłopskie jakim byliśmy wówczas nie miało żadnej szansy sprostania wytworzonej sytuacji.

Krytycy „egzotycznych” sojuszów uważają, że należało szukać zbliżenia z Sowietami. Zarzuca się Beckowi, że odmową udzielenia zgody na przemarsz wojsk sowieckich przez polskie terytorium uniemożliwił wciągnięcie Związku Sowieckiego od samego początku do wspólnego frontu antyhitlerowskiego.

To są nonsensy i to zarówno wtedy gdy powyższe opinie wygłasza A.J.P. Taylor z Oxfordu czy Władysław Gomułka z Warszawy.

Rząd sanacyjny nie miał żadnych możliwości porozumienia się z Sowietami. Ale kto miał te możliwości? Stalin zarówno nie ufał piłsudczykom jak i polskim komunistom. Lecz i to nie jest argument ostateczny. Stalin nie chciał porozumienia z Polską sanacyjną czy jakąkolwiek inną. Stalin od początku pragnął porozumienia tylko z jednym mężem stanu a mianowicie z Hitlerem. Na szereg miesięcy przed atakiem hitlerowskim na Sowiety Stalin otrzymał kilka konkretnych ostrzeżeń ze strony Zachodu. Ale, jak ujawnił Chruszczow w swym „tajnym” referacie, Stalin nie podjął żadnych przygotowań w pasie pogranicznym bojąc się prowokować Hitlera. Do chwili inwazji nie wierzył Zachodowi, tylko wierzył Hitlerowi. Jest naiwnością przypuszczać, że Stalin swoje marzenia o układzie z Hitlerem byłby poświęcił dla porozumienia z Polską.

Hitler, podobnie jak Stalin, nie chciał porozumienia z Polską. Niemcy dysponowali doskonałą siecią wywiadu w Polsce i zdawali sobie w pełni sprawę z naszych możliwości militarnych. Po co mieli szukać porozumienia skoro wiedzieli, że mogą Polskę zagarnąć siłą. Słaby może albo walczyć bez nadziei zwycięstwa albo skapitulować. Porozumienia nikt z nim nie szuka.

Misję „przedmurza” mogliśmy tylko wypełnić wspólnym wysiłkiem. Niemożność dojścia do porozumienia w tej kardynalnej sprawie przesądziła o losie państw sukcesyjnych.

Gdyby Rosjanie zadowolili się urzeczywistnieniem koncepcji panslawizmu i zatrzymali się na linii Szczecin-Triest — ich pozycja byłaby dziś silniejsza. Ale *Drang nach Westen* pchnął ich za Odrę i zagarnęli kawał nie słowiańskiej ziemi, którym się dławią.

Zabezpieczenie imperium satelickiego jest możliwe tylko poprzez porozumienie z Niemcami. Cel ten Rosja mogłaby również osiągnąć na drodze układu z Ameryką. Ale wyrównanie stosunków z Waszyngtonem wymagałoby zmiany polityki sowieckiej w skali światowej — wymagałoby — jak podkreśliłem w jednym z poprzednich artykułów rewizji podstawowej ideologicznej doktryny komunizmu. Natomiast porozumienie z Niemcami nie byłoby operacją światową lecz lokalną.

Nie mam na myśli ani Rapallo ani „odwrócenia sojuszów”. Niczego dramatycznego nie należy przewidywać. Dopóki trwa era adenauerowska nie należy oczekiwać poważniejszych zmian.

Zbrojenie Niemiec, proces scalania się Europy Zachodniej — to wszystko nie leży w interesie Związku Sowieckiego, ale Moskwa nie ma możliwości tych przemian zahamować. Choć może się to wydawać paradoksem, sądzę, że zmiany nastąpią wówczas, gdy Sowiety zdadzą sobie sprawę, że nie rozbiją ani EWG ani NATO, a w Niemczech zachodnich utrwali się przekonanie, że Słowian nikt nie wyprze znad Odry i Nysy.

Prof. Carlo Schmid w rozmowie z korespondentem „The Observer” oświadczył niedawno, że jego zdaniem Sowiety nie boją się Zachodu i nie ma żadnych praktycznych możliwości wyprzec ich z Europy wschodniej. Trzeba więc skupić całą energię na obronę tego, co pozostało w naszych rękach z Berlinem włącznie.

Z chwilą gdy Sowiety zdadzą sobie sprawę, że dalszy *Drang nach Westen* oznaczałby wojnę atomową, a Niemcy utracą nadzieję odzyskania ziem nad Odrą i Nysą — wówczas zarysuje się możliwość pewnej normalizacji stosunków sowiecko-niemieckich.

Rozluźnienie sojuszu amerykańsko-niemieckiego jest jednym z zasadniczych celów polityki sowieckiej. W poprzednim artykule rozważałem ten problem z perspektywy stosunków Moskwa Waszyngton. W niniejszym artykule rozpatrujemy ten sam problem w płaszczyźnie stosunków Moskwa-Bonn. Który z wariantów zmaterializuje się w formie konkretnej polityki — trudno jest przewidzieć. Sądzę jednak, że wariant drugi jest bardziej prawdopodobny.

Spośród wielu niewiadomych, które przysłaniają perspektywy stosunków sowiecko-niemieckich przynajmniej jeden problem uznać można za pewnik. Z Ulbrichtem nie będzie rozmawiał ani kancl. Adenauer ani żaden z jego następców.

Przywódca „Wolnych Demokratów”, dr Mende, wysunął niedawno pogląd, że w przyszłości należałoby podjąć bezpośrednie rozmowy z Moskwą i zaproponować pomoc gospodarczą na wielką skalę dla NRD wzamian za zastąpienie Ulbrichta bardziej liberalnym niemieckim komunistą.

De-stalinizacja reżymu wschodnio-niemieckiego jest ryzykowną operacją ale, jeżeli Moskwa zechce szukać prawdziwego odprężenia z Niemcami nie będzie miała innego wejścia. Ulbricht w takiej sytuacji z całą pewnością stawiałby opór. Ale nie wydaje mi się prawdopodobną hipotezę wysuwana przez pewnych komentatorów brytyjskich, że w razie zagrożenia Ulbricht będzie szukał oparcia w Pekinie. Model albański wymaga odpowiednich warunków geopolitycznych. Nie musi się mieć wspólnej granicy z Chinami, ale nie można mieć wspólnej granicy z blokiem sowieckim. Gdyby Jugosławia była państwem satelickim z sowieckimi dywizjami na swoim terytorium — Chińczycy Albanii nie wiele by pomogli.

Wiele zależy będzie od pozycji frakcji Chruszczowa w Związku Sowieckim i od postępów de-stalinizacji tak w Rosji jak i w państwach satelickich. Osobiście sądzę, że Chruszczow pragnąłby

pewnej normalizacji stosunków sowiecko-niemieckich — oczywiście nie za cenę „utrąty twarzy”.

Chruszczow jest realistą i zdaje sobie sprawę, że w skali światowej trzeba rozmawiać z Amerykanami — w skali europejskiej trzeba rozmawiać z Niemcami.

Warunkiem wstępnym musiałyby być odejście Ulbrichta i de-stalinizacja całego reżymu NRD. W Niemczech wschodnich jest garść wybitnych komunistów anty-stalinowskich, których Ulbricht trzymał latami w więzieniu. Ci ludzie mogliby zainicjować niemiecki, spóźniony Październik. Tylko wówczas mogłoby dojść do zbliżenia pomiędzy obu niemieckimi republikami, do uznania NRD, do likwidacji muru Ulbrichta, do rozwiązania kwestii Berlina.

Generalna „odwilż” w NRD, gdyby nastąpiła w latach 1956-57, doprowadziłaby prawdopodobnie do zjednoczenia. Dziś, zakładając, że de-stalinizacja przeprowadzana byłaby stopniowo i powoli — ryzyko przewrotu byłoby znacznie mniejsze. Składa się na to wiele przyczyn. Komunizm typu stalinowskiego, reprezentowany przez Ulbrichta nie pozyskał inteligencji. Ale marksistowska krytyka kapitalizmu — podobnie jak w Polsce — przekonała bardzo wielu. Gdyby w NRD pojawił się przywódca komunistyczny o popularności Gomułki z okresu październikowego — byłby słuchany z uwagą nie tylko w NRD ale i w Niemczech zachodnich.

Jeśliby stalinowskie getto Ulbrichta zostało zastąpione zdecydowanie anty-stalinowskim aparatem partyjnym — nie można wyliczyć, że w dalekiej perspektywie torowałoby to drogę do pewnych form zjednoczenia. Ale ten proces nie narażałby prestiżu Rosji a poza tym odrzuciłby poważne procenty polityczne. Zjednoczenie w takich warunkach wyraziłoby się przesunięciem całych Niemiec na lewo, ulegalizowaniem partii komunistycznej i ochłodzeniem w stosunku do Ameryki.

Na ogół nie zdajemy sobie sprawy, że „prawicowość” Federalnej Republiki jest w dużej mierze tworem sztucznym. Po kapitulacji, hitlerowcy, zawodowi wojskowi przemysłowcy, finansisci itp. starali się wyładować w okupacyjnej strefie amerykańskiej lub brytyjskiej. Wszyscy uchodźcy, wszystkie instytucje ziomkowskie rezydują oczywiście na Zachodzie. Do chwili kiedy Ulbricht zbudował swój mur graniczny setki osób dziennie uciekało na Zachód. Nie wszyscy opuszczali NRD ze względów politycznych. Ale przekroczywszy granice Republiki Federalnej każdy uciekający stawał się automatycznie uchodźcą politycznym, który spalił za sobą mosty. W ten sposób od 17 lat odbywa się na ziemiach niemieckich permanentny plebiscyt, który w rezultacie skupił w granicach Federalnej Republiki 80 a może 90% elementów prawicowych całych Niemiec.

Zjednoczenie położyłoby kres temu podziałowi co w konsekwencji zaważyłoby na społecznej i politycznej strukturze całych Niemiec. Niemcy zjednoczone byłyby czymś innym niż Republika Federalna i NRD. Albowiem obie niemieckie republiki

są w pewnej mierze tworamii sztucznymi tak w sensie wyrazu politycznego jak i struktury społecznej.



Niemcy w sojuszu z Ameryką stanowią „przedmurze” jakiego Europa dotąd nie miała. Za tym „przedmurzem” odbywa się integracja Europy zachodniej, w której Niemcy odgrywają coraz ważniejszą rolę. 90% głowic atomowych sił NATO w Europie środkowej znajduje się na terenie Federalnej Republiki. Wcześniej czy później propozycja niemiecka w sprawie kontroli NATO nad potencjałem atomowym zdeponowanym na kontynencie — zostanie przyjęta. Wówczas Niemcy, którzy w NATO zajmują przedującą pozycję — w sposób pośredni staną się potęgą atomową.

Za pół roku świat może być w ogniu wojny atomowej. Za miesiąc Chruszczow może zakończyć życie naturalnie czy nie-naturalnie i do steru dojść mogą stalinowcy, którzy wyrównają wszelkie różnice pomiędzy Moskwą a Pekinem. Za trzy miesiące dojść może do oficjalnego zerwania pomiędzy Sowietami a Chinami.

Dopóki nie jesteśmy radioaktywnym rumowiskiem wszystko jest możliwe — ale nie wszystko jest w równym stopniu prawdopodobne.

Co jest najbardziej prawdopodobne?

W mojej ocenie proces de-stalinizacji w Rosji będzie postępował. Stalinowcy na dalszą metę przegrają. Chruszczow — skłonny jestem przypuszczać — zdaje sobie sprawę, że rosyjski *Drang nach Westen* w Europie osiągnął swoje granice. Za cenę pokoju, którego narody zachodniej Europy pragną — premier sowiecki będzie się starał wynegocjować uznanie i zalegalizowanie hegemonicznego statusu Rosji w Europie wschodniej.

Niemcy postępują bardzo mądrze nie spiesząc się do bezpośrednich rozmów z Moskwą. Pozycja Federalnej Republiki jest korzystniejsza z każdym miesiącem. Proces scalania Europy Zachodniej wzmacnia nie tylko Europę, ale przede wszystkim wzmacnia pozycję Niemiec. Przyjdzie chwila, że postulat zjednoczenia poprą nie tylko Amerykanie, ale i mocarstwa zachodnio-europejskie.

Jeżeli Sowiety uznają, że stabilizacja na kontynencie europejskim leży w ich interesie, jeżeli rozumieją, że stabilizacja jest kardynalnym warunkiem zalegalizowania ich zdobyczy — będą musiały wycofać się z Niemiec na linię Odry i Nysy. Oczywiście ewakuacja z Niemiec wschodnich odbywałaby się stopniowo, ewolucyjnie poprzez zmianę reżymu Ulbrichta, zbliżenie obu republik niemieckich, obalenie berlińskiego muru itp. Nawet gdyby Chruszczow z takich czy innych względów taktycznych podpisał z Ulbrichtem traktat pokojowy — jeżeli w przyszłości zechce szerszego porozumienia z Niemcami będzie musiał Ulbrichta się pozbyć.

Jeżeli Sowiety tego nie zrobią, za kilka czy kilkanaście lat doczekają się Europy zachodniej zjednoczonej nie tylko gospo-

darczo, ale i politycznie. Wówczas Moskwa nie będzie mogła negocjować bezpośrednio z Bonn — natomiast zjednoczona Europa zachodnia będzie mogła mówić z Moskwą w imieniu Niemiec. Dziś Moskwa może jeszcze prowadzić bezpośrednie rozmowy zarówno z Waszyngtonem jak i z Bonn. Ale w momencie kiedy polityczne zjednoczenie Europy zachodniej stanie się faktem — Anglia utraci swe stanowisko pierwszego sojusznika Ameryki na rzecz najpotężniejszego partnera jakim będzie zjednoczona Europa zachodnia.

Stany Zjednoczone były i są za zjednoczeniem Niemiec. Francja nie jest i nigdy nie będzie entuzjastką zjednoczenia Niemiec, ale byłoby jej trudno torpedować moralnie niezaczeplany i słuszny postulat swego głównego partnera na kontynencie europejskim.

W sumie należy stwierdzić, że leży w granicach realnych możliwości zachodnich Niemiec uzyskanie z czasem solidarnego poparcia Ameryki i Europy zachodniej dla postulatu zjednoczenia po granice na Odrze i Nysie.

Jeszcze raz należy podkreślić dwa punkty. Z chwilą gdy Europa zjednoczy się nie tylko gospodarczo, ale i politycznie — czego nie należy oczekiwać w dobiegającej kresu erze Adenauer-De Gaulle — wówczas Związek Sowiecki straci możliwość bezpośrednich negocjacji zarówno z Bonn i z Waszyngtonem. Dziś jeszcze porozumienie sowiecko-amerykańskie ponad głowami Europejczyków — choć jest mało prawdopodobne — technicznie jest możliwe. Z chwilą jednak, gdy Europa zachodnia będzie politycznie zjednoczona — Ameryka będzie musiała liczyć się z tą nową potęgą kontynentalną w równej mierze jak liczyć się musi ze Związkiem Sowieckim. Nie będzie mogła niczego stanowić o Europie ponad głowami Europejczyków. Ów polityczny renesans kontynentu odbędzie się kosztem Anglii. Anglicy zdają sobie z tego sprawę, ale to jest problem odrębny.

Rosja mogłaby nie dopuścić do zjednoczenia Niemiec i równocześnie ustabilizować sytuację na kontynencie, ale to wymagałoby bardzo imaginatywnej polityki ze strony Moskwy. Rozwiązanie, które mam na myśli jest mało prawdopodobne, bo Rosjanie nie rozumieją Zachodu. Nie rozumieją Zachodu, bo go nie znają i nie robią nic by go poznać.

Ale zakładając, że w najbliższych latach zrozumienie psychologii Zachodu w Związku Sowieckim wydatnie postąpi na przód — można by przyjąć następującą hipotezę.

Na polityczne zjednoczenie Europy zachodniej — w której Niemcy odgrywać będą niewątpliwie główną rolę — Związek Sowiecki odpowie utworzeniem pasa neutralnego, który by oddzielał Rosję od zachodniej Europy. Sowiety bez uszczerbku dla swojego potencjału militarnego mogą spowodować wystąpienie z Paktu Warszawskiego Polski, NRD, Czechosłowacji i Węgier. Cytowane państwa podpisałyby następnie wspólną deklarację neutralności.

Tego typu inicjatywą Rosja mogłaby pokrzyżować nader skutecznie zarówno niemieckie plany rewizjonistyczne jak i zjednoczeniowe.

W Waszyngtonie, w Londynie i w Paryżu inicjatywę rosyjską odczytano by jako zwrot w polityce Moskwy w kierunku stabilizacji i pokoju na kontynencie europejskim.

Nie tylko niemieckie pretensje do Wrocławia ale postulat zjednoczenia jednego dnia nabrałyby innej treści. Domaganie się zjednoczenia w takich warunkach byłoby zamachem na neutralność, więcej — byłoby zamachem zmierzającym do zniweczenia pasa państw neutralnych oddzielających Europę zachodnią od Rosji. Ani Stany Zjednoczone ani Anglia ani Francja w takim układzie nie udzieliłyby poparcia roszczeniom niemieckim. Przeciwnie, pospiesznie uznano by status neutralny czterech państw z całym międzynarodowym ceremoniałem.

Związek Sowiecki mógłby wówczas powiedzieć Niemcom zachodnim: chcecie zjednoczenia, wystąpcie z NATO i przyłączcie się do pasa państw neutralnych.

Ameryka nie mogłaby wówczas popierać postulatu zjednoczenia w wersji Bonn, gdyż miałaby w tej sprawie przeciwko sobie opinię wszystkich państw neutralnych i „niezaangażowanych”.

Pas neutralny zabezpieczałby Związek Sowiecki od Zachodu, a w szczególności od Niemiec, niepomiernie skuteczniej niż niepewne armie satelickie owych czterech państw.

Tego rodzaju inicjatywą polityczną Moskwa opinię świata w sporze sowiecko-niemieckim przesunęłaby bez reszty na swoją stronę, zmuszając Niemców do przyjęcia poglądu, że ceną za zjednoczenie jest neutralność.

*Juliusz MIEROSZEWSKI*

## PRL a Ameryka Łacińska

*Skąpy bilans osiągnięć międzywojennych*

Trudno było zaprzeczyć, że, choć nie brak nam było na tym terenie wytrawnych dyplomatów, nie umieliśmy w latach 1918-1939 zwaloryzować kapitału przyjaźni jakim Polska rozporządzała w tej części Półkuli Zachodniej. Przyjaźń ta to fakt bezsporny. Byłoby równie bezpodstawne wyolbrzymianie jej znaczenia jak całkowite lekceważenie. Czym się to tłumaczyło? Zapewne przede wszystkim świadomością istnienia zastanawia-

jących cech wspólnych — zarówno dobrych jak i złych — Amerykanów łacińskich i Polaków: ostatecznie najbardziej łacińskiej grupy Słowiańszczyzny.

Bezpośrednie kontakty kulturalne były raczej znikome. Nie łatwo nawet zrozumieć, jak w tych warunkach mogła się ugruntować w tutejszych społeczeństwach znajomość naszej historii i literatury, która do dziś dnia rzuca się nam w oczy. Wołodjowski i Zagłoba są tu w kołach inteligentnych postaciami niemal tak żywymi jak nad Wisłą. Latinos zachwycają się muzyką Chopina bardziej niż jakąkolwiek inną. Niekiedy tylko wychodzą na wierzch zabawne niedociągnięcia w wiedzy o Polsce: tak na przykład pewien mąż stanu peruwiański zupełnie wyprowadził mnie z równowagi, nastając na to czy dobrze znałem Kościuszkę i jakie na mnie sprawiał wrażenie...

Nasz eksport transatlantyczny był nade wszystko eksportem nadwyżek ludnościowych, głównie beznadziejnej biedoty wiejskiej, przerzucanej na ład amerykański, pomimo pompatycznych haseł światłopolowych bez jakiegokolwiek programu. Przepraszam, popełniam tu niejaką nieścisłość. Wzrost Polonii brazylijskiej miał służyć, w opinii niektórych utopistycznych awanturników z grupy kapitańskiej w końcowym okresie niepodległości, do stworzenia podbudowy dla planów zawładnięcia dla Polski południowej połaci tego kraju. Kiedy te pomysły zbiegły się przypadkowo z bardziej już realistycznymi zamierzeniami niemiecko-włoskiego imperializmu, idącymi w podobnym kierunku, znalazły opór ze strony reżymu Getulio Vargasa. Naśladując wiernie zarówno formułki ustrojowe naszej półdyktatury (konstytucję brazylijską z roku 1937 nazwano tu „półca”), jak i nacjonalistyczne jej praktyki, rozbił on z dnia na dzień sieć szkolnych i organizacyjnych osiągnięć polskich w Paranie i gdzie indziej, które nie zdołały już nigdy potem odzyskać swego poprzedniego stanu.

#### Pozycja Polski Ludowej

Byłoby niesprawiedliwością nie przyznać, że Polska Republika Ludowa zdaje sobie lepiej sprawę, co może uzyskać w Ameryce iberolacińskiej. Pierwsze garnitury poselstw polskich nie były szczęśliwie dobrane; ale z biegiem czasu wyczyszczono je, zastępując niewyrobionych działaczy partyjnych dobrym na ogół sztabem speców.

Ludowi dyplomaci podtrzymują skrupulatnie wszelkie pozory ciągłości Polski, wyciągając stąd wszelkie atuty, jakie to wciąż jeszcze daje — i to nie tylko w stosunku do kolonii polskiej, ale i wobec miejscowej inteligencji. Placówki polskie unikają w dużej mierze ostentacyjnego angażowania się w komunistycznej dywersji i infiltracji, niekiedy uprawianych przez inne reprezentacje demokracji ludowej (Czechosłowacja czy np.

kilka afer, nawet szpiegowskich, przypisywanych przedstawicielstwu Niemiec Wschodnich).

Równocześnie umieją jednak dobrze wyzyskiwać nowe elementy ideologicznej natury. Grają one skutecznie w obecnym klimacie Ameryki Łacińskiej, której (poza jedną jedyną Kubą) daleko jeszcze do czerwieni komunistycznej, ale która mocno się ostatnio zaróżowiła. Idzie ona coraz bardziej na lewo, choć waha się między radykalnym reformizmem społecznym a rewolucją socjalną. Gospodarstwo tego kontynentu obraca się wciąż jeszcze w ramach *free enterprise*, ale z coraz widoczniejszymi odchyleniami ku socjalizmowi państwowemu. Nic nie wskazuje na to by falę antyamerykańskiego nacjonalizmu o lewicowym nastawieniu miała zatrzymać bariera „Przymierza dla Postępu”, które — pomimo hojnego szafowania dolarami już w pierwszym półroczu jego operacji — nie daje spodziewanych korzyści natury politycznej. Najostatniejsze i zresztą mało zrozumiałe przemiany na Kubie: „aparatus” usuwający w cień Fidel Castro, zmniejszając skutecznie wpływy rewolucji kubańskiej w krajach tego kontynentu; usztywniają postawę Ameryki Łacińskiej wobec akcji Hawany znacznie bardziej niż mało istotne rezolucje, zmierzające do osamotnienia Kuby, uchwalone pod presją USA na konferencji w Punta del Este w styczniu 1962 r., zresztą bez współudziału większych państw łacińskich.

Właśnie w tych warunkach Amerykanie łacińscy tym skwapliwiej szukają gdzie indziej wzorców dla planowania rozwoju gospodarczo-społecznego w duchu rozwiązań socjalistycznych. Próbuje więc czerpać natchnienie w kierowanej polityce gospodarczo-społecznej Polski Ludowej, tym bardziej, że wciąż jeszcze utożsamia się ją z „własną drogą do socjalizmu” październikowej wiosny gomułkowskiej. Opóźnienie, z jakim nadchodzi tu wiadomości z Europy Wschodniej, sprawia, że w dalszym ciągu obraz polskiego komunizmu obejmuje nie tylko rolnictwo oddane w ręce chłopów, ale i rozwój rad robotniczych i samorządu gospodarczego i inne reformy, poddane już w kraju od dawna wyraźnej rewizji. To co się pisze i mówi w Warszawie, zdaje się znajdować po tej stronie Atlantyku większy oddźwięk niż propaganda innych środowisk, jak zwłaszcza potężnego centrum praskiego, o mało tu popularnym nastawieniu stalinowskim. Socjalistycznie zorientowani ekonomiści ze szkoły CEPAL'u (Comission Economica para America Latina), Raul Prebisch i consortes, mówią językiem łudząco podobnym do gwary używanej przez ich polskich kolegów w obronie zasad planowania, modnego zarówno tu jak i tam. W Ameryce języka hiszpańskiego i portugalskiego — która pomimo jej radykalizacji stanowi jeden z ostatnich na świecie rezerwatów wysublimowanych do ostateczności zasad wolnościowych! — pewien margines swobód dopuszczonych w PRL przyjmowany jest tu z sympatycznym zainteresowaniem. Ostatnio dokonywa się w Ameryce Łacińskiej ciekawe odrodzenie katolicyzmu, który odgradza



się coraz wyraźniej od mało chlubnej przeszłości, przybierając postawę społeczną zdecydowanie postępową. Toteż nie mogą liczyć na korzystne echo dochodzące od czasu do czasu wiadomości o objawach konfliktu między rządem a kościołem; ale przeważa opinia, że nie należy na razie obawiać się daleko idących ograniczeń katolicyzmu polskiego.

### *Rola gospodarcza i polityczna PRL*

W jakim kierunku idzie akcja Polski Ludowej, rozporządzająca wszystkimi tymi nie dającymi się zbagatelizować elementami strategii i taktyki? Przypisuje się bezspornie duże znaczenie — obok rozwinięcia ścisłej współpracy kulturalnej — rozbudowaniu stosunków gospodarczych, którego bilans przedstawia się raczej korzystnie. W wielu krajach handel z Polską spycha nawet na dalsze miejsce obroty z innymi krajami demokracji ludowej o nieporównanie większym potencjale gospodarczym. Biorąc pod uwagę, niskie ceny i korzystne warunki kredytowe, można byłoby może sprzedać w Ameryce Łacińskiej grubo więcej niż to się udaje centralom reprezentowanym tu przez handlowych attachés, którzy robią wszystko by lokować na tutejszych rynkach statki, maszyny, artykuły przetwórczego przemysłu spożywczego, szyny i tyle jeszcze innych towarów. Taki rozwój transakcji eksportowych to jednak nie łatwa sprawa. Reglamentacja handlu zagranicznego i obrotu pieniężnego to częstokroć gąszcz nie do przebrnięcia. I co w zamian za to można sprowadzać do Polski? Kawę, kakao, bawełnę, skóry, owoce? Pojemność polskiego spożycia wykazuje w tym zakresie granice mało elastyczne. Toteż nie bez powodzenia zabrano się do inicjatywy innego rodzaju. Polska ofiarowuje krajom tej części Ameryki montaż szerokich kombinatów przemysłowych, co pomimo zrozumiałych trudności innego rodzaju, rokuje optymistyczne widoki dla takiej formy wywozu już nie towarów, lecz techniki.

Wszystko co się robi w tej dziedzinie nie oznacza, by zrezygnowano z ambicji odegrania tu większej roli politycznej. Wszystko zdaje się wskazywać na dwutorowość działalności rozwijanej w tym kierunku.

Z jednej strony, o ile się nie mylę, sufluje się tutejszym grupom lewicowym, bardzo zresztą dyskretnie, powoływanie do życia frontów ludowych, co łączy się z systematyczną akcją wychowawczą miejscowych partii komunistycznych, wyraźnie zdeorientowanych i osłabionych ostatnimi posunięciami kremlowskimi, a zwłaszcza konfliktem rosyjsko-chińskim.

Ale to jeszcze nie wszystko. Polskie placówki przyczyniają się pokątnie i bez jakiegokolwiek kamuflażu, do nawiązania stosunków dyplomatycznych z ZSSR i innymi państwami bloku czerwonego. Nastąpiło to już w Brazylii, a w toku są prace

przygotowawcze, w kilku innych państwach południowej Ameryki. Gra ta ma zapewnić Polsce mocniejszą pozycję w bloku wschodnim i zaskarbić dług wdzięczności w zainteresowanych krajach amerykańsko-łacińskich. Niedawna wizyta ministra Rackiego zmierzała wyraźnie do obciążenia kuponów za usługi oddane im w tej dziedzinie. Kalkulacja okazała się fałszywą. Był tu przyjęty bardzo gościnnie, ale nie uzyskał żadnych zobowiązań w stosunku do swego, już zresztą nieco przestarzałego planu, czy na temat zachodnicy granic Polski; przyjęcie też polskich w tej ostatniej sprawie kłóciłoby się zresztą ze znaczeniem przypisywanym tu stosunkom gospodarczym z Niemcami Zachodnimi.

Oczywiście à la longue taka taktyka jest bardzo krótkowzroczna i doprowadzić może do gwałtownego osłabienia pozycji PRL. Zdystansują ją nieporównanie większe z natury rzeczy wpływy sowieckie. Ale — co znacznie już ważniejsze — placówki sowieckie (co wydaje się prawdopodobne) podejmą tu bez większej żenady ostrą ofensywę antyamerykańską, podważając „Przymierze dla Postępu”, ofiarowując Ameryce Łacińskiej — w zamian za dalej jeszcze idące uniezależnienie od polityki Waszyngtonu — nie tylko szerszą wymianę handlową, ale i własne programy pomocowe itp. Zapewne pójdą na całego starając się wyzyskać nagromadzone niezadowolone dla rewolucjonizowania tego „kontynentu w pełnej erupcji” — według trafnego określenia Eudocio Ravines'a, peruwiańskiego ex-komunisty i jednego z najlepszych znawców Ameryki Łacińskiej.

Nie łatwo będzie wtedy naszym dyplomatom zrezygnować z roli awangardy wpływów sowieckich, której się tak skwapliwie i lekkomyślnie w ostatnich latach podjęli. Jeśli zaś tego nie zrobią — to w tym burzliwym okresie przemian, jaki się tu zbliża, mogą doprowadzić nie tylko do utraty pozycji jaką tu sobie zdobyli, ale do zagrożenia stanu posiadania wszystkich Polaków mieszkających na tym kontynencie. Może się powtórzyć sytuacja z okresu Getuljo Vargasa: za błędy PRL zapłacą tutejsi Polacy.

### *Oblicze Polonii w Ameryce Łacińskiej*

Ostatnie refleksje skłaniają mnie do naszkicowania „z lotu ptaka” sytuacji Polonii w tutejszej części Ameryki. Jak wiadomo, wychodźstwo nasze można uważać za ilościowo zamrożone, bez większych możliwości wzrostu. Masowa imigracja do Ameryki Łacińskiej wysycha w ostatnich latach wyraźnie. Niezależnie nawet od ograniczeń ustawodawczych, istniejących w tym zakresie w niektórych krajach, oddziaływa na to raczej niekorzystna sytuacja na rynku pracy. Poza grupami osadników (koloniści europejscy z Afryki, Japończycy) i kontyngentami pracowników wysoce kwalifikowanych fachowo,

zawsze tu mile widzianych, widoki dla nowych imigrantów nie przedstawiają się tu nazbyt różowo. Odczuwają to na własnej skórze rzadcy ostatni przybysze polscy z innych krajów naszej diaspory.

Tu, jak i zresztą w innych ośrodkach Polonii zamorskiej, daje się wyraźnie zaznaczyć ścisły podział kolonii polskiej na przeważającą przedwojenną, i znacznie bardziej szczupłą, (z wyj. Argentyny), choć bardziej ruchliwą i czynną, wojenną i powojenną. Ostatniej tej grupie powodzi się na ogół nieźle. Niektórzy zdobyli sobie tu potężne fortuny inflacyjne i łatwo doszłusowali się do ogólnej atmosfery nowobogackiej, nie myśląc nazbyt o niczym innym poza swą egzystencją materialną. Wszyscy oni powstrzymują się od bliższych kontaktów z PRL. Postępujące szybko naprzód rozprężenie organizacyjne ich związków, a nawet klubów, wyraźnie osłabia jakąkolwiek, nawet pośrednią rolę polityczną i zmniejsza poprzednie, dość wyraźne promieniowanie nowszej fali imigracyjnej na poprzednią. Kilka pism w Buenos Aires, Kurytybie i Sao Paulo, pewne czynniejsze związki polonijne i wystąpienia „Wolnej Europy” w Rio de Janeiro — to już niemal wszystko.

Znacznie trudniej uogólnić wrażenia co do postawy Polaków przedwojennych. Przedstawicielstwa dyplomatyczne i konsularne PRL starają się bardzo o skupienie ich dookoła siebie, unikając — należy przyznać — przynajmniej na razie prób wyzyskania kolonii polskiej w duchu akcji komunistycznej i bez jakichkolwiek usiłowań w kierunku reemigracji, której bilans, poza bardzo sporadycznymi przypadkami, przedstawia się bardzo niepokaźnie. Hojnie szafowane materiały informacyjno-propagandowe nadchodzące z Polski Ludowej nie przechodzą bez pewnego wrażenia. Ale wpływy te nie odgrywają większej roli w stosunku do Polonii, która na ogół, choć powoli, pnie się w górę, tworząc w wielu ośrodkach kadry klasy średniej i inteligencji zawodowej. Dotyczy to zwłaszcza, mam wrażenie, młodzieży, która nie okazuje większego zrozumienia dla haseł Polski komunistycznej, a której asymilacja językowa i kulturalna postępują zresztą powoli naprzód. Uczucie silniejszej czy słabszej przynależności do polskości nie oznacza bynajmniej poczucia wspólnoty z tym wszystkim, co się dziś dzieje w Polsce.

Stanisław FISCHLOWITZ

## Kronika angielska

BRONIEWSKI

Przez owe lata wojenne wypiliśmy razem hektolitry koniaku riszońskiego, znacznie mniej latruńskiego, który był droższy. Władek mieszkał

w malowniczym zaułku jerozolimskim, a przed oknem jego pokoju rosło potężne drzewo pieprzowe. Stąd adres: „Mieszkam tam, gdzie pieprz rośnie”.

Wszystkie urlopy z Brygady Karpackiej, a później z 2-go Korpusu spędzałem w Jerozolimie. W czasie tych urlopów widywałem się z Broniewskim codziennie. W owym czasie Polacy, za przykładem oficerów angielskich, zaczęli pić uczciwy koniak palestyński z wodą sodową na podobieństwo „whisky and soda”. Tę zdradę tradycji narodowej Władek napiętnował fraszką: „Ustawiczne polskie błędy — dużo wody mało brandy”. W tej szczęsnej epoce Władek nosił przy sobie wizytówki z następującym napisem: „Władysław Broniewski — Prezes Kuli Ziemskiej — prosi WPana na wódkę”. Mam taką wizytówkę, która służy za zakładkę w jednym z tomów jego wierszy.

Większość wierszy anty-sowieckich Broniewskiego zrodziła się w Jerozolimie. W jednym z nich mowa jest również i o Katyniu. Ale najpiękniejszy z tych poematów „Kasztan” napisał Broniewski we Lwowie, na Zamarstynowie w sowieckim więzieniu, w którym wylądował za sprawą Borejszy i nieocenionej Wandy Wasilewskiej.

Broniewski, który pochodził z ziemiańskiej rodziny był szlachecko-powstańczo-patriotyczny i niezmiernie uczulony na romantykę polskiego wojska. Gdy Tadeusz Sowicki dostał Krzyż Walecznych — Władek oświadczył: „Teraz Sowicki jest poetą, każdy dobry poeta winien mieć Krzyż Walecznych”. (Broniewski posiadał to odznaczenie oraz Virtuti Militari).

— „Krzyż Walecznych masz? — pytał się mnie na każdym urlopie.

— „Nie jestem poetą, mnie to nie obowiązuje” — odpowiadałem bez przekonania.

Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami, który pokwitował moje „zaśługi” wojenne Władek uważał za odznaczenie magistrackie.

Bywał męcząco szlachecki w stylu życia. Do kategorii czasu, pieniędzy, przepisów porządkowych odnosił się z sobiepańską fantazją. O jego wyczynach można by pisać tomy.

Naszą ulubioną knajpą w Jerozolimie była restauracja Finka. Stary pan Fink był węgierskim Żydem i jego lokal był jakby żywcem przeniesiony z Budapesztu. Przy gulaszu i węgierskiej muzyce pochłanialiśmy niesamowite ilości alkoholu.

Którejś styczniowej nocy — (Jerozolima leży w górach i w styczniu bywa bardzo zimno) — opuszczaliśmy nad ranem gościnne podwoje pana Finka. Całą noc lało jak z cebra i rynsztoki jerozolimskie przypominały wezbrane górskie potoki.

— „Nic zdrowszego nad poranną kąpiel i szwedzką gimnastykę” — oświadczył Władek i bardzo spokojnie i powoli położył się w rynsztoku niczym w wytwornej wannie. W jednej chwili dosłownie zniknął pod wodą. Wyciągnęliśmy go na chodnik ze Stefanem Arnoldem co było operacją niełatwą. W przemoczonym ubraniu i w przemoczonym grubym płaszczu wydawało się nam, że waży tony. Dopiero owej nocy doceniłem w pełni jego „ciężar gatunkowy”.

Arnold sprowadził taksówkę, która na szczęście stała tuż za rogiem i topielca odwieźliśmy „gdzie pieprz rośnie”. W pokoju obdariliśmy go

z ubrania, niczym Kiemlicze pana Kuklinowskiego — wsadziliśmy do łóżka i otworzywszy butelkę koniaku gospodarza zaczęliśmy pić profilaktycznie na wypadek zaziębienia. Władek nawet kataru nie dostał. Zdrow był jak koń.

O polityce, materializmie historycznym, Marksie, Engelsie, Leninie — Broniewski nie miał pojęcia. Był szlacheckim radykałem — bywało takich wielu — urzeczonym mitem rewolucji. To była żeromszczyzna, a nie PZPR. Był w tym absolutnie szczerzy i polski do ostatniego grama szpiku w swych mocnych kościach. Był polski w stu procentach we wszystkich wadach i zaletach. W swej rozwichrzanej, krańcowej i jakże lirycznej dynamice był znacznie bardziej polski niż Lechoń w swym karmazynowym, chłodnym tradycjonalizmie.

Śmierć redukuje ludzi do ich właściwych proporcji. Większość redukuje do zera. I słusznie.

Z Broniewskiego rewolucjonisty (rewolucja — „lokomotywa dziejów” — „Stalin imię jak dzwon”) — nie wiele się ostanie. Bo w gruncie rzeczy „lokomotywa dziejów” to nie był wehikuł Władka. Broniewski był czystej krwi lirykiem, wielkim poetą lirycznym.

Rewolucja dała mu dobrobyt, a nawet komfort, który nigdy przedtem nie był jego udziałem. Ale nie dała mu szczęścia i spokoju. Odebrała mu jego bunt.

Władek z Polski Ludowej nie pisywał listów. Pisywał, jak był we Francji. Ale od czasu do czasu dzwonił do nas między 2 a 3-cią w nocy. Z Warszawy do Londynu.

Ile razy w nocy dzwonił telefon — wiadomo było, że to Broniewski. Przyznaję, że te nocne alarmy irytowały mnie często. Ostatecznie nie wszyscy jesteśmy rewolucyjnymi poetami, którzy nie muszą stosować się do określonych godzin i terminów. Toteż większość tych nocnych pogwarek odprowadzała moja żona, którą Władek niezmiernie lubił. Dziś robię sobie wyrzuty, że zmarnowałem wiele okazji kiedy mogłem z nim jeszcze rozmawiać.

Broniewski na wszystko miał odpowiedź — nawet na „Stalin — imię jak dzwon”. Napoleon wygubił dziesiątki tysięcy ludzi, a przecież współcześni poświęcali mu poematy. Dlaczegoż więc o Stalinie nie można pisać wierszy?

Za tym wszystkim kryła się niespokojna gorycz. W każdej telefonicznej rozmowie Broniewski zapewniał nas, że choć wybraliśmy inną drogę — jego stosunek do nas nie uległ zmianie. I zapytywał — czy my nadal mamy dla niego tę samą przyjaźń co dawniej. Zapewnialiśmy szczerze, że tę samą. Ale było coś dziwnego i nowego w tej chęci upewnienia się, że między nami nic się nie zmieniło. Dawniej Broniewski nie szukał żadnych zapewnień.

Różni ludzie, którzy nigdy nie upadli, ale również nigdy nie wzniesli się ponad przeciętny poziom — rzucają błotem na Broniewskiego za jego odę do Stalina i „kłanianie się rewolucji radzieckiej po polsku czapką do ziemi”.

Przyjaźniłem się z Broniewskim i wolałbym, by owych wierszy nie napisał. Wolałbym, by Tuwim, którego poezję uwielbiam — nie napisał „Na podstawie martwej wizji”.

Polacy marzą o wieszczach wykutych z marmuru i w chwili śmierci gotowych do umieszczenia na cokole.

Faktem natomiast jest, że wielcy poeci przeważnie nie są intelektualistami, są natomiast słabi, bezkrytyczni, wpływowi, życiowo niezaradni. Są oczywiście wyjątki. Miłosz na przykład jest poetą intelektualistą.

Gdyby Mickiewicz był chłodnym krytycznym intelektualistą nie byłoby afery z Towiańskim, ale prawdopodobnie nie byłoby i „Dziadów”.

Tu nie chodzi o wybielanie kogokolwiek. Trzeba natomiast zrozumieć, że ten sam talent bywa źródłem wielkości i małości i odpowiedzialny jest tak za wzloty jak i za upadki. Gdyby Broniewski był krytyczny, niezłomny, marmurowy — na pewno nie napisałby ody na cześć Stalina. Ale czy napisałby „Drzewo Rozpaczające” — wątpię.

Odszedł człowiek — pozostał wielki poeta. Umiem wiele wierszy Broniewskiego na pamięć mimo — że ich się nigdy na pamięć nie uczyłem. Czy są ludzie, którzy nie ucząc się — umieliby zacytować z pamięci wiersze Sity, czy innego autora sponad tysiąca młodych poetów, którzy ogłosili tomik poezji w kraju lub na emigracji? Należy powtórzyć za Robinsonem Jeffersem: „jeżeli współcześni nie pojmują waszego mozolnie wypracowanego niezrozumiałstwa — to jakąż możecie mieć nadzieję, że czytać was będą i rozumieć za lat pięćdziesiąt?”.

Reporterzy krajowi, którzy towarzyszyli Broniewskiemu w jego objazdach autorskich — podkreślali zawsze ze zdziwieniem ogromny, spontaniczny oddźwięk jaki budziła jego poezja wśród młodych. Młodzi wyczuwali niezdegenerowanym jeszcze instynktem, że to jest autentyczna i z Bożej łaski poezja, jak śpiew ptaka.

Pamiętam — choć już chyba upłynęło ponad dwadzieścia lat od owej letniej jerozolimskiej nocy, kiedy Broniewski czytał nam w swoim pokoju „Kasztan”. Słyszałem wówczas ów wiersz po raz pierwszy. Chłodny dreszcz trzął mną jakby wiatr skądś powiał. Wstydzilem się tej reakcji przed samym sobą, bo wydawała mi się a-intelektualna i prymitywna. Ale czy poezja, która starsza jest od nauki i uładzonego intelektu — nie ma jakichś powiązań z tym co w nas jest pierwotne i pierwsze?

Dlatego autentyczna poezja nie potrzebuje karty tożsamości. Odbiorca natychmiast wie czy jest tą, za którą się podaje.

Wielka poezja liryczna Broniewskiego przetrwa. I żadna „lokomotywa dziejów” nie zdoła jej stratać.

## KOSZTA DEZINFORMACJI

„Combat” (z 16.3.br.) w korespondencji z Warszawy — informuje, że władze sowieckie są zaniepokojone przemytem rewizjonistycznej literatury z Polski do ZSSR. Według „Combat”, głównym źródłem produkcyjnym owej rewizjonistycznej literatury jest paryska „Kultura”.

W tej samej korespondencji czytamy również o kategoriach żądaniach sowieckich skierowanych pod adresem PZPR domagających się „przykręcenia śruby” i wzmożenia czujności.

Co w oczach Moskwy jest rewizjonizmem?

Rewizjonizmem jest wszystko bez względu na treść, wydane za granicą w jednym z języków ZSSR. Wydawnictwa w innych językach łącznie z polskim — należą do drugiej kategorii. Oczywiście Stawar po rosyjsku jest groźniejszy niż Stawar po polsku. Rewizjonizmem jest również wiersz napisany do szulady, a po śmierci autora ogłoszony zagranicą.

W roku 1959 wydaliśmy w języku ukraińskim jako tom XXXVII Biblioteki „Kultury” „Rozstrzelane Odrodzenie”. Jest to licząca 1000 stron antologia poezji ukraińskiej mało znanej narodowi ukraińskiemu. Większość autorów reprezentowanych w antologii padło bowiem ofiarą czystek stalinowskich.

„Rozstrzelane Odrodzenie” było wielkim sukcesem wydawniczym. Książka rozeszła się nie tylko wśród licznej ukraińskiej emigracji — zwłaszcza za Oceanem — ale dotarła i tam, gdzie powinna była dotrzeć to jest na Ukrainę.

Tak oto dzięki polskiemu emigracyjnemu wydawnictwu zlikwidowani ukraińscy poeci zmartwychwstali w swej ojczyźnie.

W dwa lata później w roku 1961 nastąpiła oficjalna reakcja. W Kijowie ukazała się książka niejakiego p. Mazurkiewicza pt. „Zagraniczni fałszerze ukraińskiej literatury”. Jak łatwo się domyśleć „fałszerzem” ukraińskiej literatury jest autor antologii J. Ławrynenko i instytucja, która wydała „Rozstrzelane Odrodzenie”.

Fakt, że władze sowieckie uznały za konieczne wydanie specjalnej książki, która by polemizowała z „Rozstrzelanym Odrodzeniem” — posiada swoją wymowę. Oznacza to, że doceniono w pełni zasięg wpływu.

Przed kilku tygodniami wróciła do Londynu delegacja lekarzy brytyjskich, którzy na zaproszenie władz sowieckich zwiedzali przez kilka tygodni szpitale, kliniki uniwersyteckie i instytuty badawcze w Moskwie i w innych miastach ZSSR.

Jeden z lekarzy brytyjskich w liście do redaktora „The Guardian” — stwierdził, że większość lekarzy w Moskwie — nie na głuchej prowincji, lecz w stołecznej Moskwie — nie wiedziała, że w Anglii istnieje bezpłatna społeczna służba zdrowia. Lekarze sowieccy wyobrażają sobie, że ponieważ Anglia jest krajem kapitalistycznym — jeżeli ktoś nie ma pieniędzy na doktora i lekarstwa — łąduje na tamtym świecie w charakterze ofiary systemu kapitalistycznego.

Propaganda sowiecka dezinformuje swoje własne społeczeństwo niepomernie bardziej skutecznie niż odbiorców zagranicznych.

Ochrona systemu za cenę dezinformacji była możliwa w ustroju stalinowskim. Z jednej strony trzeba bowiem dysponować potężnym aparatem policyjnym — z drugiej strony trzeba mieć możliwość całkowitego odcięcia społeczeństwa od reszty świata.

Dziś Sowiety, a tym mniej Polska, nie dysponują możliwościami i aparatem typu stalinowskiego. Dzięki niebywałemu postępowi i rozrostowi środków telekomunikacyjnych dezinformowanie społeczeństwa staje się operacją nie tylko bardzo trudną, ale i bardzo kosztowną.

Polska Ludowa nie ma dość pieniędzy by budować i utrzymywać dziesiątki stacji zagłuszających — nie ma dość pieniędzy, by utrzymywać

i opłacać armię policjantów i agentów. A trzeba by dosłownie armii agentów by wylapać, każdą zagraniczną książkę czy czasopismo drukowane na Zachodzie. Toteż w Polsce jeżeli ktoś chce być poinformowany to jest poinformowany — jeżeli ktoś chce zdobyć egzemplarz jakiejś książki choćby na dwa dni, go zdobędzie. W tych warunkach próby dezinformowania społeczeństwa wypadają nie tylko żałośnie, ale i kompromitują kierownictwo partii.

Weźmy przykład nam najbliższy tj. sprawę Anny Rudzińskiej.

Po wyroku wydano oficjalny komunikat, który na polecenie z góry przedrukowała niemal cała prasa krajowa. W komunikacie tym powiedziano, że Rudzińska została skazana za przetłumaczenie książki „o treści szkalującej Polskę i inne kraje socjalistyczne”.

Przyjrzyjmy się nieco bliżej temu arcydziełku „socjalistycznej praworządności”.

W oficjalnym komunikacie nie wymieniono ani tytułu książki ani nazwiska autora — by nikt nie mógł sprawdzić czy mamy tu do czynienia z paszkwilem klasy p. Arskiego czy z pracą naukową.

Wyrok wydał Sąd Wojewódzki dla m. st. Warszawy. Byłoby interesujące wiedzieć ilu sędziów z kompletu orzekającego zna język angielski i ilu zapoznano się w oryginale z treścią tej 400 stronicowej książki przed wydaniem wyroku.

Sklonny jestem przypuszczać, że żaden z sędziów nie czytał książki prof. Grossa w oryginale, a jedynym „dowodem rzeczowym” było polecenie kierownictwa partii skazania Rudzińskiej.

Ale pomijając aspekt moralny tego rodzaju wymiaru sprawiedliwości, z cynicznego punktu widzenia taktyki politycznej sprawa jest bez sensu.

Władzom partyjnym wydaje się naiwnie, że wystarczy stwierdzić w oficjalnym komunikacie, iż Rudzińską skazano za przekład książki (bez tytułu i autora) która szkaluje Polskę. Lecz ta akcja dezinformacyjna skazana jest na całkowite niepowodzenie. Książka prof. Grossa zostanie prędzej czy później przełożona na język polski zagranicą i w swoim czasie znajdzie się w kraju. Już dziś zarówno prasa jak i radio zagraniczne podały obszernie jej treść. Czytelnik krajowy ma możliwość wyrobić sobie obiektywną opinię zarówno o treści książki prof. Grossa jak i o „socjalistycznej praworządności” sądów PRL. Wynik owej konfrontacji jest przesądzony. To nie prof. Gross zostanie skompromitowany w oczach czytelnika krajowego. To kierownictwo partii i jej „socjalistyczna praworządność” zostanie skompromitowana.

Szczególnie naiwną metodą dezinformacji jest wygłaszanie autorytatywnych stwierdzeń przez osoby o wysokim statusie społecznym. Partia sądzi, że jeżeli daną opinię wypowie profesor uniwersytetu — akademicki autorytet wystarczy za dowody.

Prof. Schaff na łamach „Przeglądu Kulturalnego” oświadczył spokojnie, że w Polsce Ludowej jest więcej wolności niż w Stanach Zjednoczonych. PRL — zdaniem uczonego marksologa kroczy w czołówce wolnościowych państw świata.

Wszystko to należy odczytać jako post-scriptum do znanej dyskusji na temat wolności słowa w „Krzywym Kole”. Klub „Krzywego Koła” przekonał się namacalnie o tym, że w Polsce Ludowej jest więcej

wolności niż w Ameryce ponieważ KKK zmuszono do zawieszenia czynności na czas nieograniczony.

W ostatnich dwóch latach było takich wypadków więcej. Hertz-Kahn komunistyczny poeta żydowski od dawna siedzi w więzieniu za poezje znalezione w szufladzie. Kornacki został uwieczony za rzekome anonimy i pamiętnik znalezione podczas rewizji w jego biurku. Dwaj Salezianie OO. Massalski i Janik zostali skazani za rozpowszechnianie książki poświęconej polityce gospodarczej w krajach komunistycznych.

Aresztowanie autora za poezje czy pisma znalezione w prywatnym biurku przypomina dosłownie „zbrodnię myślową” i „policję myśli” z Orwella „1984”.

Ci, którzy są przy władzy mogą rządzić metodami policyjnymi. Mogą cenzurować prasę, mogą zamykać autorów za wiersze znalezione w ich prywatnych biurkach, mogą posyłać za kraty tłumaczy zachodnich książek naukowych. Ale dezinformowanie społeczeństwa — innymi słowy okłamywanie opinii społecznej celem usprawiedliwienia poszczególnych akcji policyjnych — z każdym miesiącem staje się trudniejsze.

Stalińscy polscy gdyby byli wykształconymi marksistami — musieliby w oparciu o marksistowską analizę dojść do wniosku, że model stalinowski należy do epoki historycznej, której nikt nie wskrzesi. Model stalinowski wymaga izolacji. Najpewniejszym i niezastąpionym „materiałem izolacyjnym” jest ciemnota i analfabetyzm. Podnosząc poziom oświecenia i wykształcenia społeczeństwa ułatwia się równocześnie dostęp do międzynarodowych źródeł informacji, których cyfra rośnie z każdym miesiącem. Za kilka lat wielkie organizacje tele-komunikacyjne będą dysponowały stacjami przekazowymi krążącymi wokół ziemi. Rezydenci Kremla i Białego Domu będą mogli przemawiać wówczas dosłownie do całej ludzkości. Ale to nie wielka pociecha. Istotniejszy jest fakt, że wykorzystanie przestrzeni kosmicznej dla celów tele-komunikacyjnych zapoczątkuje epokę uniwersalizmu w dziejach informacji.

W Anglii i w Ameryce istnieją już „mózgi elektronowe”, które są maszynami do tłumaczenia na obce języki. W tele-komunikacji — podobnie jak w strategii istnieje przewaga ofensywy nad defensywą — przewaga pocisku nad pancernem — przewaga nadajnika nad tłumikiem.

W świecie ku któremu zmierzamy, izolowanie społeczeństwa i usprawiedliwianie aktów terroru oficjalnym kłamstwem będzie operacją z każdym rokiem trudniejszą i z każdym rokiem niepomierne bardziej kosztowną.

LONDYŃCZYK

*Sąsiedzi*

## Przegląd niemiecki

### MEMORANDUM OŚMIU

Konstytucja Niemiec Zachodnich przyznaje swemu społeczeństwu szerokie możliwości inicjatywy i wpływu na formowanie się woli narodu, zaś partiom pozostawia współdziałanie w krystalizowaniu się tej woli. Jednak praktyka niemieckiego życia politycznego wciąż jest daleka od symbiozy społeczeństwa z reprezentacją parlamentarną: nie wyborcy wpływają na swych posłów, lecz partie polityczne usiłują narzucać swoje inicjatywy. W rezultacie, przy bardzo jeszcze żywej tradycji bezkrytycznego posłuchu dla władzy, sprzężenie zorganizowana grupa, związek, lub koteria, może dokonać wiele, zarówno w dodatnim jak i ujemnym sensie; może upowszechnić różne wersje, fikcje, legendy i tabu. Dlatego też nagromadził się w Republice Związkowej spory ładunek nietykalnych zagadnień, tajemnic poliszyneła, nieudomówień i odkładanych na później decyzji. Próby wyjścia z impasu czyniono już wielokrotnie, jednak wszelkie śmielsze wystąpienia zawsze i skutecznie tłumiono wypróbowanym okrzykiem: zdrada!

Urzędujący już od pół roku rząd koalicyjny nie przyczynił się do tychczas do zmiany stanu rzeczy. W takich warunkach, wskutek różnych niedyskrecji, przedostał się do prasy tekst memorandum, złożonego kierownictwom partii politycznych Bundestagu, a podpisanego przez ośmiu zaledwie współautorów. Ilość podpisów niewielka, ale ich powagi i znaczenia żadne tumulty, ani wrzaski o zdradzie, umniejszyć nie zdołają. Oto nazwiska i pozycje społeczne autorów:

BECKER Hellmut, 48, prawnik, autor wielu prac z zakresu szkolnictwa, od roku 1956 prezes Niemieckiego Związku Uniwersytetów Powszechnych; BECKMANN Joachim, 60, profesor, teolog, prezes Ewangelickiego Kościoła w Nadrenii; von BISMARCK Klaus, 50, prawnik Żelaznego Kanclerza, były kierownik Urzędu Społecznego Ewangelickiego Kościoła Westfalii, od 1960 roku Intendent (to znaczy naczelny dyrektor) Radia Zachodnio-niemieckiego w Kolonii; HEISENBERG Werner Karl, 60, astrofizyk o światowym nazwisku, laureat Nobla, pro-

fesor uniwersytetu i dyrektor Instytutu Max Planck'a w Monachium; HOVE Günter, 53, teolog, współpracownik Ewangelickiej Spółnoty Naukowej w Heidelbergu, teoretyk zagadnień z pogranicza nauk przyrodniczych i teologii; PİCHT Georg, 48, teolog, kierownik Zakładu Badawczego Ewangelickiej Spółnoty Naukowej, członek Niemieckiej Komisji do Zagadnień Wychowania i Oświaty; RAISER Ludwig, 57, prawnik, profesor Uniwersytetu w Tybindze, przewodniczący Komisji Odpowiedzialności Publicznej Kościoła Ewangelickiego w Niemczech; von WEIZSAECKER Carl Friedrich, 49, astrofizyk i filozof, współpracownik Instytutu Max Planck'a i profesor filozofii Uniwersytetu w Hamburgu.

Memorandum porusza pięć podstawowych tematów: politykę zagraniczną, wojskową i zbrojeniową, ochronę ludności, politykę socjalną i reformę szkolnictwa. We wstępie czytamy:

„...Część narodu niemieckiego, do której należymy, w drugim dziesięcioleciu po całkowitej a uzasadnionej klęsce, znów żyje w gospodarczym dobrobycie i w prawnokonstytucyjnej wolności. Praca narodu, pomoc naszych aliantów i polityka rządu przyczyniły się do tego. Uznajemy to z wdzięcznością. Ale wraz z dobrobytem w szerokich kołach narodu i jego kierownictwa zjawiała się skłonność do unikania wglądu w społeczne i polityczne kłopoty oraz do wykręcania się od twardych decyzji. Nie możemy oszczędzić zarzutu żadnej partii politycznej, że ukrywa przed narodem prawdy, o których naród powinien wiedzieć, opowiada natomiast to, co wydaje się, że będzie chętnie słuchane. Zbudowano zbyt wiele fikcyjnych pozycji, zbyt często zadawano się taktycznymi sukcesami, zbyt często przesłaniano nasze trudne położenie na skraju zachodniego świata...

„...Powstają sytuacje, w których politycy są skazani na wysłuchanie uwag od obywateli nie zajmujących się czynnie polityką. To właśnie spowodowało niżej podpisanych do wspólnego wystąpienia”.

W części pierwszej, dotyczącej polityki zagranicznej, czytamy:

„...Znajdujemy się w walce o wolność Zachodniego Berlina i prawo swobodnego samookreślenia politycznego Niemców z Niemieckiej Republiki Demokratycznej. ...Oczekujemy od naszych zachodnich aliantów, że w obronie wolności Zachodniego Berlina nie uchylą się od ryzyka wojny nuklearnej, a umożliwienie Niemcom z Niemieckiej Republiki Demokratycznej wolnego samookreślenia — potraktują jako jeden z ważniejszych celów długofalowej polityki Zachodu. Oba te żądania należą do kategorii ogólnoludzkiego prawa do wolności, którego obronie ma służyć Związek Zachodni; żądania te nie stanowią naszych wyłącznie narodowych interesów, możemy przeto je wysuwać.

Nasza walka o moralnie i prawnie bezsporne sprawy jest utrudniona przez brak zaufania świata zachodniego do Niemiec, zaufania całkowicie zniszczonego przez hitlerowską politykę przemocy i przez wojnę. Wielkie sukcesy Kanclerza Adenauera w odbudowie zaufania naszych zachodnich aliantów nie powinny przesłaniać nam faktu, że jeszcze wiele nieufności kryje się w stosunku do nas.

Widzimy to z prasy zagranicznej. W takim położeniu... 1) Obciążamy nasze narodowe dążenie do zjednoczenia, jeżeli je łączymy z żądaniem granic z 1937 roku. 2) Światowa opinia publiczna odróżnia nasze żądania oparte na ogólnoludzkich prawach od naszych pragnień narodowych...

Nie mówimy nic nowego wyrażając przekonanie, że prawo do wolności mieszkańców Zachodniego Berlina jest uznawane powszechnie w całym świecie; że jednak nasze narodowe dążenie do zjednoczenia w wolności obecnie jest nieosiągalne; że roszczenia do przywrócenia naszego suwerenitetu na terenach za Odrą-Nysą należy uważać za stracone. Wydaje nam się, że politycznie odpowiedzialne koła wszystkich partii podzielały nasze poglądy, jednak ze względów polityki wewnętrznej obawiają się o tym mówić publicznie. Zatrutą jest atmosfera uniemożliwiająca mówienie prawdy narodowi...

Jako najważniejszy przykład możliwości aktywnej polityki zagranicznej wymieniamy normalizację stosunków ze wschodnimi sąsiadami. Bez tego trwałe rozwiązanie podstawowych zagadnień polityki niemieckiej jest nie do pomyślenia. Naciągający nowy ład polityki międzynarodowej zawiera szanse takiej normalizacji.

Do rozpoczęcia odbudowy zaufania konieczny jest cały szereg poczynań, do których należą: materialne odszkodowania, paktynegresji, a może także ułożenie z Warszawą zgody na powrót zainteresowanych Niemców do ich stron rodzinnych. Uznanie granicy na Odrze-Nysie mogło być w ubiegłych latach obiektem jakichś przetargów. Dziś przyłączamy się do zdania rzeczoznawców, którzy sądzą, że uznanie tej granicy w ramach wymienionych poczynań odprężyłoby zdecydowanie polsko-niemieckie stosunki, ułatwiłoby naszym zachodnim aliantom wystąpienia w osiągnięciu innych naszych dążeń i, pozbawiłoby Związek Sowiecki możności wzajemnego wygrywania Polaków przeciw Niemcom i odwrotnie”.

Dalsze punkty memorandum, mimo niezwykle ciekawej treści i aktualności, pomijamy, gdyż interesują nas tylko pośrednio. Pomińmy również odpowiedzi tych kół niemieckich, którym memorandum zarzuca „budowę fikcyjnych pozycji”; są one z góry wiadome i zapewne długo jeszcze będą oscylować między okrzykiem zdrady, a pustostawem zamiatwanej tezy, że „niemiecko-polska granica, mogąca być przez oba narody uznana jako sprawiedliwa i sensowna, będzie osiągalna dopiero w pokojowych układach prowadzonych przez zjednoczone uprzednio państwo niemieckie”. Zjednoczone, to wiadomo, że od Saary do Kłajpedy, ale czy z wyłączeniem Poznania i Sudetów — to już nie na pewno wiadomo. Zatrzymajmy się na stwierdzeniu, że „memorandum ośmiu” wywołało niepowspędzone poruszenie i że nie uda go się ani zakryć, ani przemilczeć, ani utopić w gabinetach biurokracji.

Z dalszych niedyskrecji przeniknęła do prasy wiadomość, że kilkusobowa reprezentacja „ośmiu” trzykrotnie prowadziła w Bonn długie

dysputy z grupą około trzydziestu posłów i ministrów. W którejś z rund socjaliści wywalczyli sobie jeden punkt: „ósemka” cofnęła w stosunku do SPD zarzut, że wszystkie partie ze względów na opinię publiczną w jednakowy sposób zaniedbały zagadnienie ochrony ludności.



Przed sześćdziesięciu laty Aleksander Brückner pisał, że „...mimo bliskości Niemiec sięgała Polska niemal stale poza nie, gdy chodziło o kulturę duchową, a nie wyłącznie materialną” i stwierdzał „stały brak symbiozy między żywiołem polskim a niemieckim”.

Niedawno nadeszła z Warszawy wiadomość, że ruiny pałacu Kronenberga, wraz z pustym terenem wzdłuż Królewskiej, przydzielono Francji pod budowę Ambasady, Konsulatu i Instytutu Francuskiego. Wkrótce więc w najbardziej reprezentacyjnym punkcie Warszawy, naprzeciw pałacu Brühla na Saskim Placu — na placu, który poza pierwszymi, przeżył kolejne chrzciny rosyjskie, hitlerowskie, komunistyczne i przetrzymał sobór prawosławny pozostając dla warszawiaków zawsze Saskim Placem — dominować będzie gmach Francji, symbol łączności z Europą.

Może to i lepiej, że Europa szuka powrotu nad Wisłę i Niemen okólnymi drogami przez Paryż, Rzym, Londyn, Sztokholm, omijając bliższy, lecz ciągle jeszcze wyboisty szlak niemiecki.

S.W. KOZŁOWSKI

**WOLNE OD CŁA — PACZKI PEKAO**  
**PRZEKAZY PIENIĘŻNE**  
**PACZKI HASKOBY**  
 Katalog 500 najpopularniejszych  
 na żądanie



**CENTRALA WYSYŁKOWA**  
**HASKOBA LTD**  
 121 Earls Court Rd, London S. W. 5

## Sprawy i troski

### Polonia we Francji

Starzy działacze społeczni wśród polskiej emigracji politycznej we Francji, myślący często przedwojennymi kategoriami organizacyjnymi, nie zawsze dostrzegają przemiany światopoglądowe, jakie dają się zauważyć w skupiskach polskich, szczególnie zaś wśród młodszego pokolenia w osiedlach robotniczych. Dlatego też kierowane przez nich organizacje, nie wykazują aktywności, nie wzbudzają zainteresowania i kurczą się liczbowo. Powodów, które wytworzyły istniejący stan rzeczy, jest wiele: przede wszystkim wojna, następnie zmiany polityczne w Polsce, które ogromnie osłabiły łączność i współpracę emigracji z krajem, a szczególnie ważną przyczyną jest długoletni pobyt i zmiana oblicza polityczno-prawnego Polonii francuskiej. Żałuję, że nie posiadam dokładnych statystyk, dotyczących rozszedlenia ilościowego poszczególnych grup polskich: 1) tych, które składają się z obywateli francuskich, 2) tych, które są pod opieką urzędu dla uchodźców, 3) tych, które obejmują Polaków legitymujących się przedwojennymi paszportami polskimi bez zgłaszania się do konsulatów P.R.L. i wreszcie 4) tych, którzy po wojnie wzięli paszporty polskie (tzw. reżymowe). Stwierdziłem, że francuskie czynniki urzędowe (bo tylko te byłyby miarodajne) nie posiadają dokładnych statystyk odnośnie Polaków. Jednak po przeprowadzeniu rozmów z ludźmi, zajmującymi się zagadnieniami demograficznymi, przyjąłem liczbę ponad 700 tysięcy Polaków, zamieszkałych we Francji, z których przeszło 500 tysięcy posiada obywatelstwo francuskie. Cyfry te uważam również za zbliżone do rzeczywistych na podstawie moich osobistych obserwacji.

Powyższe liczby są antytezą w stosunku do okresu przedwojennego, kiedy ilość Polaków we Francji obliczano na pół miliona, w czym obywateli francuskich było zaledwie kilkanaście procent. Wówczas działacze społeczni myśleli kategoriami krajowymi, odczuwali nostalgię za krajem, który znali i często my-

śleli o złożeniu swych „zwłok” (tak sami o sobie mówili) w kraju, chociaż te ich zamiary nawet przed wojną były mało realne dla olbrzymiej większości emigracji zarobkowej. Emigracja była ściśle związana z krajem i określenie „Polonia”, używane już wówczas szczególnie w Stanach Zjednoczonych i w Niemczech, gdzie Polacy przeważnie posiadali obywatelstwo krajów zamieszkania, nie odpowiadało Polakom we Francji, bo oni uważali się za emigrację zarobkową, a nie za osiedleńcze grupy polonijne. To było zjawisko normalne, które w pierwszych dwudziestu lub trzydziestu latach daje się zauważyć u wszystkich grup emigracyjnych bez względu na ich narodowość. Oczywiście, myślę o tych grupach, które posiadają własne państwo. Przedwojenna emigracja włoska we Francji, mimo że była starsza od polskiej, stanowiła zwarty monolit narodowy i mimo, że nie posiadała sieci swych organizacji narodowych na wzór polski, zatrzymywała przeważnie obywatelstwo swego rodzinnego kraju i nie asymilowała się. Jedynie emigranci pochodzenia żydowskiego, po uzyskaniu prawa pobytu we Francji, starali się jak najprędzej zamienić swój paszport polski na francuski, bo to ułatwiało im uzyskiwanie wyższych zarobków i pod względem uczuciowo-patriotycznym zgadzało się z ich sumieniem. Chociaż to nastawienie wśród Żydów też nie było regułą.

Przed wojną emigracja zarobkowa, szczególnie zamieszkała w ośrodkach robotniczych, uważała się za część składową Polski, nie przyjmowała obywatelstwa francuskiego z wyjątkiem kupiectwa, wolnych zawodów i nielicznych jednostek, które uważały, że to jest im potrzebne do ustabilizowania się we Francji i w ogóle do startu życiowego. Nawet dzieci, urodzone we Francji, rodzice zatrzymywali przy obywatelstwie polskim. Po dojściu do pełnoletności młodzi Polacy nie zgłaszali się do armii francuskiej — wystarczała im rejestracja w konsulatach polskich, gdzie otrzymywali bezterminowe odroczenie lub też (b. rzadko) jechali do Polski, by tam odbyć służbę wojskową. Masowa emigracja zarobkowa, tak z Polski, jak i z Westfalii do Francji, rozpoczęła się w początku 1922-go roku. Dlatego też przed wojną nie wielu było pełnoletnich Polaków, urodzonych we Francji.

To są przyczyny, które spowodowały, że przed wojną mieliśmy tak mały procent Polaków naturalizowanych i tych, którzy skorzystali z ustawy o cudzoziemcach, urodzonych we Francji, którym przysługuje prawo wyboru obywatelstwa. Jednak te argumenty nie przekonują wszystkich: istnieją — powierzchowni, nieliczni wprawdzie badacze emigracji przedwojennej, którzy mimo, że nie byli przed wojną we Francji, piszą i głoszą na zebraniach, że emigracja polska tworzy getto polskie, ponieważ przed wojną „konsulaty sanacyjne” i polscy działacze społeczni twierdzili, że naturalizacja jest „zdradą narodową”. Według tych samych „badaczy” winę ponoszą konsulaty R.P. i działacze przedwojenni, że obecnie nie ma we Francji polskich „merów”, posłów i senatorów, że Polacy nie mają wpływu w parlamencie fran-

cuskim, w prefekturach i w ogóle że nie odgrywają należnej im roli politycznej we Francji. Wszystko rzekomo dlatego, że przedwojenne władze i kierownicy organizacyjni zamiast popierać przeszkadzali Polakom przyjmować obywatelstwo francuskie.

Jak było w rzeczywistości? Jako człowiek zajmujący się od 39-ciu lat organizacjami polskimi we Francji, muszę stwierdzić, że nigdy nie słyszałem na zebraniach przed wojną, aby prowadzono propagandę przeciw naturalizacji, lub aby działacze społeczni w rozmowach prywatnych odmawiali kogokolwiek od starania się o obywatelstwo francuskie. Nie robiły tego konsulaty, ani polska prasa we Francji. Ówczesny Związek Polaków wydawał specjalne okólniki do zarządów organizacyjnych, aby w stowarzyszeniach traktowano naturalizowanych Polaków na równi ze wszystkimi innymi członkami i aby nie dano im nigdy odczuć różnicy między nimi i obywatelami polskimi, by nie odsuwać ich od społeczności emigracyjnej. Po prostu uważano naturalizację za sprawę osobistą każdego Polaka i unikano dyskusji na ten temat, a w żadnym wypadku nie odradzano nikomu starań o naturalizację. Nawet biura Związku Polaków zajmowały się przygotowaniem aktów, potrzebnych do naturalizacji Polaków, którzy o to prosili. Były to wypadki rzadkie, bo Polacy przed wojną po prostu nie myśleli o pozbywaniu się obywatelstwa polskiego. Były wypadki, że starający się o naturalizację złożył do urzędu francuskiego potrzebne dokumenty, lecz gdy w końcu trzeba było podpisać w konsulacie polskim deklarację o zrzeczeniu się obywatelstwa polskiego, petent długo namyślał się i w końcu zniknął, zrzekając się dalszych starań o obywatelstwo francuskie. Dlatego też przed wojną władze francuskie przestały żądać od Polaków, starających się o naturalizację, zaświadczeń o zwolnieniu z obywatelstwa polskiego. Spotykało się wypadki paradoksalne, kiedy naturalizowani Polacy jeździli do Polski na paszporty polskie, bo konsulaty uważały ich za obywateli polskich. Były to jednak wypadki nieliczne, bo już w latach trzydziestych konsulaty polskie przy wydawaniu wiz na wjazd do Polski nie żądały od naturalizowanych Polaków zrzeczenia się obywatelstwa polskiego. W tym okresie stosunek do naturalizowanych radykalnie się zmienił. Konsulaty polskie otrzymały z Ministerstwa Spraw Zagranicznych polecenie (opracowane również przez powierzchownego badacza emigracji), aby wpływały szczególnie na działaczy społecznych, by ci prowadzili propagandę za przyjmowaniem przez emigrantów obywatelstwa francuskiego, ponieważ są oni skazani na stałe osiedlenie się we Francji i dlatego powinni jak najprędzej wejść w społeczeństwo francuskie. Oczywiście działacze społeczni odmówili propagowania wśród emigracji sztucznego przyspieszania naturalizacji, podając jako argumenty poszczególne anormalne wypadki, kiedy przedwcześnie naturalizowany robotnik polski nie potrafił rozmówić się po francusku i narażał się na kpiny zarówno ze strony kolegów francuskich jak i polskich.

Pierwszą próbę w propagowaniu naturalizacji postanowił oso-



biście przeprowadzić konsul generalny w Lille Stanisław Kara. W tym okresie odbywał się liczny zjazd delegatów jednego ze związków emigracyjnych. Według istniejącego zwyczaju przewodniczący poprosił konsula, jako „gospodarza terenu” (tak wówczas mówiono) o zabranie głosu. Korzystając z okazji, wygłosił on długie przemówienie o konieczności przyjmowania obywatelstwa francuskiego. Po przemówieniu sala zareagowała bardzo nieprzychylnie, wołając: „naturalizacja jest osobistą sprawą każdego z nas, lecz nie życzymy sobie, aby urzędnik Państwa Polskiego namawiał nas do zrzekania się obywatelstwa polskiego”. Na tym akcja konsulatów skończyła się; inni konsulowie nawet nie próbowali mówić na ten temat na zebraniach. Wówczas przyjęto zasadę, że proces naturalizacyjny jest zjawiskiem normalnym i długofalowym, nie można go przyspieszać ani opóźniać, szczególnie gdy chodzi o liczne masy robotnicze, które do zaaklimatyzowania się i wejścia w społeczeństwo kraju zamieszkania potrzebują znacznie dłuższego okresu, niż uchodźstwo, złożone z inteligencji, kupiectwa, rzemieślników, wysoko kwalifikowanych robotników itd.

W okolicach Lille znam kilka rodzin belgijskich, które od kilku pokoleń mieszkają we Francji i nigdy nie przyszło im do głowy, aby przyjmować obywatelstwo francuskie. To w życiu codziennym jest im niepotrzebne, a w życiu politycznym Francji nie chcą brać udziału, mimo, że ich kraj graniczy z Francją. Na Zachodzie zagadnienie mniejszości narodowych nie istniało i nie istnieje tak, jak nie istnieje również w Ameryce w odróżnieniu od państw Europy Środkowej. Polak amerykański uważa się przede wszystkim za Amerykanina tak, jak potomek nie tylko „wielkiej emigracji”, lecz i późniejszych grup emigracyjnych uważa się za Francuza, zachowując jedynie pełną lub częściową znajomość języka i przyjazne uczucia dla Polski. To zjawisko będzie prawie powszechne już w następnych pokoleniach Polaków, urodzonych we Francji. Dlatego nasze formy organizacyjne musimy stopniowo przystosowywać do tych przemian, które są procesem naturalnym i nieuniknionym. Na konto polskiej emigracji zarobkowej we Francji należy zapisać, jako zjawisko dodatnie utrzymanie dotychczas wyraźnego oblicza narodowego, mimo czterdziestoletniego pobytu we Francji (nie biorę pod uwagę wcześniejszych małych grup polskich). Poważną zasługę w tej dziedzinie należy bezsprzecznie przyznać Polakom, przybyłym z Westfalii, którzy tam uważali się za mniejszość narodową i w walce z „niemczyzną” nabyli ogromnej zaprawy i wytrwałości w obronie polskości przez organizacje o bardzo szerokiej rozpiętości zainteresowań, w których każdy Polak mógł znaleźć miejsce dla siebie i przez Kościół z polskimi duszpasterzami, oraz przez prasę polską, nie mówiąc już o kursach języka polskiego. Na terenie Francji wprawdzie nie potrzebowali walczyć o polskość, lecz szczególnie w pierwszych latach ich metody organizacyjne dały jak najlepsze rezultaty. Świadcami tego byliśmy w okresie

wojny. Generał Sikorski zorganizował na Zachodzie najliczniejszą armię ze wszystkich państw okupowanych przez Niemcy, a których rządy w końcowym etapie znalazły się w Wielkiej Brytanii. Kraj dał kadry oficerskie i podoficerskie, a szeregowych w ogromnej większości dostarczyła emigracja polska we Francji. Wprawdzie w kilkanaście dni po wybuchu wojny został zarządzony na podstawie umowy francusko-polskiej pobór przymusowy, lecz wówczas polskie obozy szkoleniowe już były wypełnione ochotnikami. Do komisji poborowych Polacy jechali masowo rowerami, autobusami, koleją mimo, że nie były rozsyłane osobiste wezwania. Polacy pilnowali się wzajemnie, chociaż przychodziło im to łatwo, bo uchylających się od poboru do armii polskiej prawie nie było. Żandarmi francuscy nie interesowali się poborem Polaków do wojska. Władze francuskie specjalnym dekretem zmobilizowały górników i robotników przemysłowych, pracujących dla armii. Jednak mimo tych zarządzeń samotni, młodzi Polacy uciekali z kopalń i z przemysłu wojennego do polskich obozów wojskowych. Kierowali się oni patriotyzmem. Wówczas nieliczni naturalizowani włączyli się w liczne masy polskie i wszyscy szli razem. Należy również wspomnieć o ofiarności emigracji na Fundusz Narodowy, która wyrażała się w sumie kwotą 500.000 ówczesnych franków miesięcznie. Czek na powyższą sumę wręczaliśmy w pierwszym okresie wojny bezpośrednio generałowi Sikorskiemu, co miesiąc. O ile ktoś chciałby negować zasługi przedwojennych działaczy społecznych we Francji, to niech porówna wkład emigracji polskiej we Francji z tym, co mogła uczynić dla tworzącej się Armii Polskiej na Zachodzie Polonia amerykańska w istniejących tam warunkach. Za odpowiedź wystarczy nam, jeżeli przypomnimy sobie, że polska akcja rekrutacyjna w krajach Ameryki Północnej w czasie wojny dała znikome lub nawet niemal żadne rezultaty.

Nie mniejszą rolę odegrała emigracja polska we Francji w czasie okupacji, w ruchu oporu. Zaraz po wejściu Niemców wielu działaczy społecznych samorzutnie zaczęło organizować konspiracyjne komórki polskie. W 1941-ym roku nadeszła z Londynu nominacja dla Aleksandra Kawałkowskiego, mocą której został on komendantem głównym tajnej Polskiej Organizacji Walki o Niepodległość (POWN), która przyjęła w komunikatach radiowych z Londynem kryptonim „Monika”. W ciągu kilku miesięcy wszystkie ważne osiedla polskie, tak w strefie „wolnej” jak i okupowanej, zostały objęte siecią tajnych komórek polskiej organizacji podziemnej. Zostało zaprzysiężonych kilka tysięcy Polaków, którzy już przed wojną byli zaprawieni w pracy patriotyczno-organizacyjnej, a w szczególności ważną rolę odegrali działacze społeczni na wszystkich szczeblach organizacyjnych od góry do dołu. Piszący te słowa, pierwszy zastępca komendanta głównego, — często w swych podróżach w strefie wolnej był zapytywany przez Polaków, czy istnieje polska organizacja podziemna, bo oni chcą do niej należeć, aby skutecznie słu-

żyć Polsce. Nie można było wciągać do tajnych komórek, które miały działać czynnie, mas emigracyjnych, lecz bierny ruch oporu stanowili wszyscy Polacy, uważając, że powinni tworzyć jeden front z krajem. Tutaj należy bezstronnie przyznać niezaprzeczalną zasługę komendantowi głównemu, który jako przedwojenny konsul generalny R.P. w Lille, miał możność poznać emigrację i podczas okupacji potrafił wykorzystać swoje przedwojenne doświadczenie, opierając akcję roboty podziemnej na emigracyjnych kadrach organizacyjnych i częściowo na doświadczonych i znających teren urzędnikach z polskiej służby zagranicznej. Rezultatów tej akcji nikt nie może negować. Ta działalność wraz z bohaterstwem żołnierza polskiego wzbudziły szacunek dla Polaków wśród społeczeństwa francuskiego i u władz francuskich, oraz przyczyniły się do pogłębienia wśród Polaków wiary we własną wartość. To jest realny wkład emigracji w walkę społeczeństwa francuskiego z okupantem, co bezpośrednio po zakończeniu działań wojennych nabrało znaczenia politycznego w stosunku do Polaków we Francji, którzy mogli korzystać z szeregu przywilejów, jakie nie przysługiwały wszystkim cudzoziemcom we Francji. Przede wszystkim Polacy uzyskali dużą łatwość w przyjmowaniu obywatelstwa francuskiego w trybie przyspieszonym i przeważnie prawie bezpłatnie. Wytworzył się klimat sprzyjający naturalizacji: — z jednej strony przychylność władz francuskich i dojrzałość emigracji do wejścia w społeczeństwo francuskie, które przyjmuje Polaków z otwartymi rękami, co nie zawsze miało miejsce przed wojną, a z drugiej strony zmiany polityczne w Polsce. Dlatego też stosunek grupy polskiej posiadającej obywatelstwo francuskie, do innych grup polskich zmienił się radykalnie: obecnie Francuzi polskiego pochodzenia stanowią liczbę przeszło dwa i pół razy większą od Polaków, nieposiadających obywatelstwa francuskiego. Ten stan wytworzył się samorzutnie, bez propagandy, bez nacisków i bez udziału w tej akcji polskich działaczy społecznych.

Stosunek między grupami polskimi we Francji będzie się zmieniał z każdym rokiem na korzyść Polaków, posiadających obywatelstwo francuskie. Będzie się również zmieniało oblicze prawno-polityczne emigracji i oczywiście do tego naturalnego procesu muszą być przystosowane formy organizacyjne wśród Polonii francuskiej. Emigracja samorzutnie idzie w tym kierunku. Już powstał Kongres Polonii Francuskiej, który wprawdzie nie może prowadzić bezpośrednio akcji organizacyjnej wśród Polaków wskutek braku środków materialnych, lecz już dzisiaj firmuje masowe uroczystości polonijne, a w dalszym rozwoju form organizacyjnych wśród Polonii ma przed sobą przyszłość.

#### *Deputowani polskiego pochodzenia*

W tej chwili w parlamencie francuskim jest dwóch deputowanych, którzy przyznają się do polskiego pochodzenia. Jeden

z nich mówi po polsku, drugi nie zna języka polskiego. Obaj mieli matki Francuzki. Polscy wyborcy nie przyczynili się do zdobycia przez nich mandatów poselskich po prostu dlatego, że w ich okręgach wyborczych mieszka bardzo mało Francuzów polskiego pochodzenia. W parlamencie bardzo rzadko zajmują się oni polskimi sprawami, należą wprawdzie do grupy parlamentarnej francusko-polskiej (jeden z nich jest nawet prezesem tej grupy), lecz w swej działalności wolą utrzymywać kontakty osobiste z ambasadorem P.R.L. i jego najbliższymi współpracownikami niż z polską emigracją polityczną. Nawet z Polonią francuską ich kontakty są więcej niż luźne — prawie znikome. Nie są to posłowie wyłonieni z Polonii francuskiej.

Tutaj nasuwa się pytanie, dlaczego kilkaset tysięcy Polaków, mających prawo głosu podczas wyborów we Francji, nie zdołało wprowadzić do Francuskiego Zgromadzenia Narodowego jednego lub kilku deputowanych, którzy reprezentowaliby interesy Polonii francuskiej i bronili spraw, dotyczących Polski. Na to pytanie już odpowiedziałem w pierwszej części niniejszego artykułu. Jednak obecnie pragnę dorzucić jeszcze kilka wyjaśnień do tej skomplikowanej sprawy. Wróćmy tutaj do liczb. Przyjeliśmy w pierwszej części tego artykułu, że we Francji mieszka ponad pół miliona Francuzów polskiego pochodzenia. Wśród nich jest nieproporcjonalnie wielka liczba małoletnich, chociażby dlatego, że istnieje dużo rodzin, gdzie dzieci urodzone we Francji są obywatelami francuskimi, a rodzice ich dotychczas nie naturalizowali się i zachowują obywatelstwo polskie, lub też posiadają karty uchodźcze. Dlatego też należy przyjąć jako maksymalną liczbę trzysta pięćdziesiąt tysięcy Francuzów polskiego pochodzenia, mających prawo głosu przy wyborach. Ta liczba dotyczy całej Francji, w czym najwyższy odsetek Polonii w stosunku do Francuzów stanowi departament Pas-de-Calais. Otóż nawet w tym departamencie Polacy posiadający prawo głosu w wyborach są za mało liczni, aby na własną listę mogli uzyskać potrzebną ilość głosów do przeprowadzenia swego posła. Oczywiście, że ten przykład jest nieistotny i nigdy nie powinien być przedmiotem rozważań nawet wówczas, gdyby liczba głosów polonijnych w okręgu wyborczym wystarczała do wybrania deputowanego polskiego pochodzenia. Taka lista wzbudzałaby niepotrzebnie uzasadnioną nieufność Francuzów do Polaków, posądzając nas niesłusznie o chęć wytworzenia mniejszości polskiej we Francji, mniejszości, która byłaby niepotrzebna, a nawet wręcz szkodliwa tak dla Francji, jak i dla Polski, a już najbardziej niezrozumiała i przykra dla Polonii francuskiej. Zdaję sobie sprawę, że poruszanie tego tematu jest pozbawione sensu, lecz czynię to dlatego, aby przekonać i uspokoić nieliczne jednostki wśród polskich badaczy emigracyjnych, które tendencyjnie, często dla własnych interesów, podają przesadne liczby głosów przy wyborach we Francji i którym snują się przed oczami miraż o wielkiej roli politycznej, jaką Polonia może i powinna odegrać we Francji. Na pewno tego

rodzaju myśli nie przyjdą do głowy Polakom, urodzonym i wychowanym we Francji. Ich lojalny stosunek do nowej ojczyzny i ich sentyment do ojczyzny ich rodziców przypominają mi rozmowę przed wojną z wysokim urzędnikiem francuskim, zajmującym się imigracją, który oświadczył mi, że przywiązuje małą wagę do naturalizacji dorosłych cudzoziemców, chyba że to będą znani uczeni, mistrzowie sztuki, lub poważni wynalazcy; interesują go natomiast ich dzieci, urodzone we Francji, uformowane przez francuską szkołę i wychowane wśród społeczeństwa francuskiego, oraz znające światopogląd filozoficzny tego społeczeństwa.

Nie ulega jednak wątpliwości, że sprawa głosowania Francuzów polskiego pochodzenia powinna nas interesować. Dziś powinniśmy im wskazywać na jakich kandydatów francuskich nie powinni głosować. To jest zadaniem prasy polskiej a nie poszczególnych ludzi, lub też nieznanymi nikomu komitetów wyborczych.

Za kilka lub kilkanaście lat Polacy na pewno będą figurować na listach kandydatów poszczególnych francuskich partii politycznych. Wówczas polscy kandydaci będą bezpośrednio uświadamiali politycznie Polonię głosującą.

W 1930-ym roku, zostałem zaproszony, jako delegat emigracji francuskiej na uroczystości, jakie wówczas odbywały się w poszczególnych miastach amerykańskich, zamieszkałych przez Polaków, dla uczczenia 50-lecia istnienia Związku Narodowego Polskiego w Stanach Zjednoczonych. Podczas jednego z prywatnych przyjęć u znanego lekarza, dra Teofila Starzyńskiego w Pittsburgu, który był również od dawna prezesem Sokolstwa Polskiego w Ameryce, a po pierwszej wojnie światowej odgrywał czołową rolę wśród Polonii amerykańskiej — był jej seniorem — powiedziałem mu, że jestem zachwycony ich organizacją wzajemnych ubezpieczeń, ofiarnością na cele polskie, dużą frekwencją na uroczystościach, lecz nie rozumiem dlaczego tak liczna Polonia, posiadająca prawo głosu podczas wyborów, nie zdołała przeprowadzić ani jednego działacza polonijnego do Kongresu amerykańskiego. (Wówczas miałem możność obserwować walkę wyborczą, jakiej nigdy nie widziałem w Europie, między zwolennikami Hoovera i Roosevelta, kandydującego po raz pierwszy).

— Sprawa kongresmanów polskiego pochodzenia — odpowiedział mi dr Starzyński — jest zbyt skomplikowana, aby mógł ją zrozumieć człowiek niemający długiego stażu emigracyjnego.

(Ja miałem za sobą wówczas osiem lat takiego stażu).

— W tym roku upłynęło 50 lat — ciągnął dr Starzyński — od założenia Związku Narodowego Polskiego, a w chwili powołania go do życia była już dosyć liczna emigracja polska w Stanach Zjednoczonych. W tej chwili wyborców polskiego pochodzenia nam nie brakuje. Liczymy ich na miliony. Lecz — niestety — dotąd stałe było nam brak poważnych kandydatów, którzy mieliby szansę wejścia do Kongresu amerykańskiego. To jest główna przyczyna, że dotychczas nie mieliśmy polskich kon-

gresmanów. Dopiero w obecnych wyborach udało się nam prze-forsować kilku kandydatów na amerykańskie listy tak w partii republikańskiej, jak i w partii demokratycznej, prowadzonej do wyborów przez Roosevelta. Mamy nadzieję, że kilku z nich wejdzie do Kongresu.

Przewidywania prezesa Starzyńskiego sprawdziły się.

Po chwili mój rozmówca ciągnął dalej:

— Przechodziliśmy przez kilka etapów w kształtowaniu się wśród Polaków właściwego oblicza prawno-politycznego. W Ameryce wystawianie list narodowościowych przy wyborach nawet na niższych szczeblach nie istnieje i nigdy nie będzie istniało. Tak jak nie istnieje pojęcie mniejszości narodowej. Nie czynią tego liczniejsze od nas grupy anglo-saskie, niemieckie itd. W tej chwili mamy dużo radnych miejskich, mamy burmistrzów w mniejszych miastach, mamy ludzi na wysokich stanowiskach w stanowej administracji, szkolnej i skarbowej (w Ameryce inspektorzy szkolni i dyrektorzy banków stanowych są wybierani — przypisek autora), lecz dotąd nie mamy kongresmanów.

Tutaj przerwałem prezesowi Starzyńskiemu, zapytując go, czy organizacje polskie w ogóle nie interesowały się dawniej wyborami do Kongresu amerykańskiego?

— Nasze organizacje — odpowiedział mi dr Starzyński — dotychczas nie zajmują się polityką, lecz w obecnych wyborach poparliśmy jak najenergiczniej te listy, na których figurują kandydaci polscy. Ale główną rolę odgrywa prasa polska i sami kandydaci, którzy przez swoją długoletnią pracę polityczną w amerykańskich partiach politycznych zdołali dostać się na amerykańskie listy wyborcze w okręgach zamieszkałych przez Polaków. Tutaj kandydat na posta musi być wychowany w Ameryce, musi znać psychologię wyborców (nie tylko polskich), musi znać dialekt amerykański, musi mieć zaufanie partii, z której ramienia kandyduje i wreszcie musi posiadać ogólne wyrobienie polityczne i odpowiedni poziom intelektualny. Na wychowanie tego typu kandydatów potrzeba jest kilkudziesięciu lat. To jest przyczyną naszej nieobecności dotychczas w Kongresie. Sądzę, że po obecnych wyborach ta nieobecność skończy się.

Po krótkim namyśle prezes dodał:

— Oczywiście, że na przestrzeni ostatnich lat mieliśmy różne samorzwańcze komitety wyborcze, które sprzedawały polskie głosy amerykańskim partiom, a nawet poszczególnym bogatym kongresmanom. Akcja komitetów szybko skończyła się, bo zainteresowani Amerykanie przekonali się, że wspomniane komitety były nieznanymi wyborcom. W obecnych wyborach propagandą na rzecz przyszłych polskich kongresmanów zajęła się poważna prasa polska z pomocą zorganizowanej Polonii. Ta akcja na pewno da pozytywny rezultat.

Po oświadczeniu prezesa Starzyńskiego nie miałem argumentów do dyskusji z nim, jakkolwiek wydawało mi się, że okres wyczekiwania na polskich kongresmanów w Stanach Zjedno-

czonych był zbyt długi. Dopiero obecnie dostrzegam, że historia Polonii amerykańskiej w pewnym stopniu powtarza się we Francji.

### *Polonia francuska i jej przyszłość*

Termin „Polonia francuska” przed wojną nie był używany dla określenia polskich mas emigracyjnych. Dopiero po wojnie, kiedy ilość Polaków posiadających obywatelstwo francuskie zaczęła stanowić poważną większość wśród Polaków we Francji, dawna emigracja zarobkowa zamieniła się w Polonię francuską i stopniowo zaczęła zmieniać swoje oblicze prawnopolityczne. Ten proces wchodzenia w społeczeństwo francuskie będzie w tempie przyspieszonym posuwał się w kierunku integracji. Nasze organizacje polonijne nie mogą w tym procesie pozostać bezczynne, ponieważ ich bierność szczególnie, jeżeli chodzi o kulturę polską, opiekę duchową i sentyment do kraju swojego pochodzenia, byłaby niezrozumiałą. Dlatego też aktywność zrzeczeń polonijnych nie może słabnąć: powinna przybierać na sile, aby organizacje mogły łatwiej spełnić swoje zadanie. Musimy już dzisiaj powiedzieć sobie śmiało i szczerze, że zgadzamy się na integrację, lecz nie będziemy mogli zgodzić się na pełną asymilację. Zgadzamy się na integrację, bo nie chcemy, aby Francuz polskiego pochodzenia był traktowany jako obywatel drugiej klasy i jako niepełny Francuz. Polak, posiadający obywatelstwo francuskie, powinien spełniać uczciwie wszystkie obowiązki, jakimi są obarczeni obywatele francuscy. Wówczas będzie traktowany, jako pełny obywatel Francji, nie będzie wzbudzał nieufności i będzie w pełni korzystał z przywilejów obywatelskich tak pod względem politycznym, jak i prawnym. Będzie to Polak „integrowany”.

Zupełnie inne podejście mamy do asymilacji. Uważamy, że Francuz polskiego pochodzenia, chociażby z pobudek uczuciowo-moralnych nie może nie posiadać sentymentu do ojczyzny swoich rodziców, nie może nie interesować się kulturą polską i wreszcie nie może nie znać — chociażby słabo — języka polskiego, który jest kluczem do poznania kultury polskiej. Znajomość języka i kultury polskiej, oraz sentyment do kraju swojego pochodzenia będą wzbudzały do niego szacunek wśród społeczeństwa francuskiego, bo człowiek wypierający się swoich przodków nie posiada dostatecznych walorów moralnych, aby być dobrym obywatelem nowej ojczyzny. Francuzi to rozumieją. Mamy tego przykłady: opłacanie przez rząd francuski polskich niezależnych nauczycieli, którzy uczą w państwowych szkołach języka polskiego dzieci polskiego pochodzenia, posiadające obywatelstwo francuskie, utrzymywanie przynajmniej częściowe wielu duszpasterzy polskich przez upaństwowione przedsiębiorstwa francuskie, które również pomagają parafiom polskim, składającym się w ogromnej większości z obywateli francuskich, ułatwianie Polakom bez

względu na posiadane obywatelstwo odwiedzania rodzin w Polsce podczas miesięcy wakacyjnych celem zwiedzenia i utrzymania łączności kulturalnej i rodzinnej z krajem ich pochodzenia (mimo istnienia tam reżymu komunistycznego, nie odpowiadającego dzisiejszej Francji) — to wszystko świadczy, że Polonia francuska może bez przeszkód prowadzić swoje prace kulturalno-oświatowe, duszpasterskie i szkolne w języku polskim. A więc nie potrzebuje się całkowicie asymilować w sensie zrywania z tradycjami polskimi i w ogóle z łącznością z Polską, pozostając równocześnie dobrymi obywatelami Francji.

W końcu pragnę pobieżnie omówić sprawę udziału Francuzów polskiego pochodzenia w niższych organach administracji francuskiej. Jest ich dużo: w radach miejskich, są nawet zastępcami burmistrzów w osiedlach górniczych, należą do zarządów kas chorych, do rad załogowych, do zarządów syndykatów robotniczych itd. Są oni szanowani przez Francuzów i Polaków i z każdym rokiem ilość ich w lokalnej administracji francuskiej stopniowo powiększa się. Akcją wyborczą do samorządów zajmują się bezpośrednio kandydaci z poparciem syndykatów robotniczych względnie partii politycznych, do których należą. Na tym odcinku Polacy zdali egzamin bez niczyjej pomocy.

Piotr KALINOWSKI

*b. sekretarz gen. Związku Polaków we Francji*

CRACOVIA BOOK COMPANY wydaje co miesiąc Katalog Polskich Wydawnictw, które ukazują się bieżąco, są w Cracovii do nabycia.

Zainteresowani znajdą tam tytuły ułożone w następujących działach: Roczniki i Periodyki, Archeologia, Sztuka i Teatr, Biografie i Pamiętniki, Filologia Klasyczna, Ekonomia, Powieści, Prawo, Poezja, Polityka, Sławiastyka, Turystyka, Varia. W szerokim wachlarzu wydawnictw każdy może znaleźć najlepszą dla siebie lekturę. Katalog wysyłamy bezpłatnie za zgłoszeniem.

**CRACOVIA BOOK COMPANY LTD.**  
58, Pembroke Road, London, W.8

## Kraj

# Z Żeromskim po Polsce

Oczywiście nie z Żeromskim, ale z jego utworami pod pachą, jego śladami, przez Warszawę, Kraków, Zakopane i Kielce — na tropach Smętka, na tropach Żeromskiego...

Czy dobrze zrobiłam wybierając ten temat? Czemu właśnie Żeromski? — „Czemu pani nie wybrała kogoś z młodszych? — spytał stary literat w Londynie. Czy nie interesuje pani; okres dwudziestolecia? Jabym na pani miejscu napisał studium o Tuwimie, lub Gałczyńskim”.

Każdy na moim miejscu wybrałby co innego, radzono mi rozprawę o Irzykowskim, lub pracę o Witkacym. Dziwiono się chórem, tu, i w Polsce, czemu o Żeromskim. Bo tamte sprawy już zgasły, równie niepowrotnie, jak zachwyty dla Konopnickiej. I dlatego właśnie wychodzą kalendarze, monografie i tomy wspomnień, że Żeromskiego „wyrok historii” nieubłaganie przeniósł do gablotki, za szkło, gdzie mu nie grozi ani kurz, ani natarczywa miłość współczesnych. Żeromski — w gablotce przeszłości. Złożmy wieniec na jego grobie, ale po co go ogrzebywać? Tak mi mówiono, i tu, i wszędzie. Dziwiono się tak niegrzecznie, prawie z politowaniem, że po pewnym czasie przyjął postawę defensywną — „Tak, proszę pana, niech pana to nie dziwi, piszę pracę o Żeromskim. Już taka jestem, widać, staromodna...”.

Ale dlaczego naprawdę? Czy tylko dlatego, że nie wolno mi było „skoczyć” we współczesność, zanurzyć się w odmet żywych jeszcze spraw, mieniących się różnokolorowo pod piórem krytyków, zmieniających barwę jak kameleon, płynnych?... To był jeden z powodów, ale nie jedyny. Były inne, sięgające w przeszłość, dziś już bardzo daleką, może równie pogrzebaną jak Żeromski: pierwsze odkrycia lat szkolnych, pierwsze łyżki nad „Wierną rzeką”, miłość Rafała i Heleny... Potem urok Dostojewskiego i odczucie pewnych powiązań. Ale tak nie wolno

o tym mówić, trzeba to wyrazić bardziej „naukowo”. — „Chodzi mi, proszę pana, o określenie linii wpływu Żeromskiego na współczesnych”.

Może to zresztą zupełnie wszystko jedno, o co komu chodzi, o takie, czy o inne „linie wpływu”, „formacje strukturalne”, „narastanie nowych form”, „odchylenia”. Pochyleni nad przeszłością liczymy słoje przeciętego drzewa, ale co nam to mówi? Na czym polega sekret wiedzy, czy tylko na zdolności odróżniania buków od jodeł, na umiejętności klasyfikowania martwych form? A może nie powinniśmy w ogóle wierzyć w żadne sekrety?

O tym wszystkim myślę, mniej lub bardziej dorywczo, wchodząc i wychodząc z samolotu, przesuwana jak paczka przez różne poczekalnie, wielojęzyczne biura, gdzie wszystko jest tak samo, mimo różnych mundurów, trochę innych procedur. Można by tę podróż odbyć nie otwierając oczu, obudzić się dopiero w Warszawie... Jeszcze w Paryżu przychodzi mi do głowy, że właściwie powtarzam drogę Judyma sprzed pół wieku — z Paryża do Warszawy. Czy tak wiele się od tych czasów zmieniło? Chyba nie. Przeskok jest tak, jak wtedy, ogromny — po morzu światła, małe, ciemne Okęcie. Doktor Judym jest znów w Polsce — w mojej walizce. I znów nikt go nie wita.

Tak jest zresztą lepiej. Boję się polskiej drapieżnej wylewności, tej orgii pocałunków, gdzie raz po raz ktoś cię dławi w objęciach, podsuwając ci pod nos swoją spoconą twarz. Nadmiar zainteresowania moją osobą budzi we mnie lęk, więc cieszę się do głębi tą chwilą odprężenia. Przyciskam nos do szyby autobusu i myślę, nie bez tklivości, że Warszawa jest mimo wszystko mała i ciemna. Ta uwaga, wypowiedziana głośno, wywołuje oburzenie innych podróżnych — „Mała i ciemna?! Ależ, proszę pani, trzeba było tu przyjechać przed rokiem...”. Tak jest zresztą zawsze. Nie rozumieją, może nie chcą rozumieć, żeśmy tu nie przyjechali porównywać. Porównywać co z czym: New York z Warszawą? Takie zestawienia nie mają sensu. Przyjeżdżamy po coś, cośmy dawno utracili, czasem tak dawno, że nie odczuwamy już braku — po poczuciu swojskości. Chodzimy po nieznanym nam ulicach, uczymy się tej Polski na pamięć, wszystko jest nam obce, linie tramwajowe i nazwy sklepów, a przecież, mimo to, czujemy od razu, że jesteśmy tu u siebie. Ot, po prostu tak. To nic, że nie pamiętamy, jak wygląda nasza „Krochmalna” (Judym swoją pamiętał). Mieszkaliśmy tu kiedyś, w tym, czy w tamtym domu — to wszystko jedno. Jeśliśmy nie mieszkali, mogliśmy byli mieszkać. Jeśli domu tego nie ma — to był. Wielu rzeczy nie ma, które są. To wszystko nie ważne. Jesteśmy tu u siebie.

Dlatego pewnie odgrywamy cudzoziemców z zapalem. Mówimy — „Kanada, u nas w Kanadzie...”. Niektórzy z nas chętnie się wręcz swoim trans-oceanicznym bogactwem. Udają

sami przed sobą, że już ten kraj „przerośli”, że nie mają z nim nic wspólnego. Ale to tylko poza, wobec siebie i innych, bo bez tego mogłoby być czasem tak smutno... Więc proszę się na nas nie gniewać — my jesteśmy „ludzie bezdomni”. Dzwoniąc szpilką po bruku, chodzimy po tym mieście, malujemy usta, pudrujemy nosy i... wydziwiamy. Ale dopiero w domu chciałoby się zapłakać w uperfumowaną chusteczkę.

Przychodziło mi do głowy, że praca „literaturo-znawcy” ma coś wspólnego z pracą detektywa. Trzeba przeszłości wydrzeć jej zazdrośnie strzeżone zagadki (I znów wracam do zagadek! Jak to wszystko brzmi nienaukowo...) To nic, że w moim wypadku „zagadki” — to po prostu dane bibliograficzne wczesnych artykułów o Żeromskim. Żadnej sensacji, żadnego skandalu... A mimo to, zdaje mi się, że mam znaleźć igłę w stogu siana. Poszukiwania rozpoczynam w miejscu jak najbardziej właściwym — w Instytucie Badań Literackich. W Pałacu Staszica błądzą, jak w labiryncie. Zawsze zresztą błądzą, wtedy i potem. Tu jestem naprawdę „na tropie”. Mijam biura w tajemniczych korytarzach, gdzie na pewno się kryje wiele bardziej fascynujących zagadek, niż moja. Wszyscy się tu znają, mijają mnie w milczeniu, choć z pewnością rozpoznają we mnie intruza.

Zresztą bardzo szybko trafiam na właściwy „trop”. „Wyspę skarbów” odkrywam nie tu, ale w prywatnym mieszkaniu pana K., który mi wspaniałomyślnie udostępnia swoją przebogata kartotekę. Na część pana K. powinienem ułożyć poemat — może odę. W odzie tylko udałoby mi się zawrzeć ogrom mojej wdzięczności. Pracujemy przez parę dni przy jednej lampie, jednym biurku. W przerwach pijemy „małą czarną” i mówimy o Żeromskim „bardziej prywatnie”. Pan K. jest niezrównanym znawcą jego spraw, zna życie Żeromskiego dokładniej niż ja własne (z czego wcale nie wynika, że własne życie zasługuje na tak dokładną znajomość). Na każdym kroku natykam się na nazwiska i fakty, o których nie wiem nic. Wtedy przelękam ślinę, lub zmieniam temat. Po pewnym „obłaskawieniu” nabieram odwagi i pytam. Za oknem jest mroźno, styczniowo, w filizankach stygnie „mała czarna”, z każdego kąta patrzy na nas Żeromski, może zresztą i inne duchy, np. gniewny duch Heleny, której rodzina tak bardzo wzięła do serca publikację „Dzienników”. Owocem kilku dni pracy jest lista stu artykułów (Boże złoty! Aż stu...). Jest to zresztą tylko drobna część tego, co w ogóle napisano o Żeromskim. Oglądam uważnie, trochę podejrzliwie, długi wykaz obco-brzmiałych nazwisk. Co się poza nimi kryje? Czy ci ludzie rzeczywiście mieli coś do powiedzenia?

Już niedługo stwierdzą, że nie. W każdym razie — nie wiele. Wszystko to dałoby się zawrzeć w paru zdaniach i długim wielokropku. Tyle słów, a tak mało treści... O tym myśle w Krakowie, w Bibliotece Jagiellońskiej, z bijącym sercem wertując stopy gazet, tygodników, miesięczników, o poźółkłych

kartkach, przezabawnych tytułach i pretensjonalnych, młodopolskich ilustracjach. Przemykając oczy na ciekawostki i osobliwości (nie ma się na to czasu), docieram uparcie do drobnych, nieznaczących recenzji i rozczarowuję się na nowo i na nowo. Jest w tym ironia losu, czyjś złośliwy żart (pod moim adresem, czy Forda?), że w całej tej pracy „odkrywczej” tak mało daje się odkryć. Ale co mam zrobić — rzucić? Może to zresztą przesada, wszystko to nabierze wyrazu z pewnej perspektywy, gdy poszczególne głosy zaznaczą się wyraźniej na tle innych. Na razie mniej zagadali, jestem ogłuszona, zgubiona, stąd ta niepewność.

Uciekam z czytelnicy, błądzą po Plantach, takich pustych o tej porze, chodzę po małych, ślicznych uliczkach, zaglądając w niskie okna.

*My minowali wsie warota  
I w każdym widieli aknie  
Kak tiażelo ležit rabota  
Na každyj sognutoj spinie.*

pisał Błok. Żeromski wyraziłby to inaczej, metaforycznie, odgórnie. Ten uczuciowy barok trochę razi nas dziś, w czasach *understatement*, kiedy rzeczywistość przerosła wyobraźnię i największe zdumienie wyrażamy milczeniem. „My minowali wsie warota...”. Gdzie jest koniec tej drogi?

Na rogu przekupka sprzedaje obwarzanki, okrągłe, z makiem. Może by kupić jeden i wetknąć dziecku, które przystanęło, jakby w oczekiwaniu,

Nic dziwnego, że pisarze z taką pogardą traktowali krytyków, do dziś dnia zresztą traktują ich z pogardą. Czym być powinna krytyka?

O tym mówimy z panem E., w Sekretariacie, na Gołębiej (za oknem, na rogu gra skrzypek). Co chwila zresztą ktoś przychodzi, przerywa, pan E. podaje książkę. Myślę mimowoli o tym, jak wielki stanowią kontrast — on i mój znajomy z Warszawy, dwaj znawcy Żeromskiego. Wiem, że takie refleksje nie mają sensu, a mimo to zestawiam ich ze sobą, jak dwa odmienne utwory literackie: podobieństwa, różnice... I ja, pomiędzy nimi — klinem. Czy stanowimy trójkąt? Na dobrą miarę jest jeszcze i kąt czwarty — nieznana mi sławistka z Leningradu. Czy pasowalibyśmy do siebie? To są wszystkie rozważania niepoważne, a pan E. jest człowiekiem poważnym, rzeczowym i bardzo uczynnym. Uzyskuje od niego skarb nielada, pierwszą kopię, niewydanego jeszcze „Kalendarza”. Wybiegam z grubą pliką szpalt. Skrzypek wciąż jeszcze gra. „Kalendarz” będę czytać w długie, mroźne wieczory w Zakopanym, zerkając jednym okiem na roziskrzony śnieg, nikle światła latarń i profil gór. Tak samo kiedyś patrzył Żeromski. Zachwycał się grą kolorów i światła i pisał do

Oktawii długie listy. Ja też piszę (częściej kartki, niż listy), nie mam tej potrzeby, co on, przelewania uczuć na papier. Piszę tylko wtedy, kiedy rzeczywistość się „kurczy”, kiedy trzeba ją na gwałt rozszerzyć barwnym komentarzem, ucieczka w złote nic...

(Niech Was to nie razi, że tak często zestawiam siebie z nim. Takie zestawienia nie stawiają znaku równania. Porównywać można wszystko — muchę ze słoniem. Ani mu to nie ubliża, ani go to nie pomniejsza, ani mnie to z kolei nie wywyższa, że myślę o nim, idąc Doliną Kościeliską — „ładniejsze miejsce jeśli jest na kuli ziemskiej, — pisał do Oktawii — no, to niech sobie będzie. Dla mnie Dolina Kościeliska jest majstersztykiem przyrody”). Myślę o nim często i po trzecie zaczynam się martwić — co potrafię o nim powiedzieć, czego nie powiedzieli inni? Ale zarazem mam poczucie, że w swych troskach nie jestem odosobniona. Przeżywały je zastępy naukowców, upartych badaczy, „mędrców ze szkiełkiem w oku”, którzy w kraju uzyskali pogardliwe miano (nie pozbawione jednak pewnego uzasadnienia) „głuchych muzykologów”. O nich właśnie opowiadają mi wieczorami dwaj profesorowie (Czy powinienam wymienić ich nazwiska? Boję się dotykać nazwisk ludzi żywych). W salonie na kanapie (takie salony były tylko w dzieciństwie) mówimy o tamtych, „międzywojennych” czasach, które były i nie były moje własne, które są mi bliskie, a w pewnym sensie mniej znane, niż epoka Kościuszki. Pada szereg nazwisk ludzi już nieżyjących, słucham przezabawnych anegdot, kończących się zazwyczaj smutnym *post mortem* — zginął w Oświęcimiu, umarł w czasie obłędzenia. Tak nie lubimy grobów, a wracają do nas na każdym kroku — jakże mamy z siebie otrząsnąć tragiczną polską „przeszłość”? W oknie stoi paprotka (takie widywałam tylko u babci), za oknem skrzy się śnieg. Myślę trochę bez związku, że trzeba będzie w Kanadzie kupić paproć.

Przeczytałam ten szkic, tyle tu przeskoków, uproszczeń! Jest jak łamigłówka (*picture puzzle* — powiedziałyby moje dzieci), którą układam dość pośpiesznie i niedbale, z drobnych odcinków. Pewno spotkam się z zarzutem, że byłam wszędzie i nie widziałam nic, że byłam tak jak badacze — „muzykolodzy” — głucha. Że zwracałam więcej uwagi na paproć w oknie, na skrzypka na Gołębkiej, czy obwarzanki z makiem, niż na tzw. „sytuację polityczną”. Że nawet z Żeromskiego zrobiłam sobie maskotkę, którą noszę dumnie w klapie, jak medal, czy talizman. Wszystko to może prawda, ale nie cała, bo mogłabym napisać co innego i inaczej, choć na pewno bez żadnych rewelacji. (Rewelacje pozostawiam innym „badaczom”). Niech się szczyć niezrównaną diagnozą, wspaniałym rozwiązaniem wszystkich polskich problemów — z hotelowego okna, gdy tak łatwo jest radzić, nie ponosząc odpowiedzialności i tak się wszystko wie, w drodze z Biura

„Lotu” na Okęciu). A więc piszę, co chcę i tak piszę, jak chcę — koniec końców to moja łamigłówka. I nie waham się twierdzić, że bliższy mi był stary skrzypek, niż Wawel, góralki z ciepłym mlekiem, niż największe cuda Doliny Kościeliskiej. Ale to mi chyba wolno — prawda?

Z Zakopanego pojechałam do Kielc. Stałam w oknie wagonu, patrząc jak Raduski z „Promienia”, na „otwarte, płaskie pola. Śniegi leżały tam jeszcze głębokie, ale już zestarzałe i jakby zniszczone. Zasy porozrzucone przez dawne burze, zmiękłe do głębi w odwilżach, wystygłe w mrozach...”. Przez te śniegi i zasy pociąg sunął zwolna i tak, jak wtedy, toczyły się okolicznościowe rozmowy. Ale w tym wyczerpywały się podobieństwa. Raduski wracał do siebie, po latach wygnania, ja jechałam „przed siebie”, aby coś znaleźć, coś „odkryć” — w tym wypadku przekonać się naocznie, jak wyglądają Kielce — Łzawiec z „Promienia”, Kleryków z „Syzyfowych prac”. Czy gimnazjum stoi, jak przedtem? Czy nie ścięto kasztanów w Kieleckim parku? Uderza mnie przede wszystkim, że Kielce są tak małe — wybaczcie mi Kielecczanie! „Pierwsza ulica wjazdowa posiadała te same jamy w bruku, te same do cna zdeptane chodniki” — stwierdzał po przyjeździe Raduski. Ja oczywiście nie wiem, czy jamy są te same, ale stwierdzam, że są, jamy i „kocie łby” — tylko ludzie są inni. A poza tym wisi nad Kielcami ta sama atmosfera, ciepła i prowincjonalna.

W Muzeum oglądam ze wzruszeniem rękopisy Żeromskiego i stare fotografie. Znam już niektóre z nich z reprodukcji książkowych, ale te są autentyczne, poźółkłe, ze zblakłymi napisami. Wdzięczna jestem kierownicze muzeum za tyle gościnności. W jej gabinecie odkrywamy kopalnię skarabów; są tu prześliczne, stare świątki, zapaski w słonecznych kolorach, kilimy i ptaszki z gliny. Kierowniczkę pasjonuje Żeromski i folklor (to połączenie nie jest zresztą przypadkowe). W przystępie serdeczności obiecuje nas zabrać do klasztoru Świętej Katarzyny. A więc zobaczę jeszcze „tyle ukochane góry domowe”, gdzie po dziś dzień szumi puszcza jodłowa, a w niewybielonej kapliczce znaleźć można napis, wryty w murze: „Stefan Żeromski, uczeń klasy drugiej”. Odczytuję ten napis ze wzruszeniem, potem odpoczywam u źródła, patrząc w niebo, w wodę i wprost przed siebie. Nie chcę mi się stąd ruszać — czy dlatego, że jestem zmęczona? Mówię do towarzysza:

— „Zostańmy tu, lub gdzieś dalej. Nie jedźmy dziś do Warszawy. Nie jedźmy już nigdzie więcej. Przecież wszędzie można zostać. Może nas przenocują w klasztorze?”

Ale to dziecinada, bo wiem, że nie zostanie, choćbym chciała... I nie zdoła mi tu zatrzymać żadna puszcza jodłowa. W Kielcach czeka już pociąg, na Okęciu — samolot. Znajomość z Anną i Moniką Żeromską jest zarazem pozeg-

naniem. Niezapomniany wieczór u nich — to już jeden z ostatnich. Pijemy kawę. Monika opowiada fascynujące dzieje zakopanych i odnalezionych przez nią rękopisów. Patrząc na nią widzę w niej ojca. Tu naprawdę jestem twarzą w twarz z Żeromskim. Ale już się śpieszę, już myślami wybiegam w przyszłość.

Polska pozostaje poza mną smugą niknącej Warszawy, zaspami śniegu na polach. Przymykam oczy i myślę o tym, co tutaj pozostawiam i co wywożę: trochę notatek, parę mikrofilmów, garść starych fotografii i czarny różaniec z klasztoru Świętej Katarzyny, zrobiony z płatków róż. To tak dużo, a tak nie wiele — czy mi to wystarczy na przyszłość?

„My minowali wsie warota...”. Gdzie jest koniec tej drogi?

Danuta Irena BIENKOWSKA

## ZWIĄZKOWIEC

Jedynе pismo polskie w Kanadzie ukazujące się dwa razy na tydzień Służy Polonii Kanadyjskiej od roku 1933 przynosząc regularne korespondencje i informacje ze wszystkich ośrodków polonijnych w Kanadzie i innych krajach świata.

### Związkowiec

informuje obszernie o życiu w Polsce tak przez własnych wysłanników jak i poprzez korespondencje z kraju

### Związkowiec

zamieszcza informacje i artykuły o sytuacji międzynarodowej

### Związkowiec

drukuje w odcinkach dwie powieści współczesnych autorów polskich, oraz posiada działy: Kobiety i Dla Dzieci

### Związkowiec

dociera do wszystkich ośrodków polonijnych jest więc doskonałym instrumentem reklamy handlowej.

### Związkowiec

jest jedynym pismem polonijnym, które od roku 1957 do chwili obecnej miało w Polsce czterech specjalnych korespondentów.

Abonament roczny wynosi w Kanadzie — dol. 6,00, w Stanach Zjednoczonych i w innych krajach — dol. 7,00.

Wpłaty należy kierować do administracji ZWIĄZKOWCA:

1475 Queen Street West, TORONTO 3, Ont., Canada

Administracja wysyła na żądanie egzemplarze okazowe.

## Najnowsza historia Polski

### Zagłada getta warszawskiego (2)

5. PISMO C.K.R. P.P.S.

Wyjątek z pisma Centralnego Komitetu Robotniczego P.P.S. z daty 20 czerwca 1943 r., przesyłka Nr 5/43, list Nr K 66, adresowanego do Komitetu Zagranicznego P.P.S. na ręce tow. Kacpra (Kwapińskiego) i Kremerowskiego (Ciołkosza).

*Kwestia żydowska.* Stoimy już wobec ponurego bilansu antyżydowskiej akcji niemieckiej. Według naszego szacunku ilość Żydów pozostałych przy życiu w ghettach i zużywanych do robót różnego rodzaju nie przekracza chyba kilkuset tysięcy. Poza ghettem ukrywają się przeważnie Polacy pochodzenia żydowskiego, całkowicie zasymilowani, bowiem jest to najważniejszym warunkiem zmieszania się z ludnością i ukrycia. Niemcy rozstrzelują złapanę jednostki rozstrzelując jednocześnie i Polaków udzielających im schronienia. Tych ludzi może być kilkanaście tysięcy. Po bohaterskiej obronie w ghetcie warszawskim w masach wziętych do niewoli szacunek dla ludności żydowskiej. Ani dla Żydów ani dla nas niezrozumiała jest obojętność wobec faktu wymordowania na oczach świata co najmniej 3 milionów Żydów. W każdym razie stanowisko polskie obstarujące przy całkowitym równouprawnieniu dało nam w tych sprawach silną postawę moralną. Niemcy usiłują wszelkimi sposobami wciągnąć chociażby część ludności polskiej do akcji antyżydowskiej, co byłoby kiedyś wspaniałym argumentem propagandowym; dalsze więc podkreślanie przez Rząd pomocy prześladowanym Żydom jest rzeczą konieczną.

Materiały zamieszczone w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.



## 6. SPRAWOZDANIE ŻYDOWSKIEGO KOMITETU NARODOWEGO

Dr Schwarzbart, Londyn.

Drogi Panie Doktorze,

Piszemy do Was krwią, którą broczą znowu dziesiątki tysięcy męczenników żydowskich. Przeżywamy obecnie w Polsce epilog naszej straszliwej tragedii. Barbarzyńscy hitlerowcy w obliczu swej klęski mordują nieliczne resztki ludności żydowskiej.

Rozpoczęli od Lubelszczyzny, do której front zbliża się szybkimi krokami. Na tym terenie skoncentrowali Niemcy szereg obozów, w których vegetowało około 40 tysięcy Żydów, głównie z Warszawy i z okręgu lubelskiego. Największe wśród nich — to obozy w Trawnikach (10 tysięcy) i w Poniatowie (15 tysięcy). Z obu obozami byliśmy w ciągłym kontakcie, pomagaliśmy wszystkim siłami, zaopatrywaliśmy w fundusze i broń.

We środę, 3-go listopada o 6-tej rano kazano w Trawnikach wszystkim mężczyznom udać się rzekomo na kopanie rowów przeciwlotniczych. Po 2-ch godzinach otoczono ich, ustawiono dokoła karabiny maszynowe i wszystkich bez wyjątku rozstrzelano. W międzyczasie nadjechało do obozu 50 aut, na które naładowano wszystkie kobiety i dzieci, zawieziono je na miejsce straceń, kazano rozebrać się do naga i w ten sam sposób zgładzono. Po tej masakrze zwieziono do obozu 3 tysiące Żydów włoskich, których czeka tam podobny los.

Taka sama rzeź odbyła się w piątek w obozach w Lublinie. Zamordowano tam kilka tysięcy Żydów. Niemal jednocześnie odbyła się krwawa „selekcja” w obozie w Poniatowie. Przeważająca ilość obozowiczów, wszystkie niemal kobiety i dzieci wysłano na śmierć.

W pierwszych dniach listopada przystąpili Niemcy do likwidacji obozów żydowskich w drugim terenie, zbliżonym do frontu — w Małopolsce wschodniej. Z jedyne go obozu we Lwowie przy ulicy Janowskiej, w którym znajdowało się około 7 tysięcy ludzi, „wyselekcjonowano” 2 tysiące i w bestialski sposób wymordowano na polu straceń, na Piaskach.

Nie ulega dla nas wątpliwości, że w ciągu najbliższych dni i tygodni zostaną wymordowane wszystkie pozostałe jeszcze skupiska żydowskie, wszystkie obozy i nieliczne ghetta.

Robimy obecnie rozpaczliwe wysiłki, aby najcenniejsze jednostki z naszego aktywu społecznego i kulturalnego w ostatniej chwili uratować z obozów. Są to jednak przedsięwzięcia niezmiernie trudne i kosztowne. Jesteśmy przekonani, że w najbliższym czasie pozostanie przy życiu z 3 i pół milionowego społeczeństwa żydowskiego w Polsce drobna garstka kilkudziesięciu tysięcy ludzi, kryjących się poza obozami i ghattami w dzielnicach aryjskich lub w lasach, prowadzących dosłownie życie jaskiniowe.

Jeszcze w ubiegłym miesiącu obliczaliśmy liczbę Żydów na

terenie całego kraju na 250 — 300 tysięcy. Za kilka tygodni zostanie nas nie więcej niż 50 tysięcy.

W ostatniej chwili przed śmiercią resztki żydostwa polskiego wołały na cały świat o ratunek.

Wiemy, że jesteście całym sercem — całą duszą z nami, że przeżywacie głęboko naszą niespotykaną w dziejach martyrologię. Wiemy również, że jesteście bezsilni. Niechaj jednak te czynniki, które mogłyby były nam pomóc wiedzą, co o nich myślimy.

Krew 3-ch milionów Żydów polskich mścić się będzie nie tylko na bestiach hitlerowskich, ale i na tych obojętnych, opornych czynnikach, które poza słowami nic nie zdziałały, aby uratować naród, skazany przez morderców hitlerowskich na zagładę. Tego nikt z nas, ostatnich Mohikanów wymarłego społeczeństwa, nie zapomni i nie wybaczy.

Niechaj ten nasz ostatni chyba głos z otchłani dojdzie do uszu całego świata.

Chcemy, żeby naród żydowski i świat cały wiedział, że nasza młodzież mężnie broniła życia i godności swego narodu. Po heroicznej epopei ghetta warszawskiego przeżyliśmy w ciągu ostatnich miesięcy piękną, wspaniałą walkę Żydów białostockich. Odbyła się ona z końcem sierpnia. 17 sierpnia rozpoczęła się w Białymstoku likwidacja jedyne go na terenach wschodnich większego ghetta, w którym przebywało ok. 40 tysięcy Żydów. W ciągu pierwszych trzech dni akcji wywieziono 7 transportów do obozu śmierci w Treblince. Poza tym wyjechał z Białegostoku pociąg osobowy, zapełniony dziećmi: w każdym wagonie znajdowały się dwie pielęgniarki żydowskie. Panują powszechne przekonanie, że dzieciom tym ma być przed śmiercią wytoczona krew dla rannych żołnierzy niemieckich. Na 4-ty dzień akcji rozpoczęła się walka zbrojna. Ciężkie walki toczyły się w szeregu ulic. Niemcy wprowadzili w akcję, podobnie jak w Warszawie, broń pancerną i artylerię polową.

Sprowadzili około 1000 żandarmów i SS-manów i liczne oddziały Ukraińców. Żydzi posługiwali się głównie granatami i pociskami zapalającymi, oraz mieli w użyciu parę karabinów maszynowych. Walczyli z niezwykłą determinacją, wprawiającą w podziw całą ludność miasta i okręgu. W walce zginęło lub uległo zranieniu kilkuset Niemców i Ukraińców.

Dla złamania oporu bojowego, Niemcy podobnie jak w Warszawie podpalili ghetto ze wszystkich stron. Zacięte walki trwały 8 dni, akty zbrojnego oporu ze strony Żydów nie ustąpiły i potem, trwały blisko miesiąc, do połowy września. Bohaterskie walki w Białymstoku przejdą do historii, podobnie jak obrona ghetta warszawskiego.

W ciągu ostatnich miesięcy dokonali Żydzi dwóch aktów zbrojnych, o wielkim znaczeniu symbolicznym. Zniszczone zostały przez Żydów dwa miejsca kaźni — obozy śmierci w Treblince (koło Małkini) i w Sobiborze (w okolicy Chełma lub.). W obu obozach znajdujące się tam resztki skazańców żydowskich zorganizowały się w piątki bojowe i w oznaczonym terminie rozpoczęły

walkę: w heroicznym zrywie rzuciły się na załogę niemiecką i ukraińską, rozbroiły ją, wycięły w pień większość załogi, spaliły komory gazowe i „żywe krematoria” i po wykonaniu zadania uciekły w okoliczne lasy.

Wiadomości o tych wspaniałych wyczynach rozeszły się szerokim echem po całym kraju.

Czynny opór ujawnili Żydzi nie tylko w Warszawie, w Białymstoku, w Treblince i Sobiborze, akty zbrojnego oporu miały miejsce w szeregu innych miast: w Częstochowie, w Będzinie, w Wilnie, w Tarnowie i w innych mniejszych ośrodkach.

W Tarnowie ostateczna likwidacja ghetta odbyła się 1, 2 i 3 września rb. Żydów ładowano po 150 ludzi do wagonów towarowych, wysypanych karbidem i niegaszonym wapnem.

Wszystkie dzieci z terenu ghetta spędzono do jednego budynku. Dzieciom powiedziano, że idą do ochronki. Budynek hermeticznie zamknięto i wysadzono w powietrze. W toku likwidacji Żydzi zaczęli się bronić. Niemcy użyli granatów i złamali opór walczących.

W walkach na terenie wszystkich wymienionych miast brali udział w bratnich szeregach bojownicy ze wszystkich niemal kierunków ideowych, młodzież chalućowa i szomrowa, poalesjoniści, bundowcy. Złączyła ich walka na śmierć nie na życie, o honor i godność narodu żydowskiego. Walkę tę staraliśmy się przez naszą Żydowską Organizację Bojową wszelkimi siłami zorganizować, wesprzeć i wzmocnić.

Poza akcją bojową koncentrujemy nasze wysiłki na akcji pomocy dla Żydów znajdujący się jeszcze w obozach i ukrywających się w dzielnicach aryjskich. Staramy się wszelkimi siłami uratować cenne jednostki z obozów i pewną liczbę działaczy i naukowców uratowaliśmy.

Utrzymujemy kontakt z obozami przez naszych emisariuszy, przez nich posyłamy do obozów pomoc finansową, dokumenty itp. Żydom, kryjącym się w dzielnicach aryjskich, udzielamy poważnej pomocy finansowej, załatwiamy dokumenty, staramy się dla nich o mieszkania (najtrudniejszy problem) itd. Stosunkowo znaczną liczbę ludzi, należących do aktywnego społeczno-kulturalnego, utrzymujemy w całości.

Zarówno akcję obrony, jak i pracę opiekuńczą, prowadzimy w niesamowitych warunkach podwójnej konspiracji na tle szalejącego terronu niemieckiego, również wobec Polaków, gdy codziennie na ulicach Warszawy sypią krwią rozstrzelanych masowo „zagładników” — Polaków.

Jest nas drobna garstka działaczy, pozostałych przy życiu, którzy postawili sobie za zadanie, mimo piętrzących się nieustannie niebezpieczeństw i trudności — służbę społeczną dla resztek umęczonej ludności żydowskiej. Zadanie to zdecydowani jesteśmy spełnić, wbrew wszelkim trudnościom i przeszkodom — do ostatka.

Od roku niemal, prowadzimy naszą działalność, jako Żydowski Komitet Narodowy, w skład którego wchodzi następujące partie i organizacje: Syjoniści ogólni, Poale Syjon — prawica, Poale

Syjon — lewica, Hechal, Haszomer — Hacair, Dror, Akiba i Gordonia. Na czele Ż.K.N. stoi 3-osobowe Prezydium, kierujące całą działalnością. W skład Prezydium wchodzi: dr A. Berman (Borowski), Icchak Cukierman i D. Kaftor. Poza tym wchodzi do Ż.K.N.'u przedstawiciele wszystkich wymienionych organizacji. Do najbliższych współpracowników należą m.in.: dr Emmanuel Ringelblum, Cywia Lubetkin, adw. Gotesman z Krakowa, Józef Sack, Lejzor Lewin, Szloma Grajek, Szymon Rathouser, Pola Elster, Hersz Berliński, Basia Temkin-Bermanowa. Niestety znaczna część wymienionych nie może (z powodu niearyjskiego wyglądu) wychodzić z domu i ogrom pracy, nader rozgałęzionej, trudnej i skomplikowanej spoczywa na nielicznych jednostkach. W Ż.K.N. panuje atmosfera harmonijnej braterskiej współpracy. Ż.K.N. stoi w kontakcie z „Bundem”, z którym koordynuje swą działalność. Ż.K.N. i Bund tworzą wspólnie Żydowską Komisję Koordynacyjną (Ż.K.K.). Podobnie jak Ż.K.N., nie stanowi Ż.K.K. ciała politycznego, ani reprezentacji politycznej. Ż.K.K. ma za zadanie koordynację akcji obrony i pomocy; w zakresie tych dwóch jedynie aktualnych obecnie zadań stanowi naczelną instancję pozostałej przy życiu ludności żydowskiej.

Gros praktycznej pracy Ż.K.K. spoczywa na nas. Ż.K.N. współpracuje czynnie w Radzie Pomocy Żydom przy Delegaturze Rządu, przedstawiciel Ż.K.N. jest sekretarzem R.P.Ż. Poza tym stoi Ż.K.N. w stałym kontakcie z Referatem mniejszości narodowych w Delegaturze Rządu i z Referatem dla Spraw Żydowskich przy Komendzie Sił Zbrojnych w Kraju. Z przedstawicielami Walczącej Polski Podziemnej łączy Ż.K.N. bliskie i serdeczne stosunki.

Poza akcją obrony i pomocy, zajmuje się Ż.K.N. zbieraniem kronik, materiałów i dokumentów, które dadzą w przyszłości obraz naszej niespotykanej w dziejach martyrologii. Pracą tą kieruje z naszego ramienia, historyk dr Ringelblum, poza tym Hersz Wasser, literatka Rachela Auerbach i inni.

W całej naszej działalności napotykalismy do niedawna na ogromne trudności finansowe. Do czerwca rb. nie dysponowaliśmy żadnymi funduszami, żadnej szerszej pracy nie byliśmy w stanie prowadzić.

Przez cały rok wpłynęły do organizacji zrzeszonych w Ż.K.N. 2 stosunkowo drobne kwoty, za pośrednictwem „Bundu” — raz 4 tysiące dolarów dla prawicy Poalej Syjonu, zaś drugi raz 1 i pół tys. dolarów dla obu partii Poalej Syjon (1 tys. dla lewicy i pół tys. dla prawicy).

Dopiero w czerwcu rb. otrzymaliśmy pierwszą większą sumę: 10 tys. dolarów dla syjonistów ogólnych i prawicy Poalej Syjon. Następnie otrzymaliśmy w lipcu, sierpniu i wrześniu kolejno trzy raty po 10 tys. dolarów na poczet przesłanej przez was sumy 10 tys. funtów. Dzięki tym funduszom mogliśmy znacznie rozwinąć naszą pracę na wszystkich odcinkach, ale w stosunku do potrzeb i ogromnych sum niezbędnych dla umasowienia akcji obrony, pomocy i ratunku, sumy te były kroplą w morzu. Dopiero

ostatnio, w listopadzie rb. zaczęliśmy otrzymywać większe kwoty na poczet sum które już od Was wpłynęły. Ogółem mamy w najbliższym czasie otrzymać: ostatnią ratę 10 tys. dolarów (z sumy 10 tys. funtów) oraz 20 tys. dolarów (5 tys. funtów) i 36 tys. dolarów (9 tys. funt.), które od Was dopiero ostatnio wpłynęły do D. Rz., ogółem 66 tys. dolarów.

Poza tym zaawizowano nam przybycie od Was nowych 15 tys. funtów. Wyrażamy Wam w imieniu wszystkich naszych organizacji gorące podziękowanie za te fundusze, umożliwią nam one znaczne rozszerzenie zasięgu akcji pomocy i ratunku.

Niestety dla wielu naszych braci przyszła ta poważna pomoc za późno. Mamy jednak nadzieję, że dzięki tym funduszom uda nam się jeszcze uratować przed zagładą wiele cennych jednostek, a tysiącom Żydów przyjąć z wydatną pomocą w ich ciężkim niebezpiecznym życiu. Dalszy poważny sukurs finansowy z Waszej strony jest niezbędny.

Pamiętajcie, że w obecnych warunkach uratowanie jednego człowieka z obozu związane jest z sumą 50 tys. złotych, że urządzenie jednej osoby w dzielnicy aryjskiej kosztuje 5-10 tys. zł.

Wasze telegramy i listy dają nam wszystkim w naszym ciężkim życiu nieliczne chwile radości. Nie czujemy się osamotnieni. Pisma Wasze wysłane dnia 21-go lipca (pisma dr. Schwarzbarta do Warszawy i Krakowa, list Berla, pismo Komitetu dla Ratowania Żydów w Europie Okupowanej) otrzymaliśmy i z zadowoleniem przyjęliśmy ich treść do wiadomości. Listu od Tabenkina i Jaariego nie otrzymaliśmy.

Również Wasze depesze z 27 września i 4 października rb. otrzymaliśmy. Dajcie nam znać, jakie konkretne cele i szanse ma Wasza akcja w Sztokholmie w sprawie dzieci. Czy chodzi tu o wymianę? Dzieci żydowskich pozostała przy życiu niewielka garstka, ratujcie je w ostatniej chwili przed niechybną śmiercią.

W bieżącym tygodniu doszły nas alarmujące wiadomości z obozu dla obcokrajowców w Bergen pod Hanowerem. Znajdowało się w nim około 4 tys. Żydów z Polski, wśród nich bardzo społecznie cenne jednostki jak powieściopisarz J. Perle, działacz społeczny Antoni Buxbaum i wielu innych.

Obóz miał się rzekomo znajdować pod opieką Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Podobno został ostatnio zlikwidowany, podobnie jak obozy na Lubelszczyźnie. Spowodujcie natychmiastową interwencję Czerwonego Krzyża i Poselstwa Szwajcarskiego w Berlinie.

W obozie tym znajdują się obywatele państw południowo-amerykańskich. Również z obozu w Vittelé (w Alzacji) nadchodzą do nas niepokojące wieści. Czuwajcie nad obu obozami dajcie nam znać co tam się stało.

Do listu niniejszego załączamy szereg pism do poszczególnych organizacji, odpowiedzi na Waszą ankietę, relacje o działalności Ż.O.B., listę poległych obrońców ghetta warszawskiego oraz krótkie sprawozdanie finansowe.

Prześlijcie nasze gorące podziękowania i pozdrowienia Agencji, Egzekutywie, Komitetowi Ratowania Żydów, poszczególnym bratnim organizacjom wszystkich kierunków. Chaim i Eliaz z Krakowa przesyłają Wam gorące pozdrowienia, znajdują się w obozie w Płaszowie pod Krakowem. Skłaniamy ich do ucieczki. Nie chcą, gdyż w obozach Niemcy stosują zbiorową odpowiedzialność, za 1 uciekiniera — rozstrzelują 50-ciu ludzi.

Na terenie Krakowa znajduje się jeszcze w obozach i na placówkach prawie 15 tys. Żydów. Los ich jest przesądzony.

Adw. Gotesman z Krakowa jest w Warszawie, współpracuje z nami, zasyla Wam i wszystkim syjonistom gorące pozdrowienia.

Kaftor pozdrawia Was wszystkich i kolegów z J.D.C. Dziwi się, dlaczego nie dają o sobie znaku życia.

Berla Lockera i wszystkich współpracujących z Wami działaczy serdecznie pozdrawiamy.

Żydowska Organizacja Bojowa w Polsce przesyła pozdrowienia bojowe żołnierzom żydowskim walczącym na wszystkich frontach świata z hitleryzmem i faszyzmem o wyzwolenie.

Żydowski Komitet Narodowy.

*Dr A. BERMAN (Borowski)*

*Icchak CUKIERMAN*

*D. KAFTOR*

#### KOMUNIKAT SPECJALNY Z OSTATNIEJ CHWILI

Emisariusze Ż.K.N., wysłani przez nas na Lubelszczyznę na skutek alarmujących wiadomości o obozach, przywieźli straszliwe relacje. Oba największe obozy w Trawnikach (10 tys.) i w Poniatowie (15 tys.) zostały doszczętnie wymordowane.

Relacja o Trawnikach zgadza się z opisem, zawartym w naszym liście do dr. Schwarzbarta. Rzeź trawnicka miała miejsce we środę 3 listopada. Zaczęła się o 6 rano, zaś o 4 po poł. nikt już z 10 tys. więźniów obozowych nie żył. W piątek 5 listopada odbyła się masakra w Lublinie. Żydów ze wszystkich obozów lubelskich spędzono do obozu katowni na Majdanku i tam rozstrzelano. W poniedziałek 5 listopada rozpoczęła się mordercza akcja w Poniatowie.

Wczesnym rankiem zjawiała się olbrzymia liczba aut z SS, SD i Zandarmerią, otoczyła niezmiernie gęstym kordonem obóz. W chwili gdy Żydzi zorientowali się że nadchodzi zagłada, miejscowy oddział Żyd. Organizacji Bojowej podpalił wszystkie składy i warsztaty z ogromną ilością odzieży dla wojska. Żydzi próbowali stawiać opór. Zaczęła się straszliwa masakra, która trwała przez 3 dni. We środę 10 listopada już było po wszystkim — 15 tys. ludzi wymordowano. Trupy od razu palono na miejscu. Spalono przy

tym wielu ludzi jeszcze żywych. Krzyki i jęki ludzi, gęstą bezustanną strzelaninę słycać było w całej okolicy. Śwąd palonych ciał unosił się jeszcze cały dzień na wielkiej przestrzeni.

Zarówno w Trawnikach, jak w Poniatowie, próbowali Żydzi chwycić za broń. Niemcy, wiedząc o istnieniu na terenie obu obozów oddziałów Żydowskiej Organizacji Bojowej zastosowali nową taktykę, rzucili do akcji w obozach ogromną masę żandarmerii i SS, zalali nią po prostu cały teren, zarówno w Trawnikach jak w Poniatowie. Przeprowadzało masakrę kilka tysięcy Niemców. Opór był wręcz niemożliwy.

W Poniatowie zorganizowali Niemcy kocioł (spędzali Żydów na coraz węższą przestrzeń), masakrując bezustannie.

Charakterystyczne, że do akcji tych Niemcy tym razem nie dopuścili już Ukraińców. W Trawnikach, ukraiński obóz szkoleniowy był w czasie akcji otoczony przez SS, również w Poniatowie załoga ukraińska została wyeliminowana z akcji. Niemcy nie mieli zaufania, że ich wasale — Ukraińcy wykonają morderczą robotę z dostateczną precyzją.

Masakra obozów na Lubelszczyźnie — to koniec żydostwa warszawskiego. Znajdowały się w nich dziesiątki tysięcy Żydów z Warszawy, wywiezionych w czasie ostatniej akcji likwidacyjnej w kwietniu rb.

Wśród zamordowanych znajduje się znaczna część inteligencji warszawskiej, stosunkowo duża liczba działaczy politycznych wszystkich kierunków, szczególnie znaczna ilość zorganizowanych robotników i działaczy robotniczych. (Do obozów tych kierowano w pierwszym rzędzie wykwalifikowanych robotników i rzemieślników). Wymienimy tych, którzy w obu obozach pełnili bez przerwy ofiarną służbę społeczną, stali na czele miejscowej zakonspirowanej samopomocy społecznej i oddziałów Ż.O.B.

W Poniatowie: Melech Fajnkind, komendant miejscowego oddziału Ż.O.B. (działacz Poalej Syjon — lewicy), Etkin (Bund), Szmidt (Poalej Syjon — prawica), Hofman (Bund), Przedecz (b. radny m. Warszawy, Poalej Syjon — lewica), dr Dorbin (syjonista ogólny), Tencer (b. radny m. Kalisza, Poalej Syjon — lewica).

W Trawnikach: dr Włodzimierz Szyfrys, komendant miejscowego oddziału Ż.O.B. (bezpartyjny), adw. Dawid Szulman (rewizjonista), Malinowski (Bund, działacz związków zawodowych w Łodzi), adw. Abraham Witelson (syjonista).

W hermetycznie zamkniętych licznych obozach w Lublinie znajdowali się a obecnie stracili życie: m.in. dr Ignacy Schipper, Aleksander (Żysze) Frydman (czołowy przywódca Agudy, wybitny działacz społeczny), dr Tulo Nussenblatt (historyk ruchu syjonistycznego, biograf Teodora Hercla), doc. dr Edmund Stein (wybitny judaista), A. Samberg (artyista dramatyczny), Remba (działacz syjonistyczny), żona dyrektora „Jointu” I. Gitermana, zamordowanego w akcji styczniowej, I. Kirman (poeta), Luzer Stolar-Rychter (działacz Poalej Syjon — lewicy) i wielu innych działaczy społecznych, intelektualistów, artystów.

Likwidacja obozów na Lubelszczyźnie, to początek masakry wszystkich obozów żydowskich, znajdujących się jeszcze na terenie kraju, to początek ostatecznego końca Żydostwa polskiego.

15 listopada 1943.

*Żydowski Komitet Narodowy*  
Dr A. BERMAN (Borowski)  
Icchak CUKIERMAN  
D. KAFTOR

P.S.: — Odpowiedzi na ankietę oraz relacje o działalności Ż.O.B. i przebiegu walki zbrojnej ghetta warszawskiego prześlemy następną począ.

Załącznik 1.

*Tabenkin, Jaari, Dobkin — Histadruth Haowdim*

Pisząc te słowa nie wierzymy, że się jeszcze kiedykolwiek zobaczymy. W dniu dzisiejszym z 3 i pół milionów Żydów polskich pozostało zaledwie 200.000. Gdy otrzymasz ten list będzie przy życiu prawdopodobnie nie więcej niż połowa. W jednym ostatnim tygodniu zostały zlikwidowane obozy: w Trawnikach, Poniatowie i Lublinie. Około 40.000 Żydów stracono.

Naszych mąk nie zrozumiesz lub nie uwierzysz, że tak się dzieje — aby pojąć to będąc w Londynie lub w Tel-Awiwie trzeba mieć chorobliwą fantazję. Wszystkie ośrodki życia żydowskiego zostały starte z powierzchni ziemi. Ich mieszkańcy znaleźli śmierć w katowniach Treblinki, Sobiboru, Bełzca i Oświęcimia.

Aby pozostał ślad po tych, którzy z bronią w rękę walczyli przeciwko wrogowi, piszę Ci o ostatnich dniach Polskiego Hechalucu i jego organizacjach młodzieżowych Dror, Haszomer-Hacair, Akiba, Gordonia. Historia Hechalucu w tym okresie, to w dużej mierze historia Żydowskiej Organizacji Bojowej. W początkach akcji eksterminacyjnej istniały setki naszych komórek organizacyjnych w osiedlach żydowskich.

Pięć kibuców liczyła Warszawa (dwa po stronie aryjskiej: „Grochów” i Czerniaków), trzy — Częstochowa, dwa — Biały-stok. Istniały one w Wilnie, Żarkach, Ostrowcu, Hrubieszowie i Będzinie, poza tym prowadziliśmy większą ilość placówek rolnych — sezonowych.

Nasze kibuce stanowiły potem gniazda czynnego oporu we wszystkich miastach. Jeżeli zbrojny opór, w pierwszej chwili likwidacyjnej ghetta (lipiec — wrzesień 1942) był taki znikomy, to my ponosimy za to najmniejszą winę. Wpłynęły na to rozmaite czynniki, zewnętrzne i wewnętrzne.

Jeżeli druga akcja „wysiedleniowa” w styczniu 1943 r. a zwłaszcza ostateczna akcja likwidacyjna w Warszawie w kwietniu 1943 r. i następnie akcje w Białymstoku, w Wilnie i w Częstochowie weszły do legendy naszej wolnościowej, mają one jako podstawę beznadziejnie bohaterską walkę Ż.O.B., którą nasz ruch opłacił krwią wszystkich niemal naszych ludzi — kierowników i żołnierzy akcji bojowej.

Z Warszawy organizowaliśmy Ż.O.B. w pozostałych miastach. Nasi wysłannicy organizowali wszędzie młodzież do zbrojnej walki i sami w tych walkach polegli. Lista, którą Ci posyłamy, zawiera tylko nasz centralny aktyw, który padł w walce z okupantem. A. Gewelber dopomoże Ci w rozpoznaniu ludzi. Białystok: Mordchaj Tenenbaum (Tamaroff), Cwi Mersyk, Chanah Żelazna góra, Cwi Rozental, Rufczak z Suchowoli, Zoroch, Chajka. Będzin: Hersz Szpringer, Frumka Płotnicka, Cwi Bryndy. Wołyń: Edek Golowner, Fisz Łaja, Szwarc Szejndla, Rachel Fogelman, Eisenberg Dawid, Hersz Płotnicki. Wilno: Abe Kowner. Częstochowa: Rywka Glanc, Moniek Winnicki, Słomnicki Nuta, Glikman Jehuda. Kraków: Dolek Libeskind, Łaban Lejbowicz, Symek Drenger, Icchok Symplak.

W Oświęcimiu znajdują się: Bela z Rożyszcy (kibuc będziński), Chawka Folman, Lonka Koziobrodzka (nie żyje).

W Warszawie: Chancia Płotnicka, Gerszuni Gedalia, Josef Kaplan, Israel Zelcer, Lutek Rotblat, Mordchaj Anielewicz, Łaja Perlsztein, Berl Brojdo, Saul Dobuchno, Marek Folman Sara Granatsztein, Bresler Szmul, Rubeńczyk Mojsze, Tema Sznajderman, Gutkowski, Rengiewicz Moniek, Camereth Chedwa, Mirian Hajnsdorf, Mira Feuer, Jehuda Wengrower, Tasia Altman, Arie Wilner, Szelubowska Sara, Szymon Heller. Lista ta nie jest pełna. Zapamiętajcie ich.

Do dnia dzisiejszego aktywnie współpracujemy z Ż.K.N. i Ż.K.K. (Ż.K.N. i Bund) których inicjatorami i twórcami byliśmy w akcji obrony zbrojnej jakoteż w akcji pomocy.

W 1942 r. wyjechało do Słowacji 50 — 60 naszych ludzi. Zaskoczyła ich tam akcja eksterminacyjna. Część przedostała się na Węgry. Kto z nich dotarł do Palestyny? Usiłujemy znów wysłać pewną liczbę Żydów na Węgry. Dr Schwarzbart pisał nam o kontaktach z Budapesztem. Czy stamtąd należy oczekiwać konkretnej pomocy?

Czytając list nasz nie myślcie, że załamaliśmy się na duchu lub popadliśmy w rezygnację. Patrzymy tylko trzeźwo na bezwzględny los. Wiemy, że zrobilibyście wszystko, by nas uratować. Wiemy też, że jesteście bezsilni. Łatwiej nam jest umierać wiedząc, że będzie wolny świat, wierząc że Palestyna stanie się ojczyzną narodu żydowskiego.

Wasi: CYWIA, ICCHAK

P.S.: — Eliezer Celler wyjechał do obozu dla Żydów zagranicznych w Bergen pod Hanowerem. Nie mamy stamtąd

żadnej wiadomości. Zawiadomić że żyjemy Ahuwę Lubetkin w Ben Szemen i Sarę Cukierman w Ramath Hakowesz.

Warszawa, 15 listopada 1943.

Załącznik 2.

*Zerubawel, Erem, Mul — Tel-Aviv*

Droży Towarzysze,

Waszą depezę z dnia 23.9. otrzymaliśmy. Z funduszków ogólnych, przesyłanych dla Żydowskiego Komitetu Narodowego korzystamy. Dziękujemy za pomoc. Bierzymy czynny udział w walce i w akcji pomocy. Jesteśmy czynni w kierownictwie Żyd. Komitetu Narodowego i Komisji Koordynacyjnej Ż.K.N. i Bundu. W całej naszej pracy przyświecają nam ideały naszego ruchu z którym czujemy się na śmierć i życie związani. Dajcie nam znać jaka jest sytuacja w Palestynie, jak się rozwija nasz ruch w różnych krajach.

Zostało nas niewielu, Większość zginęła. Antoniego uratowaliśmy ze Lwowa. Wyjechał z rodziną do obozu dla obcokrajowców w Bergen pod Hanowerem. Ostatnio nadchodzą z tego obozu alarmujące wiadomości. Zbadajcie je. Czuwajcie nad Antonim. Emanuela uratowaliśmy z obozu w Trawniskach, w którym na początku listopada nastąpiła straszliwa masakra. Jest z nami, pracuje jako historyk. Uratowaliśmy również Polę, Berlińskiego, Wassera, Erlicha, Sylkes i innych. Są z nami. Basia pracuje czynnie. Melach, Luzer, Lent, Blumstein, Tencer, Przedecz, Szapiro i inni są w obozach. Robimy co możemy, aby ich uratować. Ale nadzieja mała. Niemcy niszczą resztę Żydów w obozach, które hermetycznie zamknęli.

Wierzmy w rychłe powszechne wyzwolenie, ale mało kto z nas dożyje tej chwili. Przekażcie awangardzie mas pracujących w Palestynie i na całym świecie, że i teraz, w obliczu śmierci i zagłady, bierzemy całym sercem udział w jej walce o narodowe i społeczne wyzwolenie.

*Adolf*

Warszawa, 15 listopada 1943.

Załącznik 3.

*Locker, Reiss, Neustadt, London — Tel-Aviv*

Droży,

Telegramy Lockera, Schwarzbarta oraz Komitetu Jiszuwu otrzymaliśmy. Bardzo nas pokrzepiła wiadomość o rozwoju odbudowy Palestyny, o walce jednostek wojskowych żydowskich na wszystkich frontach, o nadziei na bliskie odzyskanie

pełnej niezależności. Oby się w niedalekiej przyszłości ziściły nasze marzenia, mimo że odrodzenie przyszłoby spóźnione, po krwawej stracie blisko jednej trzeciej naszego narodu.

Zostało nam niewielu. Zginęli niemal wszyscy nasi działacze i aktywiści, wśród nich: Jochanan Morgensztern, Raduński, Fiszson, Lichtszejn, ad. Katz, Sytner, Rachela Steinowa z mężem, inż. Feigenbaum, dr Schenke, Przepiórka, Gutkowski, Parzenczewski, Opoczyński, Hechtkopf, Majerowicz, Marek Folman, Laufer.

Z tych co pozostali jeszcze przy życiu znajduje się część w zamkniętych obozach i los ich jest przesądzony (Serejski, Szmidt i inni). Żyje i jest z nami w kontakcie Maksymilian Boruchowicz z Krakowa. Żyje córka doktora Pekera, pomagamy jej.

Pozostałe nasze niedobitki żyją w koszmarnych warunkach, pod ciągłą grozą śmierci.

Każdy dzień przeżyty uważamy za czysty przypadek. Śmierć za bardzo nam jednak spowszedniała, aby się jej lękać. W warunkach naszego życia w ciągu ostatniego roku, wobec których piekło dantejskie wydaje się sielanką, ukształtowała się w nas nowa mentalność, nowa postawa psychiczna. Jeżeli jest w nas zasługa, to ta, że wbrew i na przekór wszystkiemu, ostała się nam siła moralno-ideowa, która kierowała naszymi czynami. Zasługa zresztą nie nasza, lecz tych wartości, które weszły nam w krew.

Te właśnie wartości sprawiły, że od nas, od obozu pracującej Palestyny wyszła inicjatywa oporu i walki.

Przesyłamy pozdrowienia „chazak weemac” naszym braciom, walczącym i pracującym dla wspólnego lepszego jutra w odrodzonej Palestynie.

W otchłani naszej krzepi nas myśl i wiara, że Wy tam w znoju niezmordowanym budujecie naszą wolną socjalistyczną Palestynę.

Józef SACK, Lejzor LEWIN,  
Szalom GRAJEK, Cywia, ICCHAK

Warszawa, 15 listopada 1943.

P.S.: — Pozdrawiamy Ariego i towarzyszy oraz wszystkich przyjaciół. Grajek pozdrawia serdecznie Bertę, Rutkę, Rafka, Chaima, Ludka i Hanusię.

Załącznik 4.

Lista poległych obrońców ghetta warszawskiego — podana była w nrze 3/173 „Kultury” na str. 92-93.

(D. c. nastąpi)

## Kronika kulturalna

### Na śmierć Broniewskiego

*Chciał rządzić się tu po swojemu,  
Stawiał się sztorcem do świata:  
Historia — myślał — to demon.  
Ale jemu nie do demonów,  
To był cygan,  
Brat-łata.*

*Historia — marzył — i przyszłość  
I wolność i sprawiedliwość:  
Ale miał krew sobiepana,  
Do głowy mu biła, kipiła,  
A w krwi kropelkę trucizny,  
Tkliwość.*

*Kłócił się, procesował,  
Cały kram był gotów pozmieniać,  
Wciąż krzyczał: „Polska — ale jaka”.  
Szłagoński pieniacz,  
Romantyk, heros  
Czy zabijaka?*

*Mniejsza z tym.  
Od siwej czapki leguna  
Wędrował po ojczystych aresztach  
Aż do wybranej sowieckiej wolności,  
Gdy sznurem wiodła więźniów po stepach  
I kotem polarnym przeszła  
Po kościach.*

Zapit się.  
 Ale kto się nie zapit  
 Pod orenburski wiatr?  
 Pod ewangelię demonów?  
 Pod ciężką głowę  
 Którą tam kładł?

Długo wielbili go potem,  
 Zasypywali kwiatami i prezentami,  
 Zaszczytną zmorą.  
 Ale on — nie!  
 Jak pijany płotu  
 Trzymał się swego rebelianckiego honoru.

Zbliżała się ciemna, ostatnia noc,  
 Kwiaty odesłał na grób towarzysza  
 Który wyłamał,  
 Prezenty kazał dać koledze w więzieniu:  
 Jeszcze raz się zbuntował  
 W skotłowanym sumieniu.  
 Nie kłamał.

Ciemna, ostatnia noc,  
 Której nikt nie odegna:  
 Umarł mi ex-przyjaciel,  
 Zadziorny, niemądry, wrogi.  
 A jednak?

Przeszedł tu wszystko,  
 Ex-szatawiła i zawadiaka.  
 Dotarł do sedna.  
 Polska bez niego potoczy się dalej,  
 On wciąż będzie krzyczał:  
 Ale jaka?

I to nas pojedna.

Kazimierz WIERZYŃSKI

## O Broniewskim

O Władysławie Broniewskim chcę napisać kilka choćby słów z poważnego, wydaje mi się, powodu. Milczenie też na swoją wymowę i mogłoby być interpretowane jako niechęć do złożenia pośmiertnego hołdu. Kilka pokoleń literackich krzywiło się na Broniewskiego, stale był dla nich za mało awangardowy czy za mało intelektualny, stąd zawsze możliwe jest podejrzenie, że takie małostkowe spory zdolne są przetrwać i teraz, kiedy trzeba ująć jego poezję jako całość zamkniętą.

Legenda Broniewskiego będzie miała dość materiału. Wyliczmy elementy: poeta, żołnierz i bojownik, Virtuti Militari i trzy krzyże walecznych, pieśniarz rewolucyjny, linia od Cypriana Godebskiego poprzez romantyków i Żeromskiego, cały rozdział w dziejach radykalnej inteligencji polskiej, Cezary Baryka z *Przedwiosnia*, który idąc na czele pochodu bezrobotnych wyszedł poza karty powieści. Legenda będzie zmieniała Broniewskiego w monolit i potrwa to czas dłuższy, zanim historia okresu, w którym żył nie zacznie być dyskutowana publicznie jako coś nieskończenie paradoksalnego i dziwnego. Wtedy nikt nie będzie się wstydzić pokazać pęknięć i sprzecznych składników w monolicie, a nawet skłonią one do szacunku: że tak trudno było nie rozpaść się w kawałki. Bo zważmy. Młody Broniewski walczył o niepodległość swego kraju, jego karabin spełniał marzenia poetów romantycznych. Jego najmilsi, jak ich nazywa w swoim wierszu, jego towarzysze broni, nawąchali się dosyć prochu i leżą w ziemi nad Stochodem, nad Narwią, nad Bugiem, ale ich krew nie została przelana darmo (nie wstydzmy się patosu mówiąc o Broniewskim) — istnieje niezależne państwo. Wtedy Broniewski, w imię sprawiedliwości, której w państwie nie znajduje, zostaje komunistą czyli zwraca się przeciwko temu państwu. A jednak, jakkolwiek patrzmy na Polskę lat 1918-1939, jakiegokolwiek szanse, złe czy dobre, dawała swoim obywatelom, wypada uznać, że uchroniła miliony swoich mieszkańców od tego losu, jaki wtedy stał się udziałem milionów Rosjan, Białorusinów, Ukraińców. Uchroniła też Broniewskiego od losu jego kolegów, pisarzy-komunistów, którzy wyemigrowali na wschód i tam zostali zlikwidowani. Broniewskiego w Polsce szanowano, wielki poeta. Następnie, po pakcie Mołotow-Ribbentrop i klęsce, Broniewski chroni się na teren jednego z państw-kontrahentów, gdzie w danym

momencie obowiązuje urzędowy slogan: „Nikakoj Polscej nie kogda nie budiet”. Tam jest wkrótce, jak tyłu innych, aresztowany i przebywa w więzieniach aż do ugody pomiędzy Moskwą i rządem emigracyjnym w Londynie, po czym wstępuje do armii tegoż rządu emigracyjnego i z nią razem wyjeżdża z granic Związku na Bliski Wschód. Z dwóch skrzydeł jego poezji, żołnierskiej i rewolucyjnej, jedno zostaje obcięte i Broniewski jest wtedy tylko poetą żołnierskim. Po wojnie wraca do kraju gdzie rządy sprawują komuniści, ale pieśniarstwo jego jest już jakby nieżywe. I jak wyjaśnić jego ody do Stalina, skoro pisał podczas wojny też wiersze antysowieckie? Jakiegokolwiek posądzanie Broniewskiego o strach byłoby bezpodstawne. Jego legenda czerpie siłę z ludowego respektu dla prawości, słusznie. A jednak ody do Stalina, pisanej wtedy, kiedy we wszystkich prawie polskich rodzinach, również rodzinach komunistów, nie mówiono o nim inaczej jak „kat”, nie da się zbyć lekko, dla pisarza jest to akt bardzo znaczący. Ody na cześć książąt i monarchów nie były znaczące, uchodziły za popisy pióra, choć nawet u Trembeckiego, wieszającego się pańskich klamek, nie brzmiały mile. Jak pisze się taką ode-pieśń (recytowaną na niezliczonych wiecach i akademiach z rozłożeniem na głosy) wiedząc aż tyle, ile wiedział Broniewski? W Moskwie co innego, tam drżeli i pełzali, ale nie w Warszawie. Głosem ludu autor ody nie był, najwyżej partyjnych szczytów. Więc wiara, nagły ponowny przypływ wiary, że „lokomotywę historii” genialny maszynista prowadzi jak trzeba? Czy też temu szlachetnemu człowiekowi nie obca była pycha: nikt tego nie umie, poczekajcie, ja wam pokażę jak to się robi?

Nie, nie mam zamiaru rozpatrywać Broniewskiego jako ideologa. Polityka zaprawiła wiele jego wierszy, ale polityka szczególnie, mało ideologiczna, porywu, buntu nie pytającego o cele, Poezja najbardziej pokrewna pieśniom rewolucyjnym z końca XIX, początku XX wieku. Przy tym liryzm, krajobrazy rodzinnego Mazowsza i Wisły nad którą się urodził, rzeki, wyznaje, dla mnie, wychowanego nad miłymi litewskimi rzekami, wyjątkowo smutnej, rozpaczliwej. Zmienne napięcia liryzmu, przesuwanie się to ku sprawom publicznym, to ku tragediom osobistym, pewna nawet bierność w przyjmowaniu dyktatów natchnienia (słowo natchnienie jest tu całkiem na miejscu) stanowią o tej właściwości wierszy Broniewskiego, którą można nazwać bezpośrednio danym autobiografizmem. Bardziej niż samym wierszem wzrusza słuchacza (każdy jego czytelnik jest bardziej słuchaczem niż czytelnikiem) głosem, postacią i dziejami poety, wiersz jest co najmniej do nich aluzją. W poezji naszego stu-

lucia jest to rzadkie, nie pisze się na ogół utworów takich jak Mickiewicza *Na Alpach w Splügen*. Przez tę ciągłą obecność biografii autora, Broniewski jest na tle literatury polskiej romantykiem, jedność poezji i życia nie występowała w tym stopniu u poetów jemu współczesnych. Tłumaczony obficie na rosyjski, może tam uchodzić od biedy za swojego, bo w Rosji liryczno-autobiograficzny charakter wiersza nadal należy do tradycji.

Co zastanawia u Broniewskiego, to zupełna niemal obojętność na literackie mody. Żył sam na sam ze swoją Muzą, a tą muzą była Nike z odrąbanymi rękami. Czy też, inaczej wyrażając to samo, jakby nie bardzo cenił literaturę, poezja dla niego stała ponad literaturą, tylko ona, jak okrzyk, gest, uścisk ręki zapewniała chwile porozumienia z ludźmi. I nie najmniejszym jest paradoksem, że Broniewski dożył czasów kiedy cała młoda polska poezja stała się tak literacka jak nigdy dotychczas. Co prawda już Leśmian w swoim *Traktacie o poezji* ostrzegał w 1937 r. przed wierszami „poczętymi w druku i urodzonymi w druku”, ale tendencja ta wzbierać miała stopniowo. Kiedy się pomyśli o starym Broniewskim w otoczeniu dwudziestolatków uprawiających najdziksze perwersje na jakie pozwala czcionka i farba drukarska, trochę to niesamowite. Kim był dla nich? Fotografiami ze szkolnej czytanki? I jeszcze jeden kontrast: u niego nigdy nie znalazłoby się śladu szyderstwa, do paryskiej drwiny był organicznie niezdolny, nie leżała w jego naturze, więc co czuł obserwując nową generację gotową (z nadmiaru nieszczęść?) przeszłość, teraźniejszość i przyszłość przechichotać? Nie przeciwstawiam tutaj dobrego starego wina złemu młodemu winu, chodzi o sprawiedliwość, o przeciwwagę dąsaniu się awangard na poezję taką jak Broniewskiego. Można w pełni doceniać cienkość, wytworność i intelektualną złożoność nowych poetyckich laboratoriów, nawet przebywać często w ich obrębie, a zarazem żałować, że jeżeli jest pieśń to już tylko kabaretowa. Pieśniarze i bardowie są potrzebni. Żadna rafinada, choćby zaprawiona wielopiętrową ironią, nie zastąpi rzeczy najtrudniejszej, prostoty.

De mortuis nisi bene? Bynajmniej, dodam, że Broniewski skalę możliwości miał niezbyt rozległą, był przy tym jednak dość mądry żeby poza własną skalę nie sięgać. Trzeba go przyjąć takim jakim jest, a pozostanie trwałą pozycją w historii polskiej literatury. Za jego życia tłumaczyłem jak umiałem moim studentom wartość i sens tej poezji, wolno mi więc zdobyć się na kilka zdań nekrologu.

Czesław MIŁOSZ



## Jan Ekiert - nagroda "Kultury"

Plastyczna nagroda „Kultury” za r. 1961 przypada Janowi Ekiertowi. Ten paryski Polak jest jednym z paru malarzy na emigracji, którego znamy i cenimy za mało. Pracuje w cieniu, rzadko wystawia i chyba nie wie nawet co znaczy propaganda swojej własnej sztuki.

Urodził się w 1907 roku, w Komborni (powiat Krośnieński). Studiuje w Paryżu w Ecole des Beaux Arts i w Akademii André Lhote'a. Ten ostatni chyba wywiera na nim wpływ najsilniejszy. Wystawia w szeregu Salonów i w wystawach grupowych, w Paryżu i Brukseli, ma dwie wystawy własne; ostatnia 1960 roku w Galerie Bénézit na rue de Seine. Ciekawa jest ewolucja tego malarza. Artysta w pierwszym okresie pracuje z natury, maluje także kompozycje, o naturę oparte tylko że coraz silniej przestyliżowane. Tamta epoka nie wydaje mi się jeszcze przekonywująca, ma ona jednak tę zaletę, że artysta od etapu do etapu pogłębia swój stosunek do formy, swoją wiedzę kolorystyczną. Dopiero na swej ostatniej wystawie dominujące miejsce zajmują nieduże obrazy już abstrakcyjne zupełnie. Prawie że miniatury abstrakcyjne jeżeli porównujemy te płótna z parumetrowymi kompozycjami, które dziś nagminnie spotykamy w galeriach. W tych, już zupełnie oderwanych od wyobrażenia natury płócienkach, ale jakże przemyślanych, nasyconych studium natury całego życia, dopiero w tych płótnach artysta zdaje się mówić pełnym własnym głosem, dopiero tu jest prawdziwie i do końca malarski. Nie wiem zupełnie czy Ekiert zna blisko sztukę Bissière'a i Villona, czy może tylko przypadkowo droga jego do abstrakcji jest tak ich malarstwu bliska. Przede wszystkim Bissière przychodzi mi na myśl. I w naszym dorobku malarstwa polskiego ta nuta kameralna tego cichego malarza zdaje mi się ważna i ważka.

Józef CZAPSKI

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY 'VERITAS'

12 Praed Mews, London W. 2.

ogłasza PLAN WYDAWNICZY

## "BIBLIOTEKI POLSKIEJ" NA ROK 1962

W przedpłacie po cenach znizonych można zamawiać wymienione niżej książki w następujących terminach:

Do końca marca br.

*Władysław Folkierski* OD BOSKIEJ DO NIEBOSKIEJ KOMEDII  
(Szkice z zakresu europejskiej psychologii religijnej)  
(25/-; 3,75 dol.; 17.25 NF)

Do końca kwietnia br.

*Kardynał Alfred Ottaviani* OPOKA (Szkice na temat nauki Kościoła i prac Kurii Rzymskiej) (12/6; 1.85 dol.; 8,65 NF)

Do końca maja br.

*Maria Winowska* KTO MI ŁZY POWRÓCI (O objawieniach w La Salette i o kulcie saletyńskim). (12/6, 1,85 dol., 8,65 NF)

Do końca czerwca br.

*Św. Tomasz z Akwinu* TRAKTAT „SUMY TEOLOGICZNEJ”  
(3. qu. 1-15)

O *TAJEMNICY WCIELENIA SŁOWA BOŻEGO* (Przekład i objaśnienia ks. dr. St. Bełcha). (15/-; 2,30 dol.; 10,35 NF)

Do końca lipca br.

*Zygmunt Wasilewski* POKOLENIA W SŁUŻBIE NARODU  
(Wnukom o prapradziadku, trzy eseje napisane pod okupacją, biografia autora pióra jego syna, Tadeusza) (15/-; 2,30 dol. 10,35 NF)

*Św. Tomasz z Akwinu* TRAKTAT „SUMY TEOLOGICZNEJ”  
(2-2, qu. 141-170)

O *UMIARKOWANIU* (Przekład i objaśnienia X.S.P.)  
(20/-; 3,00 dol.; 14,00 NF)

Do końca stycznia 1963

*Ks. Jan Piwowski* KATOLICKA ETYKA SPOŁECZNA  
tom II (25/-; 3,75 dol.; 17,25 NF)  
(dla subskrybujących naraz 6 tomów 20/-; 3,00 dol.; 14,00 NF)

Po okresie przedpłaty zwykle ceny księgarskie, wyższe o jedną trzecią  
Zamówienia prosimy przysyłać albo wprost do K.O.W. „Veritas”  
lub do Przedstawicieli w poszczególnych krajach.

## Książki

### „Tematy” wczorajsze

W Nowym Jorku ukazał się pierwszy numer dużego, porządnie wydanego kwartalnika „Tematy”. Redakcja oświadcza na stronie tytułowej: „Zadaniem *Tematów* jest udostępnienie czytelnikowi polskiemu esejów, utworów literackich i studiów krytycznych, które składają się na obraz intelektualny Ameryki. *Tematy* zawierać będą przekłady z literatury pięknej, krytyki literackiej, sztuki, filozofii i tych dyscyplin, które są częścią współczesnego życia i myśli”. Wydaje mi się, że pierwszy numer *Tematów* postawionego sobie zadania nie spełnia. Poza paroma pozycjami, wyłania się z tego pierwszego numeru obraz Ameryki humanistycznej, arystokratycznej, klasycyzującej, fideistycznej. Ameryki zapamiętanej we własną przeszłość, dyskretną i melancholijną. Zamiast *supermarketów*, wielorybich samochodów, *juke-boxów*, *campusów*, *deep-freezeów* — symbolów *Affluent Society* (czy *Lonely Crowd*) widzimy białe domy z kolumnami, polysk mahoni na pięknych meblach kolonialnych, wnętrza pustych anglikańskich kościołów. Ameryka ta istnieje oczywiście, ale w pierwszym numerze *Tematów* wystarczyłyby może z tej dziedziny wiersze Roberta Lowella — którego można by nazwać amerykańskim Miłoszem — w dobrym tłumaczeniu Pawła Mayewskiego. Tymczasem mamy jeszcze dystygowany, starczy szept Santayany (w ujęciu Irvinga Singera), pełną erudycji poetycką wycieczkę Berrymana w kolonialną przeszłość, Katherine Anne Porter o osiemnastowiecznym purytanizmie, Tillicha o religii. Nawet teksty nie związane bezpośrednio z „Ameryką przeszłości” są — w najlepszym zresztą wydaniu — konserwatywne. Pisząc o poezji, Robinson Jeffers twierdzi, że „obecne czasy charakteryzuje wysoka cywilizacja szybko chyląca się ku upadkowi”, cieszy się on, że „poezja... nie zapadła tak głęboko w owo bagno zepsucia jak malarstwo i rzeźba”. Charakterystyczne, że jedynym pisarzem nie amerykańskim w tym numerze jest Ortega y Gasset, autor „Buntu Mas”, cywilizowany i liberalny, ale zajęty wróg XX wieku.

Myślę, że „obraz intelektualnej Ameryki” nie powinien ograniczać się do przedstawiania dobrych poetów jak Lowell, czy prozaików jak Katherine Anne Porter. Czytelnika polskiego ciekawi chyba bardziej

stosunek intelektualnej Ameryki do jej własnej, wysoko rozwiniętej formy cywilizacji przemysłowej — stosunek do zagadnień, które bardzo już niedługo staną się aktualne dla Europy nie tylko zachodniej, ale i wschodniej.

Z tej dziedziny problemów „społeczeństwa masowego”, „kultury masowej” *Tematy* dają nam niewiele. W pierwszym numerze naprawdę na miejscu są tylko dwa artykuły o jazzie. Pozornie, parę innych tekstów ma również charakter bardziej aktualny. Jednym z nich jest niezmiernie ciekawy artykuł Lionela Trillinga o „Sytuacji amerykańskiego intelektualisty w chwili obecnej”. Sęk w tym że, jeśli mnie pamięć nie myli, artykuł ten napisany był z dziesięć lat temu: Trilling wyciągał w nim wnioski z ankiety ogłoszonej wówczas przez „Partisan Review”, dotyczącej stosunku amerykańskich pisarzy do swego kraju. Po „kompleksie wygnania” i kosmopolityzmie lat dwudziestych, po fascynacji komunizmem i trockizmem w latach trzydziestych i czterdziestych, po dziesiątkach lat antykonformizmu, polegającego na odrzucaniu wartości uznanych przez własne społeczeństwo, pisarze i intelektualiści amerykańscy „odkryli Stany Zjednoczone” około roku 1950. Zjawisko to miało podłoże złożone. Szereg pisarzy zdało sobie sprawę, że ataki na „wulgarność kultury masowej” są dość powierzchowne, że nowe środki komunikacji zawierają potencjał imaginacyjny, którego nie można odrzucić pod pretekstem ich obecnej „komercjalizacji”. Skądinąd, społeczny prestiż i dobrobyt materialny najbardziej nawet „hermetycznych” artystów i pisarzy amerykańskich wzrastał niepomiernie. Ze „złej macochy” artyści, Ameryka przemieniała się w naiwną może, ale hojną wróżkę. Wreszcie, był to okres maccartyzmu, krótka ale groźna dla amerykańskiej kultury chwila i ta fala miłosnych wyznań do własnego kraju miała niestety w wielu wypadkach cechy zabezpieczenia się przed groźącym wówczas każdemu autentycznemu artyście, każdemu rzetelnemu intelektualistą, oskarżeniem „antyamerykanizmu”. Artykuł Trillinga doskonale analizuje ówczesne „nawrócenie” amerykańskich pisarzy na Amerykę. Niestety, w dzisiejszych czasach „chwila obecna” trwa dosłownie chwileczkę. U zarania lat sześćdziesiątych zarysowuje się na nowo w Ameryce proces odwrotny. Nie jest to powrót do „rozczarowania Ameryką” sprzed trzydziestu lat, nie jest to również nawrót do imaginacyjnych utopii, umiejscawianych w Paryżu czy Moskwie. Intelektualista amerykański wyszedł jednak z okresu „powrotu na matczyne łono”, jego obecny stosunek do Ameryki jest bardziej może konstruktywny niż dawniej, ale nie unika ostrej krytyki, z drugiej zaś strony zwyciężyła znowu wizja uniwersalna, pozbawiona tym razem cech „escapizmu”. Tymczasem *Tematy* nie zaopatrzyły artykułu Trillinga ani jednym słowem wyjaśnienia, nie podały nawet jego daty: czytelnik polski może więc wnioskować, że owa „chwila obecna” to r. 1962!

Słusznie poświęcono jeden z artykułów sztuce abstrakcyjnej. Artykuł doskonałego krytyka Meyera Schapiro dotyczy jednak problemu estetyczno-filozoficznego, „ludzkiej zawartości” malarstwa abstrakcyjnego. Pomijam fakt, że tłumacz (uczciwie zresztą przestrzegając o tym czytelnika) zmienia znaczenie tego tekstu tłumacząc słowo *humanity* przez „humanizm”. Ale wydaje mi się, że ciekawsze byłoby ujęcie bardziej socjologiczne pro-

blemu — analiza „ekspresjonizmu abstrakcyjnego”, szkoły nowojorskiej i szkoły Pacyfiku na tle całokształtu amerykańskiego życia. Cennym w skrówie nazwiskiem jest George Kennan, tym bardziej, że nikt bardziej od niego nie przyczynił się — ze strony amerykańskiej — do zwycięstwa koncepcji „pokojowego współistnienia”. Ale zamieszczony tu jego tekst „O wymianie kulturalnej” jest przemówieniem do przedstawicieli tzw. „czynników miarodajnych” w Ameryce i siłą rzeczy zawiera same rozsądne banały.

Wreszcie — błąd nie do darowania w tego rodzaju publikacji — *Tematy* nie zamieszczają ani słowa o autorach zamieszczonych artykułów. A przecież nawet tak wybitni poeci i pisarze jak Robert Lowell, Katherine Anne Porter, Lionel Trilling, nie są poza własnym krajem naprawdę dobrze znani.

W sumie — pierwszy numer *Tematów* to doskonały poziom literacki i intelektualny o ogólnej tendencji klasyczno-konserwatywnej. Miejmy nadzieję, że następne numery nieco rozszerzą „obraz intelektualny Ameryki”. Mam na myśli przede wszystkim nieco może powierzchowne, ale odkrywcze studia, takie jak „The Organization Man” William Whyte’a, „The Affluent Society” Galbraitha, „Class, Status and Powers” (Bendix i Lipset), „The Lonely Crowd” (Riesman, Glazer i Denny). Nie wystarczy, myślę, stwierdzać że Ameryka jest „niekonformistyczna”: warto by dać tekst choćby C. Wright Millsa jednocześnie z tekstem Daniela Bella zbijającym jego tezy. Tym bardziej, że krytyka Ameryki Millsa jest znana i popularna w Polsce, gdzie nikt natomiast nie zna drugoczących go argumentów Bella. Być może, fakt istnienia antologii Miłosza o „Kulturze Masowej” zniechęcił redaktorów do tego tak ważnego tematu — ale warto jednak zamieścić choćby klasyczne eseje Dwighta McDonalda, Edwarda Shilsa. Z konkretnych sugestii: warto czytelnika polskiego zapoznać wreszcie z Edmundem Wilsonem — z jego krytyką marksizmu w świetnej książce „To the Finland Station”, z jego wspaniałą krytyką literacką („Axel’s Castle”). Z literatury: Mary McCarthy, Salinger i — mimo że nie jestem entuzjastą „beatników” — myślę, że ich głosy mogą zainteresować młodego polskiego czytelnika. Polecam wreszcie redakcji *Tematów* dwa eseje: Margaret Mead — „Cultural Patterns and Technical Change” oraz Joseph S. Davis — „The Population Upsurge and the American Economy 1948-80”.

K.A. JELEŃSKI

## Niemcy o Polsce

Niemal równocześnie dostałem do rąk dwie prace niemieckie opublikowane w r. 1961 w Sztutgarcie: Hansa Roosa „Geschichte der polnischen Nation: 1916-1960” (1) oraz Martina Broszata:

(1) W. Kohlhammer Verlag.

„Nationalsozialistische Polenpolitik: 1939-1945”. Książki te wywołały we mnie pewne refleksje, które spisuję w największym skrócie.

Przed wszystkim same opracowania: Hans Roos, autor pracy pt. „Polen und Europa”, daje w swojej zwięzłej książce jedną z najlepszych relacji o tym okresie historii Polski — a kto wie, czy nie w ogóle najlepszą. Jest to bowiem rzecz nie tylko nacechowana chwalebny wysiłkiem obiektywizmu, ale dobrze napisana; rzecz żywa, pokazująca kulisy działań politycznych, cytująca anegdoty, powiedzenia mężów stanu i polityków, incydenty, które okraszają narrację historyczną rumieńcem autentyzmu. Roos zna na wylot sprawy polskie, nie są mu obce żadne zawilości i zakamarki polskiego życia politycznego. Książka oparta na solidnym zbadaniu epoki, na istotnej wiedzy faktów, jest nie tylko doskonałym informatorem dla publiczności niemieckiej: można w niej odkryć wyraźną sympatię dla traktowanego przedmiotu, zacięciem wrażeń nie tylko historyka, ale i człowieka. Nie będę chyba nadmiernym optymistą jeżeli powiem, że Hans Roos ma podziw dla narodu polskiego, dla jego dynamizmu, energii, patriotyzmu. Sukcesem jego metody przedstawiania jest to, że książka nigdy nie wychodzi poza ramy rzeczowości i spokojnego wykładu — a jednak wrażenie jakie odnosi czytelnik jest na pewno wrażeniem pozytywnym, obrazem optymistycznym. Nie tylko nie ma w tej pracy śladu lekceważenia tak typowego dla dawnych publikacji niemieckich o Polsce, podkreślenia tymczasowości zjawiska zwanego Polską — ulubiona teoria *Saisonstaat*’u, państwa sezonowego — akcentowania polskiego „bałaganu” (*polnische Wirtschaft*) i rozmaitych „niezachodnich” cech Polski: jest w tej doskonale rozplanowanej książce wyraźny szacunek dla polskiej siły regeneracyjnej, uznanie dla ciężkiej społeczności, które przeszło przez tak nieludzkie próby dziejów.

Roos osądza surowo politykę Trzeciej Rzeszy wobec Polski; Martin Broszat zajmuje się tą polityką — a raczej tym patologicznym splotem rasowego obłądzenia, fanatyzmu, pogardy, okrucieństwa i głupoty jakim były poczynania niemieckie w Polsce w latach 1939-1945. Trudno bowiem nazwać te poczynania szaleńca mianem polityki. Ale Broszat, wzięwszy na siebie zadanie prześledzenia kolei tej polityki, wykonuje swój plan rzetelnie. Przedstawia on bogaty materiał dowodowy; daje obraz akcji niemieckich we wszystkich dziedzinach życia polskiego. Jest to katalog przynębiający i straszny, wyrok potępiający na ludzi i system, któremu marzył się podbój Europy i stworzenie nowego kształtu tejże Europy (a może nawet Eurazji jako dodatku do trzonu niemieckiej Europy). Broszat nie waha się przed wyciągnięciem konkluzji i podkreśleniem, że hitlerowska polityka wobec Polski nie tylko zgubiła sama siebie, nie tylko wykopała sobie sama grób swoimi bezceństwami, ale skompromitowała i przekreśliła historyczne stanowisko Niemiec na Wschodzie; innymi słowy pogrzebała całą tzw. misję niemiecką i pozycję na Wschodzie. Warto jego słowa przytoczyć w ich oryginalnym brzmieniu:

*wirtschaftete die nationalsozialistische Polenpolitik nicht nur sich selbst zugrunde, sie verwirtschaftete auch den historischen Rechtsgrund deutscher Stellung im Osten*".

Trzeba przyznać, że są to mocne słowa w ustach niemieckiego historyka i badacza. Do tego wyroku niczego nie można dodać.

Odkładając te dwie książki zadajemy sobie uporczywie pytanie: czy publikacje te coś znaczą? Czy fakt, że pojawiły się one dzisiaj nie świadczy, iż nauka niemiecka, która od niepamiętnych czasów usiłowała pomniejszyć rolę Polski, przedstawić nasz kraj jako organizm niezdolny do życia, wyjaskrawić nasze wady narodowe, zlekceważyć nasz dorobek — czy ta nauka historyczna nareszcie ocknęła się i zdobywa się na spóźniony, ale jednak chwalebny obiektywizm? Czy ta zmiana w spojrzeniu na Polskę będzie miała jakieś następstwa jeżeli chodzi o społeczeństwo niemieckie? A może właśnie książki takie jak Roosa i Broszata stanowią wyraz zmiany nastawienia narodu niemieckiego — czy jego oświeconej warstwy — do Polski? Że społeczeństwo niemieckie, które — chociażby nie wiem jak udawało, że nie wie, nie wiedziało, nie wiadomo jak chowało głowę w piasek — zdaje sobie sprawę z istoty rządów hitlerowskich w Polsce i reakcji naszego narodu, że to społeczeństwo przekonało się, iż Polska nie jest *ein Saisonstaat*, że jest faktem geograficznym i historycznym, którego nic nie potrafi zmienić, że jest czymś, z czym Niemcy będą musieli współżyć. Innymi słowy, że postawa Polaków w czasie wojny dokonała jednak w myśleniu niemieckim przemiany i że poza kompleksem winy, jaki odczuwa wielu Niemców wobec Polski, powstało także w Niemczech uczucie szacunku dla Polaków, podziw dla ich siły i dynamiki?

Trudno mi rozstrzygnąć, czy mamy tu do czynienia ze zjawiskiem książek torujących dopiero drogi myślenia dla własnego społeczeństwa, czy też książek będących wyrazem pewnego nastroju, klimatu czy nastawienia, który się już w narodzie wytworzył. Być może, że te dwa prądy współistnieją: że mamy tutaj przykład wzajemnego oddziaływania na siebie zarówno oświeconej historii i oświeconej myśli społeczeństwa niemieckiego.

Sądzę, że pierwszym warunkiem ułożenia stosunków polsko-niemieckich w przyszłości jest to właśnie: Niemcy muszą pogodzić się z faktem istnienia Polski jako czynnika europejskiego, muszą mieć szacunek i uznanie dla tego narodu. Muszą pogrzebać w swoich umysłach teorię, że Wschód europejski stanowi coś w rodzaju dzikich pól, gdzie można dokonywać zmian i przesunąć. Jeżeli nastąpi tego rodzaju zmiana w myśleniu niemieckim, to dopiero wtedy będzie można traktować poważnie problem ułożenia stosunków między dwoma krajami (2).

(2) Już po napisaniu tych uwag przeczytałem, w liberalnym dzienniku angielskim „The Guardian” doniesienie, że ośmiu wybitnych przedstawicieli opinii NRF — wszyscy zresztą praktykujący ewangelicy — ogłosiło manifest na temat koegzystencji. Manifest ten zredagowany w Tuebingen dn.

Na podstawie licznych odwiedzin w Niemczech zachodnich po wojnie — byłem tam dziesięć razy w latach 1946-1960 i przemierzyłem cały kraj od obu Berlinów po Ren i Hamburg — i na podstawie dłuższego postoju w Niemczech przedwojennych (niemal trzy lata w dobie hitleryzmu), gotów jestem wysunąć pewne optymistyczne wnioski co do widoków ułożenia stosunków polsko-niemieckich w przyszłości. Książki Roosa i Broszata stanowią bodziec dla mojej syntezy: ale elementy tej syntezy zarysowywały się w moich oczach już w kilka lat po wojnie, kiedy pisałem relacje z podróży po Niemczech zachodnich dla „Wiadomości”, dla programu polskiego BBC oraz dla licznych czasopism angielskich.

Wydaje mi się, że Wschód europejski powinien wkroczyć w fazę — wyraźną na Zachodzie od lat — likwidowania kompleksów tzw. odwiecznych wrogów. Wiecznymi wrogami w kontekście historii były Francja i Anglia: kompleks ten został przełamany *entente cordiale* na wstępie naszego stulecia. Wiecznymi wrogami były także Francja i Prusy a potem Niemcy: dzisiaj kraje te należą do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej i zespala się z sobą coraz bardziej. Czy nie czas, ażeby Wschód europejski podjął podobny proces? Proces oparty na uznaniu m.in. zasady, że granice Europy wschodniej muszą być tak samo jasno i mocno określone jak jej granice na Zachodzie? Różnica między Zachodem a Wschodem Europy musi zniknąć w sensie stabilizacji granic: przekonanie, że na Zachodzie granice są zakrzepłe, ale na Wschodzie można je przesunąć, musi zostać wykorzenione. Dlatego uznanie przez Niemcy nowych granic Polski jest rzeczą tak ważną dla wytworzenia w całej Europie przeświadczenia, że granice jej okrzepły i że nie będzie się ich już przesunąć.

Teza uczuciowa, wyznawana przez ludy Europy wschodniej, że Niemcy się nie zmieniają, musi być wzięta pod lupę rozsadku i historycznego rozeznania. Narody zmieniają się: wystarczy zestawić Francję sprzed r. 1914 z Francją sprzed roku 1939: jej gotowość walki z r. 1914 z jej niechęcią do walki w r. 1939. Na naszych oczach zmieniła się nie tylko Francja ale i Anglia, która dzisiaj nie przypomina kraju znanego nam z lat dwudziestych. Państwa ongiś agresywne, organizmy zdobywcze — jak Szwecja

6.11.1961, a rozesłany do wszystkich pastorów ewangelickich zarówno w NRF jak NRD podpisali: prof. Heisenberg, laureat nagrody Nobla z działy fizyki, Dr Raiser, wybitny uczony, Klaus von Bismarck, czołowy przedstawiciel ruchu reformy społecznej, Dr von Weizsaecker, uczony nuklearny, Dr Beckman, dziekan kościołów ewangelickich w Nadrenii. Sygnatariusze manifestu domagają się rewizji polityki rządu w Bonn, uznania granicy na Odrze-Nysie. Naród niemiecki musi uznać wymowę rzeczywistości, powiada manifest, a zatem musi zrozumieć, że zachodni alianci NRF nie zamierzają popierać pretensji niemieckich do straconych prowincji na wschodzie. Uznanie granicy polskiej na zachodzie będzie stanowiło nie tylko pogodzenie się z nowymi faktami rzeczywistości, ale zmniejszy również zależność Polski od Rosji. NRF powinna znormalizować swoje stosunki z państwami Europy wschodniej. Ten manifest stanowi jeden z najświatlejszych głosów, jakie słyszeliśmy od lat z NRF.

cja — od dawna weszły w fazę uspokojenia. Czy nie możemy założyć, że Niemcy zmieniają się w tym sensie, iż wyrzekną się podbojów, snów o ekspansji, że położą tłumik na swoje wygórowane ambicje?

Jeżeli chodzi o stosunki polsko-niemieckie to w dużej mierze żądło zostało niejako odebrane czy wyjęte przez fakt, że spór jaki się dzisiaj toczy to jednak spór między Wschodem a Zachodem, między Ameryką a Rosją, a nie spór osobisty Polska-Niemcy. Niemcy należą do obozu zachodniego, są ujęte w ryzy NATO: rzecz dla Polski niebylewa korzystna, albowiem o wiele mniej korzystniejszy układ powstałby, gdyby Niemcy wyłamały się z NATO i zbroiły na własną rękę.

Wyliczmy jeszcze inne korzystne czynniki sytuacji: junkierstwo pruskie i twierdze „misji niemieckiej na Wschodzie” zostały zniszczone. Moment to przełomowy, na który słusznie zwracał nieraz uwagę na tych łamach Juliusz Mieroszewski. Zmiany jakie zaszły w NRD pod względem ustrojowym i społecznym są także na pewno nie bez korzyści dla nas, albowiem przekreśliły one te elementy socjalne, które mogłyby kiedyś stanowić zaczyn tzw. rewanżyzmu.

Idźmy dalej: wchłonięcie przez NRF ponad 11 milionów uchodźców ze Wschodu, rozmieszczenie ich w ramach gospodarki zachodnio-niemieckiej, wszystko to stawia pod znakiem zapytania hasło przedwojenne *Volk ohne Raum*. Niemcy mieszczą się na swoim terenie; nie brakuje im dzisiaj ziemi, brakuje dalej w NRF rąk roboczych. Ale na tym nie koniec: te miliony *Heimatsvertriebenen*, ci przesiedleńcy czują się na ogół w NRF dobrze — a na pewno młodsze pokolenie, na pewno dzieci, które nie pamiętają już Wrocławia, Szczecina, Opola. Ich chęć powrotu jest słaba, mierna albo żadna: ochoła ta ogranicza się do mniejszości i to poważnej mniejszości *Heimatsvertriebenen*. W rozmowach jakie prowadziłem w latach powojennych w NRF z nauczycielami w szkołach gdzie uczęszczają dzieci uchodźców ze Wschodu, w organizacjach uchodźczych, przewijała się nuta melancholii, że jednak dzieci nie da się utrzymać w pamięci dawnego „obyczaju”, że proces zapomnienia dawnej *Heimat* posuwa się niebylewa szybko. Nie może to dziwić nikogo kto pamięta, że proces cofania się niemieczyny ze Wschodu zaczął się nie dzisiaj, ale jeszcze w epoce przed tzw. HKT i Komisją Kolonizacyjną drugiej Rzeszy, że Prusy Wschodnie były finansowane jeszcze przed pierwszą wojną światową, a wydatnie w dobie prezydentury Hindenburga. Element niemiecki cofał się ku Zachodowi, coraz więcej ludzi parło ku Nadrenii.

Wydaje mi się, że gros *Heimatsvertriebenen* nie chce wrócić na dawne ziemie. Gros tej ludności chce *stability*, chce wysokiego poziomu życia. Wie ona dobrze, że poziom życia na Wschodzie jest o wiele niższy. Materializm ludności niemieckiej nie jest niczym nowym: wiadomo, że ona pierwsza wynarodowiła się w USA, chociaż o tyle ubożsi Irlandczycy czy Polacy zachowali swój obyczaj. Polor amerykański, który obecnie pokrył NRF

— a jest to dzisiaj najbardziej zamerykanizowany kraj Europy: nawet i przed wojną miały Niemcy na to wielkie zadatki — przyczynił się jeszcze bardziej do wzmocnienia tego materializmu, który powiada, że tam nasza ojczyzna gdzie jest nam dobrze, a raczej lepiej.

To osłabienie sentymentu dla utraconej *Heimat* jest poważnym czynnikiem, którego lekceważyć nie można. Historycznie należy to na pewno do szerszego procesu cofania się granic Europy: procesu, który zaczął się jeszcze w 18-tym wieku rozbiorami Polski, a zakończył się chyba — miejmy nadzieję — drugą wojną światową. Niemcy padły nieubłaganie ofiarą tego procesu. I nie one jedne.

W moich uwagach kreślonych po podróżach po Niemczech w latach 1946-1949 stawałem raz po raz tezę, że Niemcy nie staną się już nigdy mocarstwem światowym. Niemcy, pisałem, mogą być w jakiejś przyszłej wojnie tylko sojusznikiem Ameryki. Ochoła wojenna Niemiec nie tylko spała, ale nie istnieje. Niemcy doszli do wniosku, że niepotrzebnie rozpętali pierwszą i drugą wojnę, albowiem mogli dokonać podboju gospodarczego, nie tylko Europy, przez skoncentrowanie się na ekonomii. Nie popełnią one już po raz trzeci tego błędu; to, czym Niemcy zachodnie mogą grozić, to ekspansja gospodarcza. *Niemiecka Wille zur Macht*, pisałem w latach 1946-1949, została złamana: została *Wille zur Arbeit*, która będzie podstawą regeneracji Niemiec. *Niemiecki Drang nach Osten* nie istnieje dzisiaj; istnieje wyraźny *Drang nach Westen*, a jeżeli chodzi o osiedlanie się poza granicami Niemiec, to Niemcy zalewają Morze Śródziemne, zmieniające się coraz bardziej, z roku na rok, na *Mare Germanicum*, wykupują ziemię w Hiszpanii, Włoszech w nienasyconym *Drang nach Süden*.

Oczywiście, niemiecka *Wille zur Arbeit* i ich ekspansja gospodarcza dała dzisiaj takie wyniki, że NRF jest pierwszym mocarstwem gospodarczym Europy zachodniej, a poziom życia w tym kraju zestawić można tylko ze Szwajcarią. Tym samym Niemcy mogą — jeżeli im się zezwoli na zbrojenia — przekształcić z czasem swoją energię w inne formy. Nawet i bez tego ich walor polityczny będzie rosnać. Ale dopóki istnieją ramy NATO i ramy Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej czyli EEC, dopóty te Niemcy są względnie bezpieczne, względnie *manageable*. W interesie Polski i Europy jest trzymanie Niemiec w ramach NATO i EEC. Widoki porozumienia sowiecko-niemieckiego wydają się na razie słabe.

Nie trzeba chyba tłumaczyć, ile w tym procesie przystosowania zależy od czynników wpływających na formowanie się opinii publicznej — szczególnie zaś od polityków. Od nich zależy w wielkiej mierze to, czy dwa kraje utkną w fatalizmie, który powiada z jednej strony, że narody się nie zmieniają, a z drugiej że trzeba cofnąć wskazówki zegara. Politycy w NRF mają przed sobą wdzięczne zadanie wytłumaczenia swojemu społeczeństwu, że musi się pogodzić z rzeczywistością, nawet za cenę niepopu-

larności. Oto właśnie nowy minister dla spraw uchodźczych w rządzie Adenauera, Wolfgang Mischnick (z *Freie Demokratische Partei*) zaryzykował niepopularność wypowiedzią, w której dał do zrozumienia uchodźcom zza Odry i Nysy, że muszą pohamować swoje roszczenia. Jest to pierwszy urzędowy głos tego rodzaju: oby było ich więcej. Tylko takie szczere wypowiedzi, stworzą nowy klimat między NRF a Polską, w którym będzie mogło rozwijać się myślenie w kategoriach historii a nie propagandy.

Wydaje się, że obiektywnie biorąc istnieją przesłanki dla stworzenia jakichś podwalin *modus vivendi* między Niemcami a Polską. Osobiście, uważam, że nigdy te warunki nie były tak pomyślne. Oczywiście, zacząć trzeba od umysłów i głów: od zmiany nastawienia. Książki takie jak Roosa i Broszata stanowią na pewno dobry wstęp do zapoczątkowania fazy rozsądku i trzeźwości w tragicznych, a nieraz nieludzkich, dziejach stosunków polsko-niemieckich.

Zbigniew GRABOWSKI

## Majaczenia

Literatura o Drugim Korpusie jest obszerna. Obok pozycji ściśle wojskowych są także literackie i pamiętnikarskie. Tych ostatnich jest oczywiście najwięcej. I do nich zaliczyć trzeba książkę w języku ukraińskim pt. „Za czużu sprawu” (Za cudzą sprawę). Autor — Zinowij Knysz — nie był jednak żołnierzem Drugiego Korpusu natomiast oparł swoją pracę na relacji żołnierza, Mychajła Kozija.

Zacznijmy od informatora gdyż pozwoli to nam na ustalenie odpowiedzialności autorskiej. Kozij to syn rolnika i rolnik ze wsi Bogdanówka, powiatu Skalat. Skromnie przemilcza ile klas szkoły powszechnej ukończył. Na pewno jednak nie zaważał o szkołę średnią. Pierwsze jego zetknięcie się z „szerokim światem” to służba w 10 pułku piechoty w Łowiczu w 1936 r. Po ukończeniu jej wrócił do wsi rodzinnej skąd wyrwała go w sierpniu 1939 r. mobilizacja. Przybył do 10 p. piech. i odbył w nim kampanię. Mimo to, że znajdował się w Małopolsce Wschodniej i był świadkiem rozkładu wojsk, nie opuścił szeregów. Wraz z innymi żołnierzami przewieziono go do Szepietówki a tam bolszewicy zapowiadali rozpuszczenie jeńców do domów. Naturalnie w pierwszym rządzie Ukraińców i Białorusinów. Kozij czekał tej chwili, ale nie doczekał się jej.

Zinowij Knysz: *Za czużu sprawu*, Paryż 1958, Nacjonalistyczne dawnyctwo w Europi, str. 358.

Zamiast wolności pozostał w obozie. Oczywiście bolszewicy zatrudniali jeńców przy różnych robotach polnych i leśnych przerzucając ich z miejsca na miejsce. Wojna niemiecko-sowiecka zastała go w brygadzie roboczej na Wołyniu. Znowu transport i tym razem Kozij wylądował aż za Uralem. Tam dotarła wieść o formowaniu się wojska polskiego i Kozij pospiesznie stanął przed polską komisją poborową i wcielony został w Tatiszczewie do wojska, ściślej do 5 dywizji piechoty.

Ten krótki życiorys pozwala na stwierdzenie, że Kozij nie jest ani człowiekiem wykształconym, ani działaczem politycznym. Jego horyzont myślowy, zasięg orientacji nie mógł wykraczać poza ramy przeciętnego młodego człowieka ze wsi. Wielokrotnie zresztą mówi, iż nie posiada wykształcenia, żadnej specjalności, żadnych wiadomości technicznych itp. Ale te uwagi nie przeszkodziły Knyszowi na zrobienie z niego „bohatera” w skali narodowej.

Nie kwestionując iż Kozij nie szczędził swoim opowieściom kolorów, że windował się jak mógł, to jednak autorem paszkwilu jest Knysz, który na kanwie opowieści prostego szeregowca przeprowadził chorobliwy obrachunek z Polską.

Knysz pochodzi z Małopolski Wschodniej. Ukończył wydział prawny i aplikował w sądzie we Lwowie. Należał do UW-OUN biorąc w nich czynny udział. Został aresztowany w 1930 r. po akcji zbrojnej w Bóbrce. Skazany został na 8 lat więzienia, ale zwolniono go w 1936 r. Po rozłamie w obozie nacjonalistycznym pozostał w grupie Melnyka, ale z prac organizacyjnych wycofał się. Pracował jako korespondent zagraniczny w Centrosojuzie. Po wojnie ogłosił kilkanaście książek, niektóre pod pseudonimem Michajluk, o charakterze publicystyczno-pamiętnikarskim. Nigdzie nie jest obiektywny, ale pisząc żywo, sugestywnie, wywiera niewątpliwie wpływ na czytelników nie obznajomionych z materiałem. Stąd i relacje ze spraw, w których brał udział, są koloryzowane. Gdyby oderwał się od konkretnych osób i sytuacji stworzyłby bardzo ciekawe powieści, których tem byłyby rzeczywiste wypadki. Knysz woli jednak przeprowadzać w swych książkach obrachunek z Polską, z dawnymi przyjaciółmi politycznymi, z towarzyszącymi walk oraz przeciwnikami.

Można naturalnie zrozumieć, że Knysz nie lubi Polaków. Nie może zapomnieć 6 lat więzienia, ale gorzej jest gdy wszystko ocenia z kompleksu nienawiści.

Nie będziemy się cofać do dziejów bohatera Knysza w Polsce i w ZSSR przed przyjęciem do wojska polskiego, jakkolwiek i tam wpakował mnóstwo absolutnie fałszywych informacji, ograniczamy się tylko do Drugiego Korpusu.

Skoro Ukrainiec zdecydował się z własnej nieprzymuszonej woli zgłosić do wojska polskiego w ZSSR, to zapewne nie pałał do Polski taką nienawiścią jak to wynika z kart „Za czużu

sprawu". Mógł przecież zgłosić się do Armii Czerwonej, w której było mnóstwo Ukraińców. Wolno więc przypuszczać, że wybierając służbę w Polskich Siłach Zbrojnych czynił to w przeświadczeniu, że walczyć będzie nie o „cudzą sprawę”, ale swoją własną lub wspólną.

Knysz albo nie wie, albo nie chce wiedzieć, że ci Ukraińcy i Białorusini, którzy dostali się do armii polskiej w ZSSR wygrali los na loterii. Władze sowieckie po pierwszym okresie nie dopuszczali mniejszości narodowych do wojska polskiego. Ich przedstawiciele w komisjach poborowych dokładnie badali zgłaszających się. Dlatego też wielu podawało się za rdzennych Polaków. Władze sowieckie traktowały wszystkich z terenów zajętych przez ZSSR w 1939 r., jako swoich obywateli. Były to zresztą pierwsze niepokojące sygnały sowieckiej polityki.

Autor omawianej książki utrzymuje, że nie tylko istniała w Drugim Korpusie, konkretnie w 5 Dyw., dyskryminacja Ukraińców, i mniejszości narodowych, ale nawet wrogi do nich stosunek. Jest to z gruntu fałszywe. Wręcz przeciwnie, zarówno gen. Anders jak i kolejni szefowie sztabu, i Oddziału Propagandy byli nie tylko jak najbardziej tolerancyjnie nastawieni, ale zdecydowanie występowali przeciwko każdej formie wrogości wobec mniejszości narodowych.

Po opuszczeniu granic ZSSR, zdając sobie jasno sprawę z tego, że niektórzy Ukraińcy i Białorusini ze względów bezpieczeństwa osobistego, nie podali swej narodowości lub wyznania, wezwano wszystkich do ujawnienia się. Oczywiście nowy spis ewidencyjny nie zmierzał do dyskryminacji, ale raczej do roztoczenia opieki nad tymi żołnierzami.

Knysz relacjonuje, że w Drugim Korpusie — zdaniem niektórych — służyło niemniej aniżeli 20.000 Ukraińców „a tych, którzy jawnie przyznają się do swojej ukraińskiej narodowości nie można by zliczyć więcej aniżeli 4.000” (str. 198). Opierając się na tych „dokładnych danych” pisze, iż Ukraińcy wykrwawili się pod Monte Cassino itp.

Naturalnie „ukraińską” była przede wszystkim 5 Dyw. — jednostka informatora Knysza.

Pozwolimy sobie wobec tego sięgnąć do naszych oficjalnych danych. Stan narodowościowy tej dywizji na 1 grudnia 1943 r., a więc przed wyjazdem do Włoch przedstawiał się następująco:

Szeregowych: Polaków — 13.049, Ukraińców — 264, Białorusinów — 460, Żydów — 144, Litwinów — 19, Rusinów — 3, Rosjan — 11, Tatarów — 4. Oficerów: Polaków — 783, Żydów — 12.

Pod względem wyznaniowym skład przedstawiał się następująco: rzymsko-katolików: oficerów — 776, szeregowych — 12.678; wyzn. mojżeszowego: oficerów — 12, szeregowych — 144; prawosławnych: oficerów — 2, szeregowych — 831; greko-katolików: oficerów — 1, szeregowych — 257; ewangelików: oficerów — 3, szeregowych — 15; mahometan — 6 szeregowych;

staroobrzędowców — 12 szeregowych; karaimów — 1 oficer; baptystów — 4 szeregowych; innych wyznań — 3 szeregowych.

Nie cytujemy danych z innych jednostek i ograniczymy się do stwierdzenia, że w 3 Dyw. Karpackiej i Brygadzie Pancerniej mniejszości narodowe były w mniejszym odsetku, podobnie zresztą jak w jednostkach korpusnych.

Jeśli więc nawet przyjmiemy rubrykę wyznaniową jako bardziej ścisłą, to oczywiście do liczb Knysza bardzo a to bardzo daleko. Znamienne jest, że jeśli do narodowości ukraińskiej przyznało się 264 szeregowych, to wyznania greko-katolickiego było 257 szeregowych i jeden oficer, a więc zaledwie kilku prawosławnych przyznawało się do narodowości ukraińskiej. Niewątpliwie pewna ilość Ukraińców, znajduje się wśród prawosławnych, którzy podali narodowość polską, ale nie sposób oczywiście ustalić czy było to następstwo przesadnego oportunistu czy też świadoma deklaracja narodowościowa.

Knysz relacjonuje dalej, iż jego bohater zorganizował *aż dwa tajne zjazdy ukraińskie* — oczywiście żołnierzy. Mówi wprawdzie iż na pierwszy, w Iraku, przybyło kilkadziesiąt chłopów, ale ilustrujące ów rzekomy zjazd zdjęcie, pokazuje dokładnie 8 żołnierzy; fotografia Ukraińców w 14 batalionie pokazuje 11 szeregowych: ale na obu zdjęciach tylko jedna osoba została zidentyfikowana — bohater Kozij.

Na tajny zjazd w rejonie Kirkuku miało przybyć ponad 300 delegatów”.

„Oznaczonej niedzieli, małymi grupami, najwyżej do czterech, zaczęli schodzić się delegaci. Z różnych stron wychodzili z obozów, z dalszych oddziałów przyjechali samochodami, niby kąpać się, a potem wszyscy skręcili w górę, by zmylić czujność polskiej wojskowej policji. Ogółem zeszło się co najmniej dwie setki, niektórzy uczestnicy zjazdu naliczyli ponad 300 delegatów”.

Czyż to nie pięknie? Za pięknie, by było prawdziwie. W żadnym wojsku, nie tylko w czasie wojny, nie tylko na terenie raczej zamkniętym, zwartym, nie może się odbyć zlot samowolny żołnierzy. A cóż dopiero ukraińskich żołnierzy w wojsku polskim! Nie było tak naiwnego, ciemnego, szefa kompanii, oficera dyżurnego, nie mówiąc już o oficerach informacyjnych, którzy by się natychmiast nie zorientowali. Knysz wyobraża sobie, że spiskowa akcja w wojsku jest łatwiejsza aniżeli w szkole.

A więc odbył się zjazd, o którym nigdy nie dowiedziała się sekcja bezpieczeństwa Korpusu. Oczywiście nie mogła wiedzieć, bo odbył się on jedynie w wyobraźni autora i jego informatora.

I po co zjechali się?

„Doszliśmy teraz do swego bezpośredniego celu — wyskoczyliśmy poza granice ZSSR — i musimy pomyśleć o naszym jutrze. Chyba nikomu nie przychodzi do głowy myśl przelewania krwi za odbudowę Polski na ziemiach ukraińskich. Znajdujemy się w przymusowym położeniu, podle-

gamy wojskowej dyscyplinie i wojskowemu prawu, jesteśmy rozrzućeni między Polakami, bez kontaktu z Ukraińcami wolnego świata, zdani tylko na siebie samych.

Jedni radzili, by wykorzystać każdą nadającą się sytuację dla dezercji, inni chcieli z tym czekać aż do przybycia na kontynent europejski. Nic rozsądnego jednak nie można powiedzieć w tej sytuacji.

Po dość długiej dyskusji uchwaliśmy coś w rodzaju następujących postanowień: 1. Bezwzględnie sprostować w ewidencji swoje nazwiska i podać narodowość ukraińską. Odpadła potrzeba ukrywania narodowości ukraińskiej, jako że nikt nie musi się obawiać, iż odstawią go z powrotem do ZSSR.

2. Nie uciekać z wojska w Iraku. To kraj pustyński i nie ma gdzie się ukryć. Wokół bandy Arabów, które nas prędzej wykończą aniżeli sami Polacy.

3. Kiedy opuścimy Irak wykorzystać każdą okazję, by porzucić wojsko polskie. Ten, któremu się to uda, ma starać się przekazać wiadomość o nas Ukraińcom na świecie".

Dopiero po tym zjeździe, pisze Knysz, „dwójka” dowiedziała się o konspiracji ukraińskiej w wojsku. Ale Ukraińcy zostali zawczasu uprzedzeni przez pracującego w centralnej kasie Korpusu Andryja Markiwa.

„Jak wielu innych podał się za Polaka, a że ukończył szkołę średnią dopuszczono go do podchorążówki i jako plut. podch. miał przydział w rachubie centralnej kasy. Obracając się między oficerami polskimi nieraz słyszał urywki rozmów z ważnymi dla nas informacjami i przekazywał je nam przez swoich znajomych”.

Jakież to wszystko proste! Tylko że nieprawdziwe.

Drugi zjazd, naturalnie też tajny, odbył się w Tel-Awivie. Wybrano na ten cel hotel „Atlantic”.

„Nadszedł 'wielki dzień' i zjechało się ponad dwustu delegatów. Jedni za przepustkami, drudzy na wypoczynek nad morzem, a inni po prostu bez żadnego zezwolenia. Pokoje w hotelu dostaliśmy bez trudności. Kierownikiem hotelu był jakiś polski kapitan, którego wprawdzie zdziwiło skąd się tyłu wojsaków naraz zjechało do Tel-Awivu, ale pokoje dał i myśmy się wygodnie rozlokowali po dwóch trzech w pokoju. Zaraz pierwszej nocy miałem awanturę z kapitanem, z którym dzieliłem pokój. Przybył z jakąś Polką, a to było surowo zabronione regulaminem. Na ścianach wisiało ostrzeżenie, że za to grozi wprawdzie degradacja, a następnie więzienie”.

Organizator zjazdu wygnał przez okno kapitana i jego damę a oficer milczał ze strachu.

„Z wielką przyjemnością skorzystałem z okazji kiedy zwyczajny żołnierz może podnieść rękę na kapitana”.

Ile złośliwości, wulgarności i głupoty w tej opowieści! Każdy żołnierz wie, że — na żądanie władz brytyjskich — ściśle przestrzegano rozdziału wszelkich lokali dla szeregowych i oficerów. W hotelu oficerskim w żadnym wypadku nie przyjmowano szeregowych, a wspólnych hoteli nie było. Stąd i szer.

Kozij ani mógł wyganiać pasem kapitana. Ta „wielka przyjemność” pozostała w marzeniach. Owszem regulamin był ostry, ale „ostrzeżenia” nie wisiały na ścianach pokoi hotelowych, nie zapowiadały więc degradacji. Wszystko to jednak Knyszowi jest potrzebne dla szkalowania Polaków.

Dwustu żołnierzy, wszyscy Ukraińcy, dostają, ot tak, pokoje w hotelu oficerskim, mimo iż niektórzy nie mają przepustek a zapewne żaden skierowania?... Komendant dziwił się i nawet nie zadzwonił do odległej o kilkanaście metrów ekspozytury Drugiego Oddziału? I żaden z licznych pracowników tego Oddziału, którzy normalnie zaglądali codziennie wiele razy do hotelu, do wszystkich innych lokali w Tel-Awivie, nie natknęli się na delegatów konspiracyjnego zjazdu? Zaiste okropna musiała być ta sekcja bezpieczeństwa!

A konspiratorzy tym razem działali niemal jawnie, bo z braku sali na zjazd w hotelu postanowili znaleźć ją na mieście. I to nie wszystko. Posłuchajcie:

„Postanowiono wreszcie znaleźć łączność z jakimś wyższym oficerem dowództwa angielskiego i przedstawić mu nasz wniosek odseparowania Ukraińców od Polaków”.

Obrano delegację, składała się z „naszego bohatera” i niejakiego Piotra Szawela, która udała się na poszukiwania dowództwa angielskiego. Nie znaleźli go, natomiast spotkali przed wojskowym budynkiem jakiegoś młodego porucznika. „Emisariusze” wobec odpowiedniego reprezentanta. Scena bajkowa, szczególnie gdy się weźmie pod uwagę znajomość języka angielskiego owych „wysłanników”. Ale dogadali się. I Anglik powiedział, że

„niczego w tej sprawie nie można zrobić, bo jesteśmy obywatelami polskimi. Anglia jest sojuszniczką Polski, należymy do sojuszniczej armii posiadającej własne dowództwo, do którego nie wolno się nikomu wtrącać i nikt nie chciałby tego czynić. Radził nam, byśmy dalej z tą sprawą nie chodzili, bo możemy natrafić na kogoś, kto nawarzy nam dobrego piwa”.

Wrócili więc z niczym do swoich kolegów w hotelu.

„Kiedy usłyszeli, że dla nas, Ukraińców, nie ma własnego miejsca na świecie, że mamy oddać swoje życie w cudzych mundurach za cudzą sprawę taki ogarnął nas żal, że posiekalibyśmy na kawałki każdego Polaka, który by nam wpadł pod rękę”.

Co prawda nie trudno było ów „szlachetny” zamiar wykonać, znajdował się przecież na miejscu kierownik hotelu i tuż na ulicy mnóstwo żołnierzy. Ale uczestnicy zjazdu postąpili inaczej. Zajęli lokal nad morzem, też przeznaczony dla wojska, Polacy zeń uciekli a oni śpiewali bojowe pieśni ukraińskie.

Nie zjawił się żaden żandarm, żaden „dwójkarz”. Po prostu nic.



Kiedy te i inne brednie skonfrontuje się z rzeczywistością, powstaje jeszcze większy niesmak. Rodzi się gorycz. Oczywiście byłoby nieroztropnie te wypociny traktować jako wyraz nastawienia wszystkich Ukraińców, byłych żołnierzy Drugiego Korpusu, czy nawet nacjonalistów ukraińskich rozsianych po świecie. Ale na pewno lektura tej książki nie tworzy pomostu ukraińsko-polskiego.

A więc stwierdzamy, że nie zanotowano ani razu żadnej „afery” ukraińskiej w Drugim Korpusie. Było kilka drobnych incydentów, znacznie drobniejszych aniżeli wśród samych Polaków. Pierwszy zdarzył się w 5 Dyw. w wigilię Bożego Narodzenia 1942 r. Ukraińcy śpiewali kołędy w języku ukraińskim, co spotkało się z czynnym protestem kilku żołnierzy. Stanęli oni następnego dnia do raportu karnego i otrzymali naganę. Por. Sz. skarcił Polaków i przypomniał im, że Ukraińcy są również obywatelami polskimi i noszą ten sam mundur. To była największa awantura. Stosunki koleżeńskie układały się dobrze. Koleżeństwo broni uczyniło więcej aniżeli najlepsze pogadanki wychowawcze. Drobne incydenty zdarzały się po pijanemu. Wówczas niektórzy Ukraińcy, podobnie jak inni, zachowywali się awanturniczko. Ogółem w 5 Dyw. Kres. aresztowano za takie wyczyny 3 żołnierzy. Jeden z nich uderzył w Taranto, po pijanemu, por. R., który na prośbę żandarmerii brytyjskiej usiłował uspokoić awanturnika. Zdezerterowało najwyższe 4 Ukraińców. W sądzie polowym nie było żadnej sprawy z Ukraińcami na tle politycznym. Nie było kapelana greko-katolickiego, ale w 1943 r. Korpus wydał modlitewnik grecko-katolicki. W każdym oddziale obchodzili oni swoje święta i zawsze zjawiał się na nich jakiś dowódca. Gen. Sulik, d-ca 5 Dyw., udał się raz na Wielkanoc do żołnierzy ukraińskich.

Raporty oficerów informacyjnych nie zanotowały żadnych kłopotów ani z Ukraińcami ani z innymi mniejszościami narodowymi. Owszem, są wzmianki o pewnym psychicznym niepokoju Ukraińców, który pokrywał się z takimże stanem pozostałych żołnierzy w związku z niepomysłnym rozwojem sytuacji politycznej.

Knysz zije nienawiścią. Każe swojemu „bohaterowi” — wielkiemu strategowi — krytykować dowództwo Korpusu, przebieg operacji pod Monte Cassino, zachowanie wojsk. On już to wszystko wiedział w 1939 r. Używa określenia „żebacza Polska”. Niesposób zresztą odnotować tego nieprzytomnego steku obelżywych określeń. Zdumiewające jednak, że ten prześladowany bohater Kozij tak świetnie przeszedł wojnę, zabawał się, popijał i wojował. Właśnie z Polakami. Ani nie „posiekał ich na kawałki”, ani jego nie zagryzono.

Monte Cassino oczywiście zdobyli Ukraińcy, ale Kozij uwiecznił się tylko przy jednym — i to prawosławnym — nagrobku. Dziwne.

Setki Ukraińców bywało na zjazdach, ale wymienia w sumie

tylko do 6 nazwisk. Trochę za mało jak na „cztery tysiące przynajmniej się do narodowości ukraińskiej”.

Smutna i zbędna książka. Ale zapewne niektórym jest potrzebna, bo inaczej by się nie ukazała.

Benedykt HEYDENKORN

## “Les somnambules”

Koestler, duch wiecznie niespokojny, mistyk bez wiary i rewolucjonista bez dogmatu, nie wydaje się być szczególnie powołany do prób rozwiązywania dla nas zagadnień filozofii bytu.

Koestler umie jednak formułować pytania. Ma on dużą skalę zainteresowań, od polityki do kryminologii, od biologii do moralności, od kabały do fizyki. Koestler ma dar popularyzowania rzeczy zawiłych i duży talent dziennikarski.

Jeżeli wierzyć chesteronowskiemu ojcu Brownowi, gdy chodzi o problemy nierozwiązalne, pytania trzeba formułować w sposób szczególnie jasny. Tak właśnie sformułowane są pytania w „Les Somnambules” (1) i dlatego warto tej książce przyjrzeć się uważnie.

Podtytuł książki brzmi „Essai sur l’histoire des conceptions de l’univers” i określa właściwą treść książki. Tytuł „Lunacy” określa twórców tych koncepcyj. Tytuł i podtytuł oznaczają dwie rzeczy różne i dlatego książka pisana jest jakby na dwóch płaszczyznach. Na pierwszej przedstawiona jest psychologia twórczości, inwencji, odkrycia w dziedzinie nauk ścisłych. Strony poświęcone temu zagadnieniu są zawsze ciekawe, czasem fascynujące. Bowiem, jak pisze Koestler, historia nauk ścisłych jest względnie młoda i biografowie jej Cromwellów i jej Napoleonów mało się dotychczas troszczyli o psychikę swoich bohaterów. Toteż przedstawiali ich zazwyczaj jako maszyny do myślenia pracujące w ciszy i skupieniu i — jak komputory elektroniczne — zmierzające najkrótszą, najprostszą drogą do rozwiązania postawionych im zadań.

Nic nie jest bardziej błędne niż taka opinia. Koestler wiodzi, że wszystkie systemy kosmologiczne, od Pythagorasa do Kopernika, od Kartezjusza do Eddingtona, odzwierciedlają przesady i zabobony ich autorów. Historia teorii kosmicznych

(1) Arthur Koestler: *Les Somnambules*, Essai sur l’histoire des conceptions de l’Univers; przekład z angielskiego, str. 582, Paryż, Calmann-Lévy.

jest w gruncie rzeczy historią obsesji i schizofrenii; najważniejsze odkrycia są dokonywane w sposób który przypomina bardziej majaczenia lunatyków niż działanie komputera elektronicznego. Trzeba więc przede wszystkim skończyć z legendą, według której uczony jest osobnikiem bardziej „zrównoważonym”, bardziej „bezstronnym” niż inni i powinien dlatego grać dominującą rolę w społeczeństwie.

Dobrze się stało, że Koestler dopomaga nam rozwiązać nasze iluzje iż luminarze nauki są bardziej niż kto inny powołani do kierowania ludzkimi sprawami. W czasach kultu jednostki i masowej kultury, luminarze nauki zdaje się sami uwierzyli, że mają do wypełnienia misje społeczne i polityczne. Wielki Einstein miał swe projekty zbawienia świata. Ukuto termin *meritocracy*, by oznaczyć przyszłe rządy ludzi nauki. Charakterystyczna dla tego co myśli młodzież jest konkluzja artykułu, który ukazał się w piśmie studentów uniwersytetu Columbia, „Columbia Owl”: „W Stanach Zjednoczonych mieliśmy prezydenta wojskowego, mamy prezydenta ekonomistę, a gdy on zawiedzie, będziemy mieli wielkiego uczonego na czele państwa”.

Oczywiście, nie ma nic nowego i nic rewelacyjnego w podkreśleniu przez Koestlera że genialna twórczość jest produktem raczej wzburzonych niż zrównoważonych umysłów. Zaslugą Koestlera jest że, trafiając do szerokich warstw czytelników, spopularyzował tę oczywistą prawdę.

Drugi, i zdaniem autora najważniejszy, wątek książki — historia pojmowania wszechświata — dotyczy zagadnień, nad których rozwiązaniem ludzkość się męczy od zarania swego cywilizowanego bytu. Dlatego wydaje się nieco niepoważne, że autor określa swą pracę w tym zakresie jako „recherches personnelles” i odżegnywa się jak najenergiczniej od tego, by go nie posądzono o popularyzowanie wiedzy.

W rzeczywistości właśnie jego popularyzowanie historii nauki o kosmosie jest interesujące i pożyteczne. Wiadomości, jakie podaje o życiu i koncepcjach o kosmosie filozofów starożytności i — po długiej nocy — Kopernika, Tycho Brahe, Keplera i Galileusza — są żywe, interesujące, inteligentnie przedstawione. Na tle życia i pracy tych wielkich odkrywców Koestler poucza nas ustawicznie, że — wbrew popularnemu wierzeniu — natura (i wiedza o naturze) lubi skoki. Postęp wiedzy — twierdzi Koestler — odbywa się skokami, przedzielonymi zbieczeniami na fałszywy tor, błędzeniem w ślepych ulicach, cofaniem się wstecz. Ponadto historia koncepcyj i doktryn naukowych pełna jest mutacji, które na pozór nie służą żadnemu celowi, które można by na pierwszy rzut oka wziąć za zabawę, grę, kaprys. Tak na przykład wartość praktyczna geometrii nieeuklidowskich ujawniła się dopiero w wiele wieków po ich odkryciu. Z drugiej strony istnieją dziedziny wiedzy, które spełniły już przed wiekami swe funkcje i nie służą dziś na nic. W nowoczesnej nauce pełno jest ślepych kiszek i szczytkowych ogonów.

Zawsze trzeba się liczyć z jednym warunkiem koniecznym dla zaistnienia i zaakceptowania jakiegoś odkrycia. Warunek ten można by określić jako „dojrzałość epoki”. Czy dana gałąź wiedzy jest „dojrzała” do decydującej zmiany zależy nie tylko od rozwoju tej gałęzi wiedzy ale od „klimatu” epoki. Klimat filozoficzny Grecji zdusił w zarodku ideę heliocentryzmu. W klimacie średniowiecza astronomia nie mogła uczynić nic lepszego niż bawić się spokojnie w swe nieprawdopodobne epicykle. Jeśli natomiast XVII w. był „dojrzały” dla Newtona, a XX dla Einsteina, przyczyny tego należy szukać w atmosferze epoki, będącej rezultatem wszystkich ludzkich aktywności — organizacji społecznej, wierzeń religijnych, sztuki, mody...

Wywody Koestlera ukazujące wielorakość powodów, różnorodność zjawisk „odpowiedzialnych” za stan wiedzy w danym okresie są barwne i przekonujące. Są one niejako przeniesieniem w dziedzinę historii wiedzy ściślej socjologicznej tezy Pareto o „złudzie jednej przyczyny”: zawsze jesteśmy skłonni do dopatrywania się jednej przyczyny zjawisk — i zawsze się mylimy.

Najmniej przekonujący jest Koestler tam gdzie zabiera się do zbawiania świata, co stanowi zresztą główną *raison d'être* jego książki. Zdaniem jego od wieków wszelkie zło na tym świecie spowodowane jest rozszczepieniem między nauką a religią. Tu, jak się zdaje, Koestler sam padł ofiarą „złudy jednej przyczyny”.

Historia świata — wywodzi Koestler — to historia rozdzielania i połączenia religii i wiedzy. U początku tej wielkiej podróży religia i wiedza były połączone. Religia, prócz tego że dawała sens i wartość wiedzy, użyczała jej swej techniki intutywnej — środka poznania, który Koestler nazywa „mistycznym krótkim spięciem”. Współdziałanie między wiedzą a religią jest konieczne ponieważ dla istnienia obu konieczna jest ta sama dwoistość metody: rozumowanie i intuicja. Prorocy i wynalazcy, uczeni i poeci — wszyscy oni są „amfibijni”, wszyscy oni mogą żyć zarówno na zaoranych polach jak i w toni bezbrzeżnych oceanów.

Dlatego to w zaraniu cywilizacji nie było rozdziału funkcji między prorokami i uczonymi. Kapłani byli pierwszymi astronomami, szamani byli jednocześnie prorokami i lekarzami; technika polowania, rybołówstwa, siewu i żniwa połączona jest z magią i religijnym rytuałem.

Jest więc niebezpiecznym błędem utożsamiać religię jedynie z intuicją i emocją, wiedzę — jedynie z logiką i racjonalizmem. Ludzkość od wieków prawie nieustannie popelnia ten błąd i separuje religię i wiedzę. Po raz pierwszy w czasach historycznych separacja zaistniała między religią Olimpu a filozofią jońską. Pełen oglądy i subtelności ateizm joński zmierzył się zwycięsko ze zdegenerowaną, upaństwowioną religią; stąd utrata „sumienia kosmicznego”. (Koestler często operuje tym mętnym pojęciem „sumienia kosmicznego — *conscience cosmique*”).

Pythagoras na nowo doprowadził do syntezy religii i wiedzy. Nawiasem mówiąc, słowo „synteza” jest kluczowe dla wywodów Koestlera. Używa go on w znaczeniu hegeliańsko-marxistowskim w odniesieniu do pojęć które *per se* są niemożliwe do wyrażenia w dialektyce. Nauka Pythagorasa jak, według Koestlera, wszystkie inne odkrycia naukowe, była możliwa wtedy dopiero gdy „czas do tego dojrzał”. Koestler niejasno tłumaczy na czym tu polegała „dojrzałość czasu”. Wywodzi on, że synteza Pythagorasa stała się możliwa gdy „sztywna struktura teologiczna runęła w gruzy przy zetknięciu się z renesansem mistycznym”.

Synteza trwała niedługo.

Powtórzyła się ona raz jeszcze w analogicznych rzekomo warunkach, gdy w XVI wieku kryzys religijny znów wstrząsnął „sztywną strukturą teologiczną” i po odkryciu Kopernika pozwilił Keplerowi zbudować swoją znowu „syntetyczną” — koncepcję wszechświata. Ta synteza była zupełnie efemeryczna.

Nowoczesny człowiek cierpi na skutek konfliktu między religią a wiedzą, którego pierwszym przejawem był „skandal Galileusza”. Zdaniem Koestlera „skandal” nie był nieunikniony. Trudno polemizować na temat, co by być mogło; trudno jednak również być przekonanym że Koestler ma rację gdy wywodzi, że świat byłby harmonijny i piękny, gdyby kościół katolicki przyjął naukę Kopernika — „łęklivego kanonika” — jak go nazywa Koestler — o 200 lat wcześniej niż to uczynił. Koestler przeczy sam sobie: raz pisze, że wystarczyło zmienić politykę kościelną by dzieje myśli i ducha ludzkiego potoczyły się inaczej, gdzie indziej widzi dużo głębsze przyczyny konfliktu. W brutalnym skrócie można by je streścić następująco: Kepler (i po nim Kartezjusz) znaleźli harmonię w tym, że „cała natura i niebiosa są symbolizowane przez sztukę geometrii”. Harmonia została zmacona gdy geometrzy doszli do wniosku, że „Bóg może stworzyć ośia o trzech ogonach, ale nie może stworzyć trójkąta o czterech bokach”. Bóg nie mógł się poruszać w ciasnych wymiarach nakreślonych mu przez geometrię.

Stąd wielki rozdział, który pogłębiał się bez ustanku aż, za naszych czasów, Whitehead tak określił rolę religii w cywilizacji europejskiej ostatnich stuleci:

„(Rola religii w cywilizacji europejskiej) czasem zwiększa się, czasem pomniejsza, ale w rezultacie na przestrzeni wielu pokoleń wpływ religijny na cywilizację europejską zanika. Każde kolejne zwiększenie się roli religii jest mniejsze niż poprzednie, każde kolejne pomniejszenie się roli religii jest większe niż poprzednie”.

Koestler zacytował Whiteheada jako ostateczny wyraz klęski, jaką przyniósł rozdział między nauką a religią. Teraz Koestler gubi wątek książki — tonie w morzu cytata, kolejno oplakuje benedyktynów, tomistów i jezuitów, którzy jeszcze łączyli w sobie wiarę i pęd do wiedzy i pieje hymny pochwalne na cześć

„L'uomo universale” Renesansu, w jednej osobie artysty i rzemieślnika, filozofa i wynalazcy, humanisty i fizyka, astronoma i mnicha...

I co dalej? Dla Koestlera sprawa jest prosta. Należy na nowo złączyć we wspólny strumień wiedzę i religię. Trzeba tylko wiedzieć jak. Oto koestlerowski przepis kucharski: weź szczyptę tajemnej wiedzy okultystycznej, trochę nowych uniwersyteckich eksperymentów z dziedziny percepcji pozazmysłowej, sporą garść wschodniego mistycyzmu, dużą garść strachu przed bombą wodorową (którą się to wszystko skończy, gdy nie złączy się religii z wiedzą!); trzeba jeszcze dodać inspirację mitologiczną (w sztuce) i „harmonię sferyczną” (w nauce) — i, ot, przepis gotowy.

Skąd ten koestlerowski oszałamiający chaos? Wydaje się że jednym z jego powodów jest nieporozumienie niejako semantyczne, które przebiega poprzez koestlerowskie komentarze do niezliczonych cytata z niezliczonych autorów-autorytetów. Po pierwsze Koestler identyfikuje „niematerializm” dzisiejszej fizyki z niematerializmem mistyczno-religijnym. Koestler buduje na przykład swoje wywody na rusztowaniu następującej cytaty z Bertranda Russella:

„Na ile wiemy, atom jest całkowicie złożony z promieniowań, które zeń wychodzą. Jest bezcelowe przeczyć temu i twierdzić, że promieniowania nie mogą wychodzić z niczego... Idea, że istnieje małe twarde ziarenko, które stanowi elektron lub proton, jest intruzem; (w fizyce) jest ona zaczerpnięta z naszego sensu rzeczywistości, który jest pochodnią zmysłu dotyku... Materia to tylko wygodny termin techniczny „dla określenia tego co się dzieje, gdy jej nie ma”.

Wniosek Koestlera, że owe russellovskie promieniowania są równie niematerialne i w tym samym sensie niematerialne co fale „uniwersalnego ducha”, które krążą po świecie (i zdaniem Koestlera — stanowią istotę intuicji religijnej) opiera się, jak sądzić wypada, na zidentyfikowaniu dwóch różnych znaczeń słowa „niematerialny”.

Bardziej jeszcze istotne wydaje się nieporozumienie semantyczne co do znaczenia słowa „religia”. Jeden z pionierów nowoczesnej semantyki, Edward Sapir, zwraca uwagę na wielką znaczeniową różnicę między słowami *a religion* i *religion*. *A religion* — to kościół, duchowni, rytuał, kanoniczna tradycja, święte teksty, natchnione przez Boga czy bogów, i ich usłwicono komentarze.

*Religion* — bez przedimka — to bezustanny wysiłek człowieka, by znaleźć drogę do duchowej równowagi pomimo powikłań i niebezpieczeństw życia. Ta droga nie jest drogą nauki, lecz mogą one przebiegać równolegle.

Koestler, gdy mówi o religii, ma na myśli *a religion*.

Henryk ZYLBERLAST

## Młoda starość

„My Słowianie rozwijamy się do 70-tki” — to powiedzenie Kazimierza Morawskiego, filologa, tłumacza i pisarza przytacza Stanisław Pigoń w którymś miejscu swojej nowej książki „Z ognia życia i literatury” (1). Opatruje akcentem powątpiewania jego wartość uogólniającą, ale w pięknym szkicu o Ignacym Chrzanowskim stwierdza, że tego badacza cechowała „niesłabnąca z latami świeżość i chłonność umysłowa, wciąż młodzieńcza ciekawość wszelakich jednakże dziedzin kultury duchowej a świata twórczości literackiej nade wszystko”. Ogólne stwierdzenie Morawskiego i konkretny ilustrujący je przykład Chrzanowskiego przystają ściśle — do Pigionia.

Minąwszy 70-kę, prowadzi on niezupełnie jedno z największych, jeśli nie największe dzieło edytorskie okresu powojennego: krytyczne wydanie „Pism wszystkich” Aleksandra Fredry, oparte na nowych założeniach, w wielu punktach rewelacyjne, stanowiące prawdziwy pomnik erudycji, przenikliwości krytycznej i precyzji (ukazało się dotąd dziesięć tomów zawierających wszystkie utwory komediowe i t. XI obejmujący pierwszą część twórczości poetyckiej; pozostałe tomy przyniosą resztę wierszy, prozę pamiętnikarską, publicystykę i korespondencję).

Tym się tłumaczy, że *hard core*, ośrodek nowego zbioru tworzą trzy a na dobrą sprawę siedem studiów o Fredrze. Pigoń odszukał tyle nowych materiałów, tak głęboko wszedł w temat, drażni go z taką młodzieńczą pasją, że z warsztatu edytorskiego ciągle lecą strużyny, ciągle pada od niego nowe światło. W dwóch poprzednio wydanych książkach: „Spuścizna Aleksandra Fredry” (1954), „W pracowni Aleksandra Fredry” (1956), Pigoń podważył więcej mylnych sądów, dokonał więcej odkryć, wypełnił więcej luk, niż chyba wszyscy fredrolodzy razem wzięci. „Nie tylko dorobek literacki Fredry, ale i jego osobowość odświeżają się nam coraz szczegółowiej i coraz ciekawiej”. Dzieje się to dzięki Pigionowi.

W wydanym teraz tomie znalazła się znowu garść esencjonalnych uzupełnień. Historię archiwum autorskiego Fredry, który

10 marca br. odbył się w Uniwersytecie Jagiellońskim uroczysty jubileusz prof. Stanisława Pigionia. W tym samym dniu Radio Wolna Europa nadało „sympozjon”, poświęcony jego osobie i twórczości. Wzięli w nim udział: Jan Bielatowicz, Maria Danilewiczowa, Władysław Günther i Tymon Terlecki (przewodniczący). Dołączamy się do słów uznania i życzeń złożonych z tej okazji znakomitemu uczonemu i pisarzowi. Red.

(1) Stanisław Pigoń: *Z ognia życia i literatury*. Rozprawy. Wrocław-Warszawa-Kraków, 1961. Stron 480 t. 7 ilustracji.

wyjątkowo starannie przechowywał swój dorobek, czyta się niemal jak romans kryminalny. Równie pasjonujący jest opis dwóch prawie cudem ocalałych kodeksów rękopiśmiennych. Jest to jakby wejście przez przezroczystą szybę w powszedni dzień i w mózg wielkiego komediopisarza. Notatki gospodarskie w rodzaju: „Krawcowi za 3 surduty, 3 spodnie, 3 kamizelki, 3 kamasze — 12 fl.” mieszają się w tych kodeksach z brulionami poetyckimi, „Zapiskami starucha”, fraszkami opatrzonymi surowym ostrzeżeniem: „Z rąk nie wypuszczać!”. Te źródła posłużą do opracowania końcowych tomów „Pism”, ale pozwalają Pigionowi określić czas literackiego milczenia Fredry, a nawet *stante pede* poprawić — siebie samego. Końcowym dziełem Fredry, który pisał komedie do 80-go roku życia, nie jest „Ostatnia wola” figurująca na tym miejscu jeszcze w X tomie wydania krytycznego ale utwór „Teraz”.

Trzy szkice tomu dotyczą sprawy tzw. recepcji. Pigoń jest tu pionierem i prostowaczem ścieżek. „Historia ocen komedii Fredry w krytykach teatralnych — pisze — nie została opracowana zupełnie, historia zaś ogólnej jego reputacji literackiej — bardzo dorywczo i niedokładnie”. Sam odkrywa wczesny i znamienity odzew przypisany bez pudła ni mniej ni więcej tylko Mochmackiemu oraz kilka reakcji późniejszych.

Ośrodek fredrowskiego ośrodka książki tworzy studium: „Konflikty i węzły społeczne w komediach Aleksandra Fredry”. Jest to szkycy 500 stronicowego zbioru i może jedna z najistotniejszych prac młodej starości Pigionia. Bada on tutaj „filozofię społeczną, którą żył Fredro-komediopisarz” nie w sformułowaniach publicystycznych, ale „w głębokich złożach duchowości, w najwewnętrzniejszej miarzędze podnieć twórczych, w tym co stanowi fundament odrębności, co wyrasta z podglebia samoistności a kryje się w samej tkance dzieła, w rdzennej jego substancji”. Jest to jakby lekcja poglądowa udzielona prymitywistom marksistowskim. Przeciwnie niż oni, Pigoń nie posługuje się sloganami i gotowymi formułami, nie wtlacza zjawiska historycznego w ramy sztywnej doktryny. Nie „ustawia” go, ale rozpoznaje. W świetle jego uwag Fredro, galicyjski hrabia, „etnograf i etnolog stanu szlacheckiego”, ukazuje się jako wróg arystokracji, jako konserwatysta przy całej swojej zachowawczości życzliwie otwarty na „pogranicze” szlachecko-mieszczańskie, a nawet szlachecko-chłopskie. Ostatnią, niespodzianą tezę formułuje Pigoń ostrożnie, ale przez to tym bardziej przekonująco.

Od fredrowskiego centrum książki otwierają się dwie perspektywy: jedna wstecz, druga w przód. Pierwsza sięga do XVII wieku, progiem drugiej jest literatura współczesna.

Analizą jednocześnie bardzo rozważną i przenikliwą wydobywa Pigoń na jaw osobowość XVII-wiecznego satyryka Jana Jurkowskiego i wpisuje go w ciąg mesjanistów polskich. Trzy inne szkice wzbogacają historię naszego dramatu i teatru. Wśród tych zdobyczy jest niebiały utwór, który powstał w ormiańskim

seminarium duchownym we Lwowie na schyłku panowania Jana Kazimierza. Obok niego staje dramaturg-pisarz, ks. Piotr Krasuski, dla kolegium w Podolińcu na Spiszu tłumaczący a właściwie przetwarzający ze swadą, fugą liryczną, patetycznym uniesieniem francuskie dramaty jezuickie. Frapujące jest ukazanie jak XVI-wieczne misterium pasyjne „Historia o Chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim”, przetwarzano się i „rozkrzewiało” w ciągu stuleci, w drugiej połowie ub. wieku ze scen ludowych zawędrowało do rąk prostej kobiety i pełniło rolę... modlitewnika. Pigoń wie, że ten odwieczny tekst posłużył Leonowi Schillerowi do stworzenia jednego z najbardziej znamienitych i przełomowych dzieł przygotowujących okres inscenizacji wielkich dramatów romantycznych — „Misterium Wielkanocnego”. Rzeczywiście — mówiąc słowami autora „Z ogniw życia i literatury” — „legat przeszłości doszedł żywy do naszych dni”. Nawet z rozbioru geologicznej rozprawy Staszica o „ziemiórództwie gór” umie on wydobyć akcent życia przez zestawienie jej z „Wisłą” Żeromskiego, przez ujawnienie ukrytych w niej intencji patriotycznych.

Równie bogata, jeśli nie jeszcze bogatsza jest perspektywa otwarta w przeciwnym kierunku, w naszą stronę. Zjawia się w tej perspektywie jak przybysz z zaświata „brat anielski”, do którego Słowacki mistyk i towiańczyk zaadresował swój poetycki „List do J. N. Rembowskiemu”. Bez Pigionia, bez jego poszukiwań ten adresat pozostałby tylko imieniem bez treści; dzięki niemu objawia się jako „indywidualność rzeczywiście niepospolita, entuzjasta o duszy zapalnej, zdolnej do porywów i czynów heroicznych”. Zarówno ta rozprawa jak następna o Goszczyńskim i jego rozejściu się z towiańczykami opiera się na materiałach, które przepadły w ostatnim kataklizmie wojennym.

Ze szkiców o tematach bliskich nam czasowo wybijają się na czoło przede wszystkim dwa — o Żeromskim i Kossak-Szczuckiej. Mają one całkiem odmienne założenia i otwierają odmienne perspektywy.

Szkic poświęcony Żeromskiemu jest analizą stylistyczną fragmentu „Popiołów” i fragmentu „Przedwiośnia” (tzw. „Ballady o posterunkowym”) — dwóch utworów stojących na krańcach jego twórczości. Opierając się na rękopisach ocalonych przez córkę pisarza, Pigoń bada styl tych fragmentów „w aspekcie genezyjskim”, *in statu nascendi*, w toku powstania. Prace tego rodzaju bywają najbardziej niestrawne dla profanów, ale Pigionowi udało się ze swoich rozważań zrobić lekturę bez przesady pasjonującą. Wprowadził prosty i sugestywny sposób odtworzenia w druku zmian stylistycznych tekstu rodzącego się pod piórem pisarza: skreśleń, poprawek, dopisków itd. Z jasnością, precyzją i jakby poczuciem dramatyczności odsłonił proces pisania, „rzeźbę wyrazu”, sekrety pracowni pisarskiej. Jest to znowu — jak w przypadku recepcji Fredry — tylko „osłonięty wypad rozpoznawczy”, ale otwierający rozległe wi-

doki na twórczość Żeromskiego, na twórczość literacką w ogóle.

Rzecz o „Sukni Dejaniry” Kossak-Szczuckiej stanowi imponujący erudycją wywód genealogiczny wątku tej powieści. Wprowadza on w mechanizm literatury nie jako działania jednostkowego ale przebiegu historycznego. Czytelnik widzi tu rozstęp między ograniczoną, błakającą się świadomością twórcy, a pełną, jasnowidzącą świadomością badacza, powieściopisarza historycznego i historyka. Jest to studium na inny sposób instruktywne i pouczające.

Ale to wszystko — zjawiska i wydarzenia z czterech stuleci, blisko dwa dziesiątki rozmaitych osobowości pisarskich, odkrycia, sprostowania i rozszerzenia pola, wskazanie nowych kierunków — nie wyczerpuje zawartości książki „Z ogniw życia i literatury”. Jej tytuł jest może przeciętny, trudny do cytowania, ale nie jest arbitralny. Wyraża zamiysł kompozycyjny i kryjący się za nim, głębszy motyw. Ten zbiór z kośćcem, który stanowią studia fredrowskie, z dwoma symetrycznymi skrzydłami, ma jeszcze klamry zamykające: dedykację i „przypisek do dedykacji”.

Dedykacja napisana klasyczną łaciną zwraca się do uniwersytetu Jagiellońskiego, którego Pigoń jest uczniem, doktorem i profesorem. „Przypisek” do niej jest mową wygłoszoną w „20-lecie skrytobójczego zamachu na Uniwersytet Jagielloński”, wywiezienia przez Gestapo do Sachsenhausen 200 profesorów tej uczelni i innych szkół wyższych w Krakowie. Pigoń był wśród nich, ale nie mówi o sobie, ledwie kilka razy używa pierwszej osoby liczby mnogiej. Mówi o „fakcie ludobójstwa uczonych” i rozważa implikacje tego faktu. „To uczeni uczonym zorganizowali taką potworność zagłady” — stwierdza odważnie i widzi w tym „zdiablenie” człowieka. Ale dostrzega również zjawisko przeciwważące: „W obozie, właśnie w najciemniejszym tle jego poniżeń, tym jaśniej wyblyskiwały światła moralnego wywyższenia istoty ludzkiej i światła wielko-duszości”. To świadectwo, działalność jego macierzystej szkoły i jego własna praca, jest dla Pigionia spełnieniem testamentowego nakazu Stanisława Estreichera: „Nie pozwólcie zmarnować naszych śmierci!”.

W ten tok wchodzi wspomnienie o Chrzanowskim, który był jedną z 19 śmiertelnych ofiar Sachsenhausen i inna uczona, pisarsko piękna mowa akademicka w 50-lecie zgonu Wyspiańskiego, którego Pigoń nazywa „śpiewakiem wielkości narodu”.

Tak w tej książce przeplata się życie i literatura, przeszłość i terażniejszość, twórczość i poznanie. Tak ten młody starzec, świetny uczyony i świetny pisarz, ukazuje się jako ktoś ogarniający przywiązaniem i trudem badawczym cały obszar naszej kultury. Składa dowód, że nie można oddzielić literatury od

życia, nie można ogarnąć pełni życia, zgruntować jego dna bez literatury, bez tego co w literaturze znajduje swój kształt i wyraz.

Tymon TERLECKI

## Nadesłane nowości wydawnicze

- BERNANOS (Georges). *Dialogi Karmelitanek*. Przełożyła Maria Wierzbicka. Str. 177 i 9 nlb. T. LV serii czerwonej „Biblioteki Polskiej” (Wyd. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, grudzień 1961, cena 17/6, dol. 2,90).
- STANKIEWICZ (W.J.). *Politics and Religion in seventeenth-Century, France. A Study of Political Ideas from the Monarchomachs to Bayle, as Reflected in the Toleration Controversy* Str. 269 i 7 nlb. (Ed. University of California Press, Berkeley and Los Angeles 1960, cena dol. 6,-).
- KUKIEL (Marian). *Dzieje Polski porobiorowe 1795-1921*. Str. 663 i XI. (Wyd. B. Swiderski, Londyn, 1961, cena 48/- lub 7 dol.).
- SHEVCHENKO (Taras). *Poems*. Str. 116. (Ed. Molode Zytia Munich, 1961).
- BIELATOWICZ (Jan). *Książeczka*. Str. 235 i 5 nlb. T. LVI serii czerwonej „Biblioteki Polskiej”. (Wyd. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, styczeń 1962, cena 17/6 lub dol. 2,90).
- UZIEMBŁO (Adam). *Rytm i melodyka Beniowskięgo*. Str. 315 i 5 nlb. (Nakładem Twa Historyczno-Literackiego, Paryż, 1961).
- SZYMONOWICZ (Szymon). *Aelinopean*. Przełożył Wiesław Strzałkowski. Str. 57 i 5 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1962).
- Kalendarz Polonii Kanadyjskiej*. Str. 160. (Wyd. Tygodnik „Czas” w Kanadzie, Winnipeg, 1962, cena dol. 1).
- Księga Pamiątkowa ku czci Stanisława Piętonia*. Wydana staraniem Komisji Historyczno-literackiej Krakowskiego Oddziału Polskiej Akademii Nauk. Str. 594 i 4 nlb., Kraków, 1961, cena 125 zł.).
- FEIERABEND (Ladislav K. dr). *Ve vladach Druhe republiky*. Str. 202 i 6 nlb. (Wyd. Universum Press, New York, 1961, cena dol. 2,50).
- Geschichtsbewusstsein in Ostmitteleuropa*. Str. 149 i 1 nlb. (Wyd. N.G. Elwert-Verlag. Marburg/Lahn, 1961, cena DM 12,60).
- MAASS (Johannes). *Dokumentation der deutsch-polnischen Beziehungen 1945-1959*. Str. 263 i 1 nlb. (Wyd. Siegler et Co. K.G. Verlag für Zeitarhive, Bonn-Wien-Zürich, 1960).
- KOZAK (Jan) *Zneuziti parlamentu k zniceni demokracie*. Str. 43. (Ed. Neodvosle Informacni Stredisco — I.I.C., Londyn, 1961).
- DANILEWICZ (Maria J.). *Literature*. Str. 506-536. (Odbitka z tomu XXII (1960) „The Year's Work in Modern Studies, 1961).

## Listy do Redakcji

Londyn, 13 marca 1961.

Szanowny Panie Redaktorze!

Anons w marcowej „Kulturze” o przedłużeniu terminów zamknięcia dwóch konkursów literackich jest dla mnie tą ostateczną prowokacją, na którą muszę zareagować.

Imprezy tego typu polegają na zasadniczym i przykrym nieporozumieniu, zakładają bowiem, że na emigracji istnieje legion potencjalnych pisarzy, których dopiero oferta iluś tam pesów nakłoni do ujawnienia się. Oczywiście rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej: pisuje garstka pisarzy z prawdziwego zdarzenia (powiedzmy optymistycznie trzydziestu), pewna ilość mniej lub bardziej uzdolnionych felietonistów oraz morze grafomanów. Żaden konkurs sytuacji tej nie zmienia.

Wolno wnioskować, że organizatorom konkursów zależy na poparciu tej skromnej zdolnej mniejszości, a tymczasem korzystają na tym różne miernoty wyćwiczone w wypełnianiu odpowiedniej ilości kartek (maksimum 20) formatu handlowego atrakcyjnie zaprezentowanym pustostłowiem (na dowolny temat). *Vide* wyniki konkursów „Wiadomości”.

Jeżeli panowie w Australii chcą mieć szkice literackie, cóż prostszego, jak zwrócić się z odpowiednią prośbą do (powiedzmy) Brzękowskiego czy Grudzińskiego? Ludzi potrafiących pisać te rzeczy na odpowiednim poziomie można policzyć na palcach jednej ręki, po co więc organizować plebiscyt, w którym Brzękowski i Grudziński udziału prawdopodobnie nie wezmą, a nagroda przypadnie p. Mściśławowi Gruszcze (godło „Per ardua”) z Montevideo, o którym ani przedtem nie słyszeliśmy ani w przyszłości słyszeć nie będziemy?

Zamiast przedzierać się przez sterty elaboratów z datą stempla pocztowego, czy nie lepiej zwrócić się od (na przykład) Czuchnowskiego, Lipskiego, Pankowskiego, Sambora, czy (z młodszych) Darowskiego i Buszy, z propozycją wydania im książki? Wówczas ambicjom mecenasowskim stanie się zadość i pisarze, którzy mają już coś wartościowego na swoim koncie uzyskają tak im potrzebne poparcie.

Będąc pod wrażeniem świetnego artykułu Darowskiego w lutowych „Kontynentach” broniącego grafomanów, gotów jestem uznać ich rolę społeczną, ale podobnie jak Darowski uważam, że nie należy zachęcać ich, by produkowali ponad stan.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

Adam CZERNIAWSKI

Londyn, 15.3.1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W liście zamieszczonym w marcowym zeszytzie „Kultury”, 3/173, p. Adam Dąbrowa, przewodniczący Komitetu Wykonawczego Stowarzyszenia Lotników Polskich, zarzucił mi niezgodne z prawdą przedstawienie sprawy oficera który sprzeniewierzył pieniądze służbowe uzasadniając ten zarzut oświadczeniem, że wymieniony nie jest członkiem S.L.P. od czasu wyjazdu z Anglii do Argentyny, tj. od grudnia 1948 r., ja natomiast w „Konspiracjach” napisałem, że „jest członkiem”.

Sprawa nie jest tak prosta. Po pierwsze, Statut S.L.P. nie przewiduje automatycznej utraty członkostwa wskutek wyjazdu z Anglii; bez względu na to czy ktoś wyjechał do Francji, Kanady czy Argentyny, pozostaje nadal członkiem, zgłaszając się po prostu w lokalnym kole S.L.P. Po drugie Stowarzyszenie Lotników nigdy oficjalnie ani poufnie nie podało nikomu do wiadomości skreślenia winowajcy z listy członków S.L.P. względnie jego rezygnacji — dobrowolnej czy wymuszonej — z członkostwa. Byłem członkiem S.L.P. do 1956 r. i nie słyszałem nic o tym. Nie miałem więc podstaw do przypuszczania, że ów pan nie jest już członkiem, natomiast miałem informacje o jego bytności na zebraniu koła S.L.P. w Argentynie.

Przyznaję, że nie mając nawet pewności czy wspomniany pan jeszcze żyje, a tym bardziej czy jest czynnym członkiem S.L.P., użyłem nierozważnie czasu teraźniejszego zamiast czasu przeszłego.

Niemniej fakty pozostają w mocy tak jak je przedstawiłem: w czasie popełnienia nieuczciwości wymieniony pan był członkiem Samopomocy Lotniczej, zasiadał nawet we władzach, a Komitet Wykonawczy nie spowodował jego skreślenia z listy członków, względnie otoczył całą sprawę tajemnicą czy źle rozumianą dyskrecją.

To właśnie postępowanie spowodowało poruszenie tej sprawy w związku z tajnymi organizacjami w lotnictwie. Oświadczenie p. A. Dąbrowy w imieniu S.L.P. stwierdzające, że czarna owca nie jest członkiem Stowarzyszenia, jest bardzo chwalebnie, ale niestety spóźnione o trzynaście lat. Gdyby ukazało się w jakiegokolwiek formie w 1949 roku, nie byłbym mimowolnie wyrządził Stowarzyszeniu Lotników przykrości w 1961 roku. Uznając jednak częściową własną winę, wyrażam szczerze ubolewanie i przepraszam.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

F. KALINOWSKI

Paryż 13. marca 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 3/173 „Kultury” ukazał się mój „List do Redaktora Kultury”. Ze zdziwieniem jednak stwierdziłem, że w tymże numerze o kilkadziesiąt stron wcześniej zamieszczony został szkic „Wizyta u Luboniów”, p. Juliusza Mieroszewskiego, w którym mimo jego mętności i quasi literackiej symboliczności dopatrzyłem się polemiki właśnie z tymże moim listem.

Obyczaj zamieszczania antytezy polemicznej zanim jeszcze czytelnik zdążył wyrobić sobie stanowisko co do samej tezy dosyć mnie zaskoczył. Po namyśle przyjąłem rzecz na swoje dobro: widocznie tezy moje dosyć

były silne, skoro Redaktor „Kultury” przedsięwziął z punktu tak niezwykle środki ostrożności (polemika z moim listem zawarta jest również w kronice Londyńczyka).

Jeśli chodzi o meritum sprawy, to nie widzę tu niestety materiału do poważniejszej dyskusji. „Wizyta u Luboniów” to coś w rodzaju pamfletu czy paszkwilu. P. Mieroszewski obficie skorzystał z przywilejów tej formy literackiej, która pozwoliła mu pominąć wszelkie elementy niewygodne, pominąć ogólne tło wydarzeń, pominąć przeszłość ludzi i spraw, o których pisze, wykrzywić i zdeformować całokształt obrazu. Powstała z tego przedziwna mieszanina demagogii, minoderii, zarozumiałstwa, hysterii i niewiedzy, nie mająca jako żywo nie wspólnego z dzisiejszą Polską i jej problematyką, ze skromną osobą niżej podpisanego ani z żadnym w ogóle konkretem. Chcąc coś sensownego napisać o życiu 30 milionowego kraju, w którym nie było się lat dwadzieścia parę, trzeba jednak znać coś więcej niż ploteczki z życia „wyższych 10 tysięcy”. Kawiarniani bohaterowie z epoki Chruszczowa nie są bynajmniej dobrymi przewodnikami po krainie pojęć epoki Stalina. A „dygnitarzami” to my z Zawieyskim naprawdę, Drogi Panie, nie jesteśmy (uśmiełem się z tego określenia tęgo) — po prostu, mając na losy kraju wpływ nie wielki, a na metodę rządzenia prawie — poza perswazją — żaden, poczuwamy się jednak, w przeciwieństwie do Londyńczyka, do współodpowiedzialności za przyszłość. Oto i wszystko. Pojąć trudno, dlaczego p. Mieroszewski tak się tym irytuje, dlaczego tak bardzo gniewa go czyjś pogląd odmienny od jego własnego. Czyż wieloletnie przebywanie w kolebce liberalizmu jakim jest Londyn, nie nauczyło go dotąd tolerancji i szacunku dla cudzych przekonań? Byłoby to nader smutne: a więc liberalizm zmarł nie tylko na Wschodzie, lecz i na Zachodzie?

Jakim cudem rozsądny i często bystry jeśli chodzi o sprawy międzynarodowe publicysta, pisząc o sprawach polskich staje się niepoważnym bajczarzem, najwnie „kupującym” każdą plotkę? Myślę, że to sprawa oddalenia, permanentnej niewiedzy i dezinformacji. W noweli Conrada „Uśmiech szczęścia” występuje dziewczyna, która mieszkając na Malajach skazana jest na lekturę jednej jedynej miejscowej gazety. Gazeta ta w przeważającej części zapełniona jest przedrukowaną z londyńskich pism kroniką wypadków, włamań i kradzieży. Dziewczyna, która nigdy nie była w Europie urabia sobie pogląd, że ta zacna część świata to jedna nieustająca mordownia, istne „dzikie pola”, wobec czego drży ze strachu (dziewczyna) na widok jakiegokolwiek Europejczyka, żyje w psychozie lęku i dziwacznych omamień.

Ta dziewczyna to właśnie Juliusz Mieroszewski. Proponuję jej (a raczej Mu), aby póki jeszcze nie wszystko stracone, wybrała się do kraju swej młodości celem osobistego zweryfikowania prawdy. A na polemikę przed dokonaniem tej weryfikacji nie reflektuję. Dyskusje ze ślepyimi na temat kolorów nigdy nie były moją pasją.

Łączę serdeczne pozdrowienia spod wieży Eiffla.

Stefan KISIELEWSKI

Londyn, 12 marca 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W swojej recenzji z t. I. „Documents on Polish-Soviet Relations” („Kultura” nr 3/173) prof. Wiktor Sukiennicki poddaje krytyce klauzulę

układu polsko-sowieckiego o „udzieleniu amnestii wszystkim obywatelom polskim, pozbawionym obecnie wolności na terytorium ZSSR, bądź to jako jeńcy wojenni lub na innych dostatecznych podstawach”. Czyny zarzut z zastosowania pojęcia amnestii do jeńców wojennych, którzy „nigdy nie byli uważani za przestępców, którym by należało udzielać amnestii”. Ależ tekst mówi wyraźnie o *pozbawionych wolności* jeńcach i nie jeńcach (zatem i o tych których uwięziono w Polsce czy na wygnaniu). Sprawę jeńców nie pozbawionych wolności w sensie aresztowania, a trzymanych w obozach jenieckich, załatwiał automatycznie artykuł o tworzeniu armii polskiej.

P. Sukiennicki sądzi, że „ów dokładnie w prawie karnym zdefiniowany termin „amnestia” logicznie implikuje „przyznanie władzom sowieckim prawa *kaznit ili miłovat* polskich przestępców — jeńców wojennych”. Z tak przewrotną interpretacją słowa „amnestia” nie wystąpiły nigdy władze sowieckie w czasie zawziętych targów o ludzi, których nasza ambasada, na zasadzie tej właśnie zgubnej rzekomo klauzuli układu i wydanego w jej myśl dekretu Najwyższego Sowietu wydzierala z więzień, izolatorów, łagrów. Dalszy więc wywód jak to klauzula o amnestii przyznawała prawo do traktowania polskich jeńców jako przestępców, i to z aluzją do Katynia, jest osobliwością nie mającą nic wspólnego ani z wydawnictwem źródeł, ani z analizą naukową tekstów.

Prof. Sukiennicki jest w błędzie co do znaczenia słowa amnestia. Szkoda że bodaj do encyklopedii nie zajrzał. Choćby do „Britannica”. Jest to „akt łaski przez który naczelna władza w państwie przywraca tych, którzy mogli być winni pewnych przestępstw *przeciw niemu* do stanu osób niewinnych. Mieści się w niej więcej niż przebaczenie, gdyż zmazuje ona wszelkie ślady przestępstwa”. Nadto zaś, jak precyzuje „Larousse du XIX<sup>e</sup> siècle”: „Amnestia w prawie międzynarodowym polega na wyrażeniu się, wyrażonym zazwyczaj w traktacie pokojowym, wszelkich pretensji co do czynów dokonanych przez mieszkańców krajów okupowanych *przeciw najezdnikowi*”. A w wielkim „Wörterbuch des Völkerrechts und der Diplomatie” K. Struppa (Berlin i Lipsk, 1924) jest dokładna analiza pojęcia amnestii w sensie prawa międzynarodowego. Przytoczono tu kilkanaście traktatów z tą klauzulą; z nich najbardziej zbieżne z naszym wypadkiem są traktaty w Villa Franca i Zürichu (1859), w Pradze (1866), w Konstantynopolu (1897 i 1913) i w Atenach (1913) oraz układy między mocarstwami centralnymi a Sowietami i Rumunią (1918). „Wörterbuch” stwierdza z ubolewaniem, że nie było w traktacie wersalskim klauzuli amnestyjnej dla zwyciężonych Niemiec; żałuje że nie stanowi ona normy ogólnej ale *lex contractus* — musi być zatem mowa o niej w układzie.

Polska i Sowiety miały już w tej sprawie nielada precedens. Gdyby p. Sukiennicki zamiast wypominać nam żeśmy dali z traktatu ryskiego tylko wyciągi i bez podpisów, spojrzal na to cośmy dali, znalazłby Artykuł X o „pełnej amnestii za zbrodnie i przestępstwa polityczne”, przez które „rozumie się czyny skierowane przeciwko ustrojowi lub bezpieczeństwu państwa, jako też wszelkie czyny, popełnione na korzyść strony drugiej”. Nie chce przytaczać dalszych punktów: znaczenie i konsekwencje amnestii wyłożono tam dobitnie, łopatą w głowę, by najępszy czy najzłośliwszy wykonawca nie mógł podnosić wątpliwości.

Był też precedens wcześniejszy o lat sto. W traktacie wiedeńskim z 3 maja 1815, dotyczącym się Polski, art. VI brzmi: „Będzie udzielona amnestia zupełna, powszechna i osobista osobom wszelkiego stanu, płci i kondycji”. Słowem całemu narodowi polskiemu za wszystko co narobił w ciągu 20 lat przeciw trzem mocarstwom rozbiorowym. Naród się wtedy nie pogniwał, ani nie przestraszył. Z ulgą niejaką odsapnął.

Jeśli Stalin Crippsowi zaproponował formułę zapowiedzi amnestii w jawnym układzie zamiast przewidywanego tajnego punktu układu, zostawiającego zwolnienie pozbawionych wolności osobnej umowie po przywróceniu stosunków dyplomatycznych, to salwował tym wprawdzie sowiecką „praworządność” i obyczaj międzynarodowy, ale zarazem dawał zwolnionym formalną przynajmniej gwarancję, że po kilku dniach czy tygodniach nie wznowią przeciw nim dochodzeń o te same prawdziwe czy rzekome „zbrodnie czy przestępstwa” przez działanie kiedyś przeciw Sowietom.

Przytoczona w przypisie nr 109 nota Arleta wyraźnie stwierdza, że Cripps przyjął formułę amnestii w przekonaniu że przy formule „zwolnienia” nigdy nie osiągnie się by było ono zupełnym i powszechnym i że zgoda na amnestię była ustępstwem Stalina.

Nic dziwnego, że strona polska nie podniosła zastrzeżeń i nie znalazła w tym „złowieszczej prognozy”, ale ocalenie dla dziesiątek tysięcy ludzi. I dlatego Sikorski się śpieszył z podpisaniem układu.

M. KUKIEL

Monachium, dn. 13 marca 1962

Szanowny Panie Redaktorze!

Stefan Kisielewski w „Liście do Redaktora Kultury” (numer marcowy) zarzuca Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, że dopuszcza się „mnóstwa szkolnych błędów” wskutek „nieznajomości polskich spraw z osobistej obserwacji”. Wydaje się jednak, że felietonista „Tygodnika Powszechnego” popada w sprzeczność z samym sobą. Niemal jednym tchem pisze bowiem dalej, że „włos mu się jeży na głowie” na myśl o „skutkach społeczno-psychologicznych” naszych audycji, które są jego zdaniem oplakane. Trudno uwierzyć, aby rozgłośnia dopuszczająca się co krok jaskrawych, obiektywnych błędów, mogła wywierać jakkolwiek wpływ — ujemny czy dodatni. Należałoby raczej przypuszczać, że ludzie dawno przestali jej słuchać zdejmując w ten sposób Kisielewskiemu troskę z głowy.

Kisielewski odmawia zresztą nie tylko „Kulturze” i Radiu Wolna Europa, ale w ogólności „kibicom zagranicznym” — tak cudzoziemcom jak i Polakom — prawa komentowania sytuacji i przemian w Polsce. Z tego co pisze zdawałoby się wynikać, że mogą to czynić tylko ludzie przebywający na miejscu, w Polsce, na podstawie bezpośrednich obserwacji.

Czy mogą? Niestety Kisielewski i w tym wypadku przeczy samemu sobie, skoro równocześnie stara się uzasadnić istnienie w Polsce cenzury. Nie co innego jak właśnie cenzura stanowi z naszego punktu widzenia główną rację bytu radiostacji zagranicznych. Są one konieczną, chociaż z natury rzeczy, niedoskonałą i niewystarczającą namiastką wolnej i niezależnej prasy, która nie może ukazywać się w kraju. Gdyby „Wolna Europa” nie nadawała od świtu do nocy, zarówno oficjalna propaganda jak i cenzura miałyby daleko większą swobodę w ukrywaniu lub fałszowaniu faktów. Natomiast w obecnej sytuacji jedynym nieuniknionym skutkiem zaostrenia cenzury musi być wzrost liczby słuchaczy radia zachodniego. Można by więc przyznać słusność Kisielewskiemu tylko wtedy,



gdyby w Polsce pojawiło się choćby jedno pismo nie podlegające cenzurze albo ograniczeniom w przydziale papieru. Losy i ewolucja „Tygodnika Powszechnego” niestety nie roją pod tym względem najlepszych nadziei.

Nie było jeszcze takiej autokratycznej władzy na świecie, która nie uznawałaby wszelkiej opozycji i krytyki, wykraczającej poza ramy „dzwolone” za rzecz szkodliwą. Cenzurę stosowano zawsze w imię „racji stanu”, by zapobiec temu, co Kisielewski nazywa negacją, szerzeniem niewiary, nieufności i podejrzeń w stosunku do rządzących. Rzecz jasna, że każdą krytykę można z łatwością podciągnąć pod jedno z tych określeń.

„Moim zdaniem 'Wolnej Europie' bardzo przydałby się stały i jawny przedstawiciel Warszawy” — pisze Kisielewski. Przydałby się na pewno. Tylko że propozycja Kisielewskiego zakrawa na ponury żart, jeśli zważyć, że została wysunięta prawie bezpośrednio po wydaleniu z Polski piątego z kolei zachodniego korespondenta i po uwięzieniu Anny Rudzińskiej, za to, że chciała przetłumaczyć książkę naukową przygotowywaną do druku przez „Kulturę”.

Pisze Kisielewski, że historii „nie robi się gadaniem”. Komuniści są widać nieco innego zdania, skoro tyle olbrzymiego wysiłku wkładają właśnie w „gadanie”, czyli w propagandę, która ma kształtować „świadomość socjalistyczną”. Jeśli te wysiłki jak dotychczas spełzyły w Polsce na niczym, to chyba w pewnej mierze dlatego, że partii nie udało się odizolować społeczeństwa od wpływów zewnętrznych, tak jak to się stało w Rosji w latach międzywojennych.

Kisielewski usiłuje przekonać emigrację, że wszelkie próby oddziaływania na kraj z zagranicy są błędne i szkodliwe. Dopóki jednak faktyczny monopol informacji i propagandy znajduje się w rękach partii, musimy nadal łamać go wszelkimi dostępnymi środkami. Radio stanowi oczywiście tylko jeden z tych dostępnych środków. Korzystamy w tym zakresie z pomocy obcych — jeśli o naszą rozgłośnię chodzi, z pomocy Amerykanów — pomimo wielu dzielących nas różnic. Niebezpieczeństwa, o których pisze Kisiel, są z pewnością realne i nikt z nas ich nie lekceważy. Nikt rozsądny nie będzie też namawiał społeczeństwa do wystąpień, które byłyby prowokacją wobec tzw. „sojusznika”. Natomiast publicysta, który każdą formę oporu, każde dążenie do rozszerzenia marginesu wolności przedstawia jako śmiertelne niebezpieczeństwo, grożące Polsce nowym rozbiorem — staje się instrumentem szantażu wobec własnego społeczeństwa. Szantażu, który z pewnością nie służy polskiemu interesom narodowym.

Rzecz dziwna. Kisielewski ma nad nami tę przewagę, że znajduje się na miejscu w Polsce i korzysta z możliwości bezpośredniej obserwacji. Czyżby naprawdę nie widział, że przemian październikowych nie dokonali w Polsce żadni „menadżerowie produkcji”, ale właśnie tak pogardzani przez niego „intelektualiści”, literaci, dziennikarze, ludzie słowa, którzy potrafili pociągnąć za sobą masy? Czy nie widzi, że te cechy rzeczywistości polskiej, które ją odróżniają zarówno od tak zwanego „okresu minionego” jak i naszych sąsiadów, nie wyrosły z postawy minimalizmu i akceptacji lecz odważnego i rozumnego zarazem oporu na wszystkich szczeblach hierarchii społecznej?

A może brakuje mu perspektywy? Czasem obraz lepiej widać z daleka niż z bliska.

Proszę przyjmąć, Panie Redaktorze, wyrazy prawdziwego szacunku.

Jan NOWAK

Londyn, dnia 6 marca 1962 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W grudniowym numerze Pańskiego poczytnego pisma z 1961 r. p. Aleksander Kawalkowski w artykule pt. „Historia i cenzura” poddał ostrej krytyce uchwałę Rady Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie, brzmiącą:

„Wobec tego, że działalność historyczno-publicystyczna p. Władysława Pobóg-Malinowskiego dokonywana jest całkowicie poza Instytutem, oraz mając na uwadze rozbieżność poglądów członków Instytutu na tę działalność, Rada Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie stwierdza, że prace piśmiennicze p. Władysława Pobóg-Malinowskiego nie mogą być w żadnym razie związane z Instytutem”.

Ponieważ jako członek Rady oddałem swój głos za tą uchwałą, postanowiłem wyjaśnić czytelnikom „Kultury” jej motywy.

Wobec polskiego społeczeństwa na emigracji istnieje mylny pogląd, że p. Wł. Pobóg-Malinowski jako pisarz i historyk jest wyrazicielem opinii ogółu Piłsudczyków. O sile tej sugestii świadczy fakt, że p. A. Kawalkowski nadał p. Wł. Pobóg-Malinowskiemu dziwny a nie spotykany współcześnie tytuł „oficjalnego biografy” Józefa Piłsudskiego.

Wobec tego, że wielu członków Instytutu a wśród nich większość członków Rady, zapatruje się krytycznie na poglądy historyczne p. Wł. Pobóg-Malinowskiego, a w szczególności na jego charakterystyki nieżyjących już dziś w większości, czołowych postaci obozu Piłsudczyków, Rada Instytutu uznała za wskazane powzięcie przytoczonej uchwały a ja, jako Prezes Instytutu, podanie jej do wiadomości publicznej.

Nie chcąc być gołosłownym, cytuję przykładowo trzy charakterystyki i nasświetlenia historyczne p. Wł. Pobóg-Malinowskiego, które wraz z wielu innymi, stały się przyczyną, że głosowałem za uchwałą.

O decyzji p. Prezydenta Mościckiego mianowania Generalnym Inspektorem gen. Śmigłego-Rydza p. Wł. Pobóg-Malinowski pisze: „Jak za życia Piłsudskiego, tak i po jego śmierci nikt nie chciał zrobić ani jednego kroku przeciw niemu. Pietyzm ten odegrał główną rolę i w tym wypadku — zachowania „banicji” Sosnkowskiego z życia państwowego. Działy tu jednak również motywy inne, ukryte — zapewne w ciągu tej tragicznej nocy nie wypowiedzane jeszcze głośno ale wewnętrznie ważkie i decydujące. Rydz-Śmigły w oczach Prezydenta i Ślawka był w porównaniu z Sosnkowskim indywidualnością o wiele mniejszą, niewyrobioną politycznie, nie mającą ambicji w tym kierunku a więc znacznie wygodniejszą”. (*Najn. Hist. Polski*, tom 2-gi, str. 577).

Niewątpliwie, że przy pobieraniu decyzji przez Prezydenta musiała odgrywać dużą rolę chęć uszanowania woli zmarłego Marszałka, lecz nie negatywnie, dla utrzymania rzekomej „banicji” Sosnkowskiego, lecz pozytywnie w myśl pozostawionej przez Piłsudskiego sugestii wskazującej osobę Śmigłego-Rydza. O istnieniu takiej sugestii poinformował mnie p. Prezydent osobiście, gdy objąłem szefostwo Obozu Zjedn. Nar. — Twierdzenie p. Wł. Pobóg-Malinowskiego, że przy nominacji Gen. Inspektora odgrywały rolę jakieś „ważkie” i „decydujące” motywy koniunkturalno-politycznej wygody, jest historycznie bezpodstawne, niesprawiedliwe i uwłaszczające pamięci Prezydenta Mościckiego i Ślawka.

O Marsz. Śmigłym-Rydzu p. Wł. Pobóg-Malinowski pisze: „Na Rydza-Śmigłego, wkraczającego niepewnie na nieznaną gruntu polityki i ulegającego wpływom otoczenia, często zbyt pochopnie i nierozważnie, działał Śpięczyński przez swoją ogromną swadę, umiejętność błyskotliwego ujmowania zagadnień, niesłychany tupet i bezceremonialną natarczywość w narzu-

caniu swego poglądu, w pchaniu Rydza do „odziedziczenia” po Piłsudskim nie tylko wojska, ale i naczelnego stanowiska w państwie” (Najn. Hist. Polski, tom 2-gi, str. 585-6).

Następnie na str. 609 tegoż tomu, omawiając wpływy konserwatystów pisze: „Istotnie opracował ją (Deklarację polityczno-ideową OZN — przyp. mój) w ciągu tygodnia, była jednak w swej treści tak rażąco konserwatywno-katolicka, iż w tym sensie nie napisano by jej lepiej ani w „Czasie” ani w pałacu w Dzikowie” — i na tejsze stronie w przypisie 50-tym pisze: „...Od lata 1936 konserwatyści coraz natęczyli wciągali Rydza do swej sfery (przez zapraszanie na polowanie np.)”.

A prawda historyczna przedstawia się w moim mniemaniu wprost przeciwnie. Śmigły ocenił trafnie międzynarodową sytuację polityczną: że groza wojny jest bliska. Na podstawie tej oceny wkroczył na grunt polityczny, wcale nie niepewnym, lecz zdecydowanym krokiem. Wysunął hasło obrony państwa jako podstawę konsolidacji narodowej i przystąpił do organizacji „Obozu Zjednoczenia Narodowego”. Przez cały czas swej działalności nie zбочzył z wytkniętej drogi ani na jeden krok. Może każdy historyk oceniać krytycznie słuszność czy niesłuszność jego linii politycznej, ale nie wolno mówić o chwiejności i wahaniach, gdyż prawda historyczna temu przeczy.

O stosunku Józefa Piłsudskiego do Walerego Sławka Wł. Pobóg-Malinowski pisze: „W ramach tego stosunku szczególną wymowę miał jednak fakt, iż Sławek współżyjąc z Piłsudskim tak długo i tak ściśle, nigdy nie otrzymywał od niego funkcji kierowniczych, był tylko łącznikiem — tylko „okiem i uchem Komendanta” lub też jego ramieniem wykonawczym”. (Najn. Hist. Polski, tom 2-gi, str. 579-80).

Walery Sławek wraz z Michałem Sokolnickim otrzymali od Piłsudskiego w 1912 r. zadanie zorganizowania „Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych”. W wolnej Polsce po przemianie majowym 1926 r. Sławek otrzymał zadanie utworzenia „Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem” i przez szereg lat pełnił funkcję prezesa Bloku. Kilkakrotnie był powoływany przez Prezydenta niewątpliwie za wskazaniem Piłsudskiego, na Premiera. Nie wiem jakich to bardziej kierowniczych funkcji p. Wł. Pobóg-Malinowski wymaga.

Jak zaznaczyłem powyżej, zacytowane przykłady są wybrane spośród wielu innych. Mam nadzieję, iż wystarczą one dla zorientowania czytelników „Kultury” w motywach omawianej uchwały.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku.

St. SKWARCZYŃSKI, gen.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI,  
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHLswick 1860.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE,  
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Directeur-gérant: Jerzy Giedroyc.  
Dépôt légal: 2<sup>e</sup> trimestre 1962

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
<b>AFRYKA POLUDNIOWA:</b> Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	55 cent. (5 sh. 6 d.)	3,10 rand (31 sh.)	6 rand (60 sh.)
<b>ARGENTYNA:</b> Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
<b>AUSTRALIA:</b> « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	7 sh. (a)	£.A.2.0.0.	£.A.3.15.0
<b>BELGIA:</b> Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315-20...	45 fr. b.	240 fr. b.	450 fr. b.
<b>BRAZYLIA:</b> Prenumeraty przyjmują: Julia Barcinska, r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; Franciszek Socha-Paprocki, rua Martins Fontes 197, apt. 74, Sao Paulo. Tel.: 34.18.59.		5 dol. am	9 dol. am
<b>FRANCJA:</b> do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu.	3,50 NF	19 NF	37 NF
<b>HOLANDIA:</b> T. Szpilczyński, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr konta poczt. 13500 — b.v.S. 6538		18 fl. hol.	34 fl. hol.
<b>IZRAEL:</b> « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyk, Holon, Sokolow Nr. 40	3 fl. hol.	18 fl. hol.	34 fl. hol.
<b>KANADA:</b> M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél.: HU 9-0829; M. Król, 328 Boyd Avenue, Winnipeg, Man.; « Zwiakowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31 Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél.: LE 33407.	£. izr. 1,70	£. izr. 9,15	£ izr. 17,75
<b>MEKSYK:</b> Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal. Tél. 49855	1 dol.	5 dol.	9 dol.
<b>NIEMCY:</b> St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1	1 dol.	5 dol.	9 dol.
<b>NORWEGIA:</b> Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	4.- DM	22 DM	40 DM
<b>SZWAJCARIA:</b> Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
<b>SZWECJA:</b> Red Norbert Zaba, Kallskörgatan 3/IV Stockholm	3,50 fr. s.	22 fr. s.	40 fr. szw.
<b>U.S.A.:</b> W. Bienkowski, 738 Hampton Avenue, Schenectady, N.Y.; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetynski, 143, 16-th street, Brooklyn 15, N.Y.; S. Dziarczykowski, 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Rd., Watertown, Mass.; T. Konopacki, 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Av., Toledo 2, Ohio; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; K. Trojanowski, 134 Hellstrom Rd. East Haven, Conn. R.J. Sas-Babczynski, 1819 B.W. Commonwealth Ave, Alhambra, Cal.	5 kor.	25 kor.	45 kor.
<b>W. BRYTANIA:</b> « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	1 dol.	5 dol.	9 dol.
<b>WŁOCHY:</b> Prosimy o przekazywanie prenumerat czkiem lub przekazem pocztowym.	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
	500 lires	2.800 lires	5.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 NF półrocznie i 4 NF rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 NF. Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi,  
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

Nowości

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM LXXIV

ADAM CZERNIAWSKI

**TOPOGRAFIA WNĘTRZA**

POEZJE

Cena egz. 5 NF (dol. 1,25; 7/6)



TOM LXXV

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

**WIERSZE**

Cena egz. 5 NF (dol. 1,25; 7/6)



TOM LXXVI

JÓZEF CZAPSKI

**NA NIELUDZKIEJ ZIEMI**

WYDANIE DRUGIE

Cena egz. 15 NF (dol. 3,25; 22/6)



TOM LXXVII

CZESŁAW MIŁOSZ

**CZŁOWIEK WŚRÓD SKORPIONÓW**

STUDIUM O STANISŁAWIE BRZOZOWSKIM

Cena egz. 9 NF (dol. 2,00; 13/6)